

**POLITYCZNA
PAJĘCZYNA
ADAMA BIELANA**

**JAKIE
BĘDĄ EMERYTURY
ZA 10 LAT**

**ANDA ROTTENBERG
O ARTYSTACH SŁUŻĄCYCH
WŁADZY I ROZLICZENIACH**

W NUMERZE



16/2023 17-23.04.23 cena 11,90 zł
(w tym 8% VAT) Nr indeksu 36679X

POLSKA

Newsweek®

www.newsweek.pl

D 7,50€ B 7,50€ L 7,50€



**MARTYNA WOJCIECHOWSKA
KONTRA SYSTEM**

JA SIĘ NA TO NIE ZGADZAM!

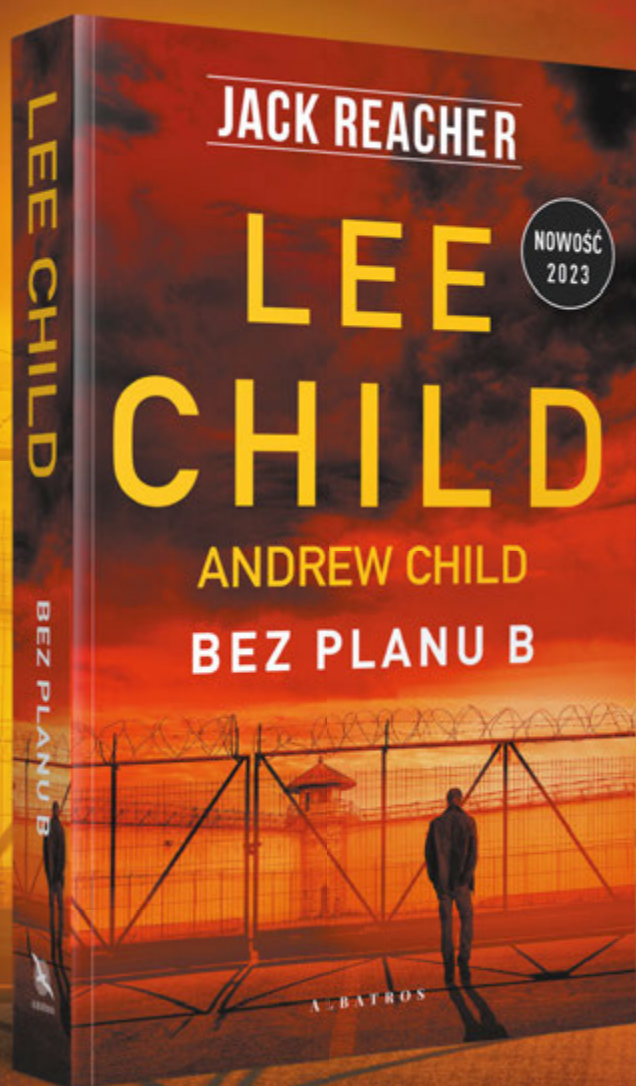
**ZDROWIE PSYCHICZNE DZIECI WYKORZYSTYWANE JEST W ROZGRYWCE POLITYCZNEJ.
RZECZNIK PRAW DZIECKA PISZE NIEPRAWDĘ. PUBLIKUJEMY WSTRZĄSAJĄCE
WYNIKI BADAŃ, JAKICH NIKT JESZCZE W POLSCE NIE PRZEPROWADZIŁ**

Już za tydzień szukaj tygodnika

Newsweek[®]

POLSKA

z premierowym thrillerem braci Child o **Jacku Reacherze!**



**JEDNO TRAGICZNE ZDARZENIE.
DWÓCH ŚWIADKÓW.
DWA SPRZECZNE ZEZNANIA.**

Do kupienia w salonach prasowych i na Literia.pl **od 24 kwietnia**

Biblioteka do potęgi

Newsweek^{POLSKA}

TEMAT Z OKŁADKI

8 / Martyna Wojciechowska

O zdrowiu psychicznym dzieci rozmawia z Tomaszem Sekielskim

14 / Bezgranicznie samotne

Dlaczego dzieci nie chcą żyć

POLITYKA

18 / Nowa frakcja w PiS

To wpływowa grupa Piotra Woźnego, dobrego znajomego Adama Bielana

24 / Janusz Cieszyński

Mimo afery z respiratorami został ministrem cyfryzacji

28 / Wieś niespokojna

Niewygodny dla władzy bunt rolników

SPOŁECZEŃSTWO

32 / Ludzie w śpiączce

Każde wybudzenie to dla nas święto – mówi Janina Mirończuk, prezes Fundacji „Światło”

36 / Paweł Demirski

Dramatopisarz i reżyser o depresji

40 / Tomasz Komenda

Opowieść o trudnej wolności

HISTORIA

44 / 80. rocznica powstania w warszawskim getcie

Walczyli do końca

ŚWIAT

48 / Sofi Oksanen

O finlandyzacji, efekcie Sanny Marin i populizmie z TikToka mówi najbardziej znana fińska pisarka

52 / Ważą się losy wojny

Rosyjska ofensywa przyniosła minimalne zyski. Kolej na Ukrainę

56 / Bieda w USA

22 miliony Amerykanów nazywają domem barakowozy i przyczepy kempingowe

Travelling

64 / Z perspektywy wody

W Krakowie Wisła kusi atrakcjami

68 / Bieganie pod Wawelem

Kalendarz miejskich imprez sportowych pęka w szwach

72 / Sport w grodzie Kraka

Bubble football, rowery, kajaki



108 **KULTURA**

SZTUKA I WŁADZA

Czasem artyści dają się uwieść ideologii albo cynicznie współpracują z władzą. Ale oni są tylko odbiciem społeczeństwa – mówi Anda Rottenberg, historyk sztuki, krytyk

98 **NAUKA**

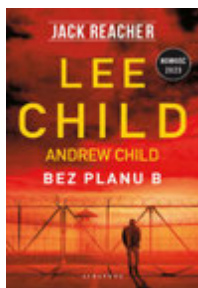
CELOWANIE W RAKA

Zbyt małej liczbie pacjentów z rakiem robimy badania genetyczne, a bez tego nie można zastosować nowoczesnych terapii

44 **HISTORIA**

ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE

Jak Mordechaj Anielewicz stał się charyzmatycznym dowódcą, a po wojnie – bohaterem idealnym



24 kwietnia będzie można kupić specjalne wydanie „Newsweeka” na majówkę także z premierową książką

Lee Childa „Bez planu B”

BIZNES

76 / Emerytury w Polsce

Czy da się naprawić nasz system?

81 / Oshee

Napoje, które podbiły rynek

84 / Gadżety

Dla psa

ZDROWY
Newsweek

86 / Zdrowy styl życia

Na czym polega – wyjaśnia dr Ewa Jarczeńska-Gerc

90 / Zapobiec depresji

Czyli jak zaopiekować się sobą

94 / Mózg potrzebuje snu

Inaczej się nie zregeneruje

NAUKA

98 / Badania genetyczne

Są potrzebne, bo pozwalają ustalić rodzaj raka i wybrać najlepszą terapię

102 / Z bliska

Kalamarnica rafowa

104 / Dzikie mustangi

Czy są dziś zagrożeniem dla amerykańskiej przyrody?

KULTURA

108 / Anda Rottenberg

O sztuce i polityce

112 / Komuna Warszawa

Teatr, który działa wbrew rzeczywistości

116 / Llosa i Borges

Rozmowy literackich mistrzów

FELIETONY

4 / Krzysztof Varga

Zapomniałem, co czytałem

6 / Dariusz Ćwiklak

Samorząd czy sam rząd?

23 / Andrzej Stankiewicz

Kampania PiS na OIOM-ie

31 / Dominika Olszyna

Odwrócony wzrok

62 / Mikołaj Kunica

Cześć Jacku!

115 / Bartosz Węglarczyk

Felieton o mądrych

119 / Katarzyna Janowska

Niekochane dzieciaki nie żyją





PO PROSTU

Komisja kiblowa

PiS zrobiło kolejny duży krok na drodze do prawnego usankcjonowania bezprawia, jakim jest pomysł powołania komisji nazwanej dla niepoznaki komisją ds. badania rosyjskich wpływów na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski. W rzeczywistości ma to po prostu być komisja na Tuska.

Tworząc ją, prezes Kaczyński chce zbudować polityczną wunderwaffe na kampanię wyborczą, choć tu czas gra na niekorzyść „genialnego stratega” z Nowogrodzkiej. Co prawda tzw. Zjednoczona Prawica przy wsparciu Kukiz'15 i pomniejszego planktonu parlamentarnego przepchnęła w Sejmie powołanie do życia politycznego monstrum o nadzwyczajnych uprawnieniach, ale to jeszcze nie koniec. Teraz ustawa trafi do Senatu, gdzie większość ma opozycja. Na końcu potrzebny jest jeszcze podpis prezydenta.

Czy Andrzeja Dudę stać w tej sprawie na odwagę i postawienie się prezesowi? Nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, która miała odblokować pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy, prezydent nie podpisał, odsyłając ją do Trybunału Julii Przyłębskiej, co raczej nie było po myśli Kaczyńskiego i jego premiera. Czy w przypadku komisji na Tuska prezydent postawi na zawetowanie niekonstytucyjnej ustawy, czy na osobistą niechęć do lidera Koalicji Obywatelskiej?

Patrząc na emocje, jakie od lat kierują polską polityką, obawiam się, że prezydent wybierze prywatną wendetę, że wygra chęć pognębienia politycznego rywala. Jeśli komisja powstanie, to i tak nie będzie miała wiele czasu na pracę przed jesiennymi wyborami. Oczywiście, teza, że w tej sprawie chodzi o jakiegokolwiek meritum, jest z góry błędna. Na naszych oczach realizowany jest bowiem projekt utworzenia swoistego urzędu ds. ścigania opozycji. Twór ten już okrzyknięto sądem kapturowym i choć nazwa jest nacechowana pejoratywnie, to może się komuś skojarzyć z czasami dawnej Rzeczypospolitej, gdy urząd o takiej nazwie miał stać na straży prawa w okresie bezkrólewia.

Jednak gdy patrzę na kolejną prawną hucpę organizowaną przez obóz władzy, nasuwa mi się inne skojarzenie. W stalinowskiej Polsce przeprowadzano tzw. procesy kiblowe – odbywały się w więziennej celi, wyrok był z góry znany, a oskarżony z braku miejsca siadał często na muszli klozetowej. Teraz w Polsce PiS będziemy mieli kiblową komisję do organizowania politycznych procesów pokazowych z nagonką. Oczywiście, warunki przesłuchań będą o niebo lepsze i nikomu nie będzie groził wyrok śmierci. Ale liderzy opozycji też nie będą mieli szans na obronę. Ta władza już pokazała, że jest w stanie użyć przeciwko swoim

przeciwnikom politycznym wszelkich brudnych chwytów, łącznie z totalną inwigilacją za pomocą Pegasusu.

Blisko osiem lat rządów to naprawdę wystarczająco dużo czasu, aby znaleźć dowody na potajemną i wymierzoną w polskie interesy współpracę polityków i urzędników z Kremlem. Przecież gdyby był choćby cień dowodów, już dawno „losowo wybrani” sędziowie wydaliby właściwy wyrok. I tu wracamy do prawdziwego powodu powstania komisji, która będzie miała właściwie nieograniczony dostęp do wszelkich danych o każdym, kogo weźmie na cel. Już wyobrażam sobie seryjne wycieki odpowiednio dobranych lub wręcz spreparowanych fragmentów prywatnych maili, wiadomości, dokumentów. Wszystko, co będzie wystarczająco sensacyjne, brudne i śmierdzące, a czym da się obrzucić politycznych rywali, zostanie wykorzystane.

Gdy przeglądałem projekt ustawy, którą przegłosował Sejm, zaskoczył mnie zapis dotyczący wyboru kandydatów na członków komisji. Wydawałoby się, że w składzie takiego ciała o uprawnieniach śledczych powinni się znaleźć ludzie po studiach, najlepiej prawnicy. Tymczasem według ustawy członkiem komisji może być osoba, która ma wykształcenie wyższe lub... „niezbędną wiedzę w zakresie funkcjonowania organów władzy publicznej”. W swo-

Na naszych oczach realizowany jest projekt utworzenia swoistego urzędu ds. ścigania opozycji

jej małościowości od razu pomyślałem o Pawle Kukizie. Już raz przebiegał nóżkami na myśl o przewodzeniu sejmowej komisji śledczej ds. inwigilacji. Skoro były antysystemowicze nie wzgardził milionami od premiera na swoją fundację, to dlaczego miałby się brzydzić posadą z nadania Kaczyńskiego. A może przez furtkę znoszącą wymóg formalnego wykształcenia precyzyjnie ma się ktoś z pary Fogiel – Suski?

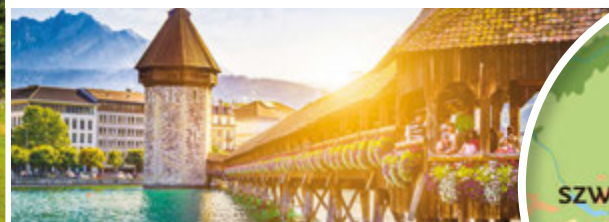
Tacy polityczni harcownicy przydadzą się nie tylko podczas kampanii, ale i później, by po ewentualnej wygranej dalej grillować opozycję. Gdyby zaś PiS przyszło pożegnać się z władzą, cyngle wynajęci do pracy w komisji okopią się na długo, aż nowy rząd nie znajdzie sposobu na ich odwołanie. A i tak w ich rękach pozostaną kwity i haki na politycznych przeciwników. Towar bezcenny w rozgrywkach, w jakich lubuje się obóz władzy. **N**

Pociągami przez Szwajcarię – alpejskie szczyty i jeziora

Odkryj malowniczą Szwajcarię podróżując pociągami, statkami i górskimi kolejkami, ciesząc się pięknymi widokami i zwiedzając mijane po drodze miasta.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot do Zurychu. Następnie przejazd pociągami do Lucerny. **Dz. 2** Wycieczka pociągami i statkiem na górę Rigi. **Dz. 3** Zwiedzanie Lucerny i wycieczka fakultatywna na Stanserhorn (dodatkowo płatna). **Dz. 4** Rejs statkiem po jeziorze i przejazd Gotthard Panorama Express do kantonu Ticino. **Dz. 5** Wycieczka po Bellinzona i Lugano. Czas do własnej dyspozycji. **Dz. 6** Bellinzona - Zurych - Warszawa.

6 dni | Wylot z Warszawy 15/08 2023 | **7.698,-**



Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej



Opera w Savonlinnie

Romeo i Julia & Cyrulik sewilski

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Helsinki. Przejazd do Savonlinny przez piękną krainę tysiąca jezior. **Dz. 2** Savonlinna. Zwiedzanie miasta oraz opera "Romeo i Julia". **Dz. 3** Savonlinna. Rejs statkiem po jeziorze Saimaa, lokalny targ i spektakl operowy "Cyrulik sewilski". **Dz. 4** Savonlinna – Punkaharju – Parikkala – Imatra – Porvoo – Helsinki. Wyjątkowy park rzeźb, najstynniejsze wodospady w Finlandii i małe urokliwe wioski. **Dz. 5** Helsinki. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 6** Helsinki. Transfer na lotnisko i podróż powrotna do domu.

6 dni | Wylot z Warszawy 16/07 2023 | **6.798,-**



WYKŁAD
ONLINE



Kair i rejs po Nilu

20/04/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl

Tajemnicza Azja Centralna

Wybierz się w niezapomnianą podróż Jedwabnym Szlakiem przez 5 środkowoazjatyckich krajów: Uzbekistan, Turkmenistan, Kirgistan, Tadżykistan i Kazachstan.

Azja Środkowa przyciąga od lat podróżników swoją tysiącletnią historią i obietnicą niezwyklej przygody. To tutaj wśród starożytnych miast i wspaniałych krajobrazów znajdziemy się najbliżej historii i architektury Jedwabnego Szlaku. Odwiedzimy wpisane na listę UNESCO słynne miasta Bucharą i Samarkandą, w których dawniej zatrzymywały się karawany oraz miasto – oazę Merw. Przejedziemy po pustyni Karakum, zobaczymy fantastyczne meczety, fortece i mauzolea jak np. forteca w Nissa z listy UNESCO czy grób Timura oraz zwiedzimy Aszchabad, Taszcent, Biszkek i Ałmaty.

14 dni | Wylot z Warszawy 07/09 2023 | **16.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: NW07

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Krzysztof Varga

Zapomniałem, co czytałem



Swięta Wielkiej Nocy spędziłem nie tylko na kompulsywnym objadaniu się, maskowanym przywiązaniem do tradycji, ale także na walce z wewnętrznym przymusem czytania literatury. Spisywałem listę lektur koniecznych do zaliczenia bądź odświeżenia, obiecywałem sobie powroty do twórczości zapomnianych prozaików i dekonstrukcję pomników pisarzy bałwochwalczo wielbionych. A to wszystko dlatego, że wreszcie zapoznałem się wnikliwie ze słynną ankietą w piśmie „Nowy Napis”. To periodyk wydawany przez Instytut Literatury, młodą stażem instytucję powołaną do życia przez Ministerstwo Kultury, a zatem przez samego ministra Glińskiego w obrosłej już legendą osobie własnej.

Ankieta owa nie jest żadną miarą oryginalna, co ileś lat robi się wielką ankietę wśród krytyków literackich, domagając się odpowiedzi na pytania, kto wśród polskich literatów jest przeceniony, a kto niedoceniony, jakie arcydzieła zostały słusznie wyniesione na parnas, a jakie grafomanie niesłusznie nagrodzone wieńcami laurowymi, a także jakich zapomnianych autorów czytać koniecznie trzeba, a od jakich nadmiernie fetowanych trzymać się jak najdalej. Ileż było już takich ankiet! Ileż nazwisk wyciągano z odmętów niepamięci, by je przywrócić obiegowi czytelniczemu, iluż popularnych pisarzy skazywano na zapomnienie, wydając wyroki o powszechnym przeszacowaniu ich wartości! Czy coś to zmieniło – nie spodziewam się. W końcu to zabawa dla garstki brontozaurów, jakie uchowały się cudem po eksplozji meteorytu kultury masowej, jaki wybił w pień całe pokolenia pisarzy, kiedyś nieprzytomnie wręcz popularnych.

Rozpisywanie takiej ankiety i nazywanie jej z dużą dozą brawury „Kanon Polski” nie jest zatem niczym nowym ani nadzwyczajnym, nie ma wpływu na preferencje klientów księgarń i sklepów internetowych. Zapoznanie się z ankietą niekoniecznie spowoduje masowy szturm na biblioteki oderwanych od Netfliksa obywateli i historyczne wyszukiwanie zapomnianych powieści na internetowych aukcjach i po zapyziałych antykwariatach. Historia literatury jest jednym wielkim cmentarzem pisarzy kiedyś przecenionych oraz kiedyś niedocenionych, a łączy ich to, że wszyscy oni niemal całkowicie zapomniani. A jeśli pamiętani, to i tak nieczytani, bo na tym polegają dzieje kultury światowej. Kanon to spis książek, które koniecznie trzeba przeczytać, a których nikt czytać nie chce, a nawet gdyby chciał, to i tak nie pamięta, że takie książki powstały. Pomijając oczywistość, że prócz kanonu lektur szkolnych – a więc książek upupionych całkowicie, bo znalezienie się w kanonie szkolnym

to śmierć dla pisarza – jeden wspólny kanon nie istnieje. Istnieją kanony polityczne, środowiskowe, tożsamościowe. Jest kanon prawicowy, kanon lewicowy, gdzieś pomiędzy nimi kanon liberalny, spodziewam się, że nawet faszyści mają swój kanon, a każdy z tych kanonów żadnego wpływu na czytelnicze żądze narodu nie ma. Bo naród wie swoje i jakby narodu nie przekonywać do kanonów, jakby narodem nie wstrząsać, naród będzie czytał to, co mu podsuną aktualne mody czytelnicze, działają promocji wielkich wydawnictw, reklamy i billboardy, zdjęcia okładek w social mediach w towarzystwie kawusi i kwiatków oraz youtuberki od książek, a nie krytycy literacy, bo ci wymarli jak tygrysy szablozębne i obecnie skazani jesteśmy na kotki z Instagrama, dające nam polecajki, co fajnie jest czytać z gorących nowości.

Dlatego właśnie ankietę w „Nowym Napisie” czytałem ze wzruszeniem spowodowanym całkowitą bezcelowością robienia tej ankiety, i z dziką zazdrością, że sobie prawicowe medium taką ankietę wyfasowało. Przynajmniej była tam rozmowa o literaturze, nie zaś o zaimkach i tożsamościach płciowych, co zaczyna być wiodącą narracją

Kanon to spis książek, które koniecznie trzeba przeczytać, a których nikt czytać nie chce, a nawet gdyby chciał, to i tak nie pamięta, że takie książki powstały

progresywiwistów. Niechaj więc krytycy lewicowi i liberalni też zrobią ankietę, nie trzeba do tego pisma tuczonego na karmie od pisowskiego ministra. Bardzo byłbym ciekawy takiego sporu o przecenionych i niedocenionych z punktu widzenia progresywiwistów, skoro już się zapoznałem ze stanowiskiem konserwatystów.

Naturalnie w świat poszły najbardziej seksowne kawałki z ankiety w „Nowym Napisie”, mianowicie, że przeceniona jest twórczość Olgi Tokarczuk, a niedocenione emanacje poetyckiego ducha Karola Wojtyły. To uproszczenie, bo ta ankietka zaskakująco jest zróżnicowana – prócz besztania Szymborskiej znalazłem tam miażdżenie Herberta i znęcanie się nad Wenclem, co powinno dać do myślenia koleżeństwu z lewej flanki sporu kulturowego. Nie da się sprowadzić tej ankiety do mema, że im się Gombrowicz z Pilchem nie podobają, a za niedopieczonych geniuszy uważają dominikanina Jacka Salija i Jana Dobraczyńskiego.

W ankiecie „Nowego Napisu” pojawiają się nazwiska elektryzujące dziś wyłącznie wspomniane brontozaury.

Taki Andrzej Kuśniewicz na przykład – komuż nazwisko autora „Lekcji martwego języka” coś dzisiaj mówi? A w PRL był facet potęgą, nie tylko dlatego, że pisał me rytorycznie doskonałe, paskudne donosy na innych pisarzy i w kręgach esbeckich szanowano go za pracowitość i poważne podejście do tematu. Także dlatego że naprawdę był znakomitym pisarzem i nikt by wtedy nie pomyślał, że przypadnie w bezdennej studni niepamięci. Jerzy Andrzejewski z kolei nieustająco mnie fascynuje. Nie tylko jego poplątanie ideologiczne oraz doskonale minipowieści jak „Bramy raj” czy „Ciemności kryją ziemię”, ale i jego wielka klęska artystyczna, jaką okazała się „Miazga” – powieść, na którą czekał cały naród czytający, jak dziś czeka się na nową Tokarczuk czy nowego Twardocha, a może nawet bardziej. Andrzejewski występuje w tej ankiecie zarówno jako autor przeceniony, jak i niedoceniony, co o tyle zabawne, że jest to dla przyniatającej liczby czytelników pisarz całkowicie anonimowy. Podobnie Jarosław Iwaszkiewicz – dla jednych niesłusznie zapomniany, dla innych nadmiernie obecny. Wciąż wydawany, wciąż czytany, ale nie żartujcie: gdzie mu do pierwszego z brzegu autora średnio pokupnych kryminałów? Iwaszkiewicz nawet do średniaków rynku kryminalnego nie ma startu i mało pocieszające jest to, że średniacy popadną w zapomnienie jeszcze wcześniej niż dzisiejsi superbohaterowie empiiku, bo i ci prędzej zginą w promocyjnych dziejach. Wyobrażam sobie taką ankietę

zrobioną za lat 30 czy 50, wyobrażam sobie i rechocę w duchu, tarzam się po podłodze, wyświetlając sobie nazwiska dzisiejszych zdobywców list bestsellerów, o których ktoś się kiedyś może upomni, choć niekoniecznie.

Piszę o tym wszystkim, bo czytanie literatury to nie jest sprawa niewinna, to nie jest wykwinne zabijanie wolnego czasu. Czytanie książek zawsze niesie ze sobą poważne reperkusje. To, co czytają dzisiejsi nastolat-

Krytycy literaccy wymarli jak tygrysy szablożebne i obecnie skazani jesteśmy na kotki z Instagrama, dające nam polecajki, co fajnie jest czytać z gorących nowości

kowe, rezonować w nich będzie nawet gdy zbliżać się będą do emerytury. Literatura nie ma być inkluzywna i poprawna, ma być wybitna. Co więcej – pisarz nie musi być kryształowo czystym etykiem, niezłomnym moralnie i wrażliwym na uczucia czytelników. Pisarz może być ponurą kreaturą, bo historia literatury to korowód ponurych kreatur, tyle że obdarzonych niebywałym talentem, którego złośliwy demiurg pozbawił pisarzy uczciwych, porządnych i czystych moralnie. Oraz tych, którzy zazwyczaj zdobywają szczyty list bestsellerów. **N**

Krzysztof Varga jest pisarzem, publicystą, a także autorem tekstów piosenek zespołu Dr Mizio

Newsweek

od 2001 roku

Adres redakcji tygodnika: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 49. Kontakt z Czytelnikami www.newsweek.pl, redakcja@newsweek.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Sekielski / Zastępcy redaktora naczelnego: Dariusz Cwiklak, Michał Szadkowski / Redaktor prowadzący: Łukasz Ramlau / Dyrektor artystyczna: Magdalena Mamajek-Mich /

Sekretarz redakcji: Andrzej Olejniczak

Sekretariat redakcji: Małgorzata Kacprzak, Katarzyna Klejnocka / Polska: Dominika Długosz-Gierszewska, Renata Grochal, Aleksandra Pawlicka, [Teresa Torajska](mailto:Teresa.Torajska@newsweek.pl) / Dział śledczy: Jakub Korus, Grzegorz Rzeczkowski, Agnieszka Żądło /

Spółceznistwo: Renata Kim, renata.kim@newsweek.pl, Marcin Chłopaś, Karolina Rogaska, Małgorzata Świąchowicz, Elżbieta Turlej / Historia: Dariusz Cwiklak, Mateusz Wojtalik /

Świat: Jacek Pawlicki, jacek.pawlicki@newsweek.pl, Maciej Nowicki, Nowy Jork: Piotr Milewski, piotr.milewski@newsweek.pl / Biznes: Konrad Sadurski, konrad.sadurski@newsweek.pl, Radostaw Omachel, Miłosz Węglewski /

Nauka: Dorota Romanowska, dorota.romanowska@newsweek.pl, Katarzyna Burda / Kultura: Dawid Karpiuk, Jacek Tomczuk, [Piotr Bratkowski](mailto:Piotr.Bratkowski@newsweek.pl) / Felietony: Henryk Sawka, Krzysztof Varga

Newsweek.pl: Beata Minkiewicz (product manager), Emilia Stawikowska (szefowa wydawców) / wydawcy: Karolina Brzezińska, Jakub Korus, Jan Rakoczy, Maciej Sitarz, Mateusz Wojtalik / dziennikarze: Anna Podlaska,

Marcin Wierczorkowski / Grafika: Michał Bieniek / Media społecznościowe: Igor Iwaniuk / Foto: Ewa Falkiewicz, Tomasz Królik, Mikołaj Starzyński, Marek Szczepański / Studio graficzne: Grzegorz Brodowski, Urszula Gardy,

Izabela Królikowska, Aleksandra Kuc, Sylwia Niedaszkowska, Michał Peas / Korekta: Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi, Iwona Trzaskoma / Asystentka redaktora naczelnego: Kamila Skowron, kamila.skowron@newsweek.pl

Wydawca: RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA Sp. z o.o., Czołonek Izby Wydawców Prasy i Związku Kontroli Dystrybucji Prasy, www.ringieraxelspringer.pl / Adres: ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa, recepcja główna tel.: (22) 232 00 00,

232 00 01 / Prezes zarządu: Aleksander Kutela / Prezes honorowy: Wiesław Podkański / Dyrektor generalny: Marcin Biegłuk / Dyrektor finansowy: Krzysztof Stopa / Dyrektor wydawniczy treści premium: Jakub Makulski

Dyrektor ds. rozwoju projektów wydawniczych treści premium: Bernadetta Byrska / Menedżer wydawniczy: Joanna Skolimowska / Dyrektor personalna: Monika Remiszewska / Dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej: Karolina Sznajder

Dyrektor marketingu: Olga Korolec / Head of Press Monetization Hub: Anna Dygasiewicz, zespół: Marcin Czyż, Elżbieta Jung, Ryszard Korlak, Aneta Kulesz, Marta Mikiel, Ewelina Milczek, Agnieszka Skiba, press@ringieraxelspringer.pl

Biuro reklamy: Piotr Kupis, tel. 695388021, piotr.kupis@ringieraxelspringer.pl / Marketing: Agata Surmacz-Mocko

Prenumerata: littera.pl, zakładka PRASA / Zamówienia B2B: Menedżer ds. sprzedaży bezpośredniej i trade marketingu: Agnieszka Ślusarczyk-Salicka (agnieszka.salicka@ringieraxelspringer.pl) /

Menedżer ds. prenumeraty: Sylwia Kowalska (sylwia.kowalska@ringieraxelspringer.pl)

Księgowość: Sylwia Skibińska (dyrektor) / Kolportaż: Rafał Kamiński (dyrektor) / Produkcja: Mariusz Gajda (dyrektor), Jarosław Sokotowski / Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

Prenumerata i zamówienia kolekcji: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, prenumerata.axel@qg.com, www.newsweek.pl / Sprzedaż internetowa wydań archiwalnych, specjalnych i prenumeraty: www.kiosk.redakcja.pl

Reklamacje: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, e-mail: prenumerata.axel@qg.com / Prenumerata krajowa: Poczta Polska oraz Ruch SA na terenie całego kraju / Prenumerata zagraniczna: <http://kiosk.redakcja.pl>

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Zabroniona jest bezumowna sprzedaż czasopisma po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po innej cenie jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.



Newsweek magazine Published by Newsweek LLC, EDITORIAL STAFF: Editor in chief: Jim Impoco / Deputy Editor: Bob Roe / International Editor: Nicholas Wapshott + Managing Editor: Kira Bindrim BUSINESS STAFF: Chief Content Officer, IBT Media: Johnathan Davis / Chief Executive Officer, IBT Media: Etienne Uzac

Newsweek

Dariusz Ćwiklak

Samorząd czy sam rząd?



W POLSKIEJ LITERATURZE popularnej modne stało się podawanie przez autorki i autorów listy muzycznych inspiracji. Nie mam pojęcia, czy autorzy raportów naukowych mają gdzieś pochowane podobne playlisty, ale wiem, co mogłoby się na takiej liście znaleźć u autorów badania „Indeks samorządności 2023”, przygotowanego dla Fundacji Batorego: „Mniej niż zero” Lady Pank, a to za sprawą słów: „Choć to fizyce wbrew, wskazówka cofa się”. Dlaczego piosenka z głębokiego PRL skojarzyła mi się ze świeżutkim raportem? Bo wreszcie ktoś naukową metodą pokazał to, co czuliśmy przez skórę: od ośmiu lat władza centralna próbuje odwrócić jedną z najważniejszych reform III RP, czyli rozwój samorządności. Tytułowy indeks pokazuje to czarno na białym: w 2014 r. wyniósł 73,58 na 100 możliwych punktów, w 2021 r. – zaledwie 56,68. „Choć to fizyce wbrew, wskazówka cofa się”.

CZYM JEST INDEKS SAMORZĄDNOŚCI? Sami autorzy tłumaczą, że to „pierwsza próba kompleksowego uchwycenia zmian siły samorządu lokalnego”. Indeks wyliczany jest na podstawie ocen stopnia autonomii zadaniowej, finansowej oraz siły politycznej gmin i miast na prawach powiatu. Pokazuje więc siłę lokalnej władzy wykonawczej. Art. 15 konstytucji mówi: „Ustrój terytorialny Rzeczypospolitej Polskiej zapewnia decentralizację władzy publicznej”. Ale nie od dziś wiadomo, że PiS konstytucję traktuje w najlepszym wypadku wybiórczo. Nie dziwnego więc, że kiedy nie udał się podbój samorządów w drodze wyborów, partia Jarosława Kaczyńskiego postanowiła podporządkować je sobie za pomocą prawa i pieniędzy. Metoda PiS polega na dokładaniu samorządom kolejnych zadań przy jednoczesnym odbieraniu decyzyjności i przede wszystkim pieniędzy. Jeden z autorów raportu, dr Dawid Sześciło z Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, podaje przykłady: stawki opłat za wodę i ścieki kiedyś każdy samorząd ustalał sam, teraz – narzucają to Wody Polskie, kurator oświaty decyduje o sieci lokalnych szkół i jeśli się uprze, władze gminy muszą prowadzić szkołę dla garstki dzieci, choć bardziej opłacałoby się zorganizować dowóz busami do większych szkół. Szkoły finansuje gmina i dostaje nawet na to subwencję oświatową. Od zawsze było jej za mało, ale ostatnio ledwo wystarcza na pokrycie pensji nauczycieli.

GMINY DOSTAJĄ od władzy centralnej kolejne obowiązki, muszą zmagać się z kryzysami, jak pandemia czy migracja z Ukrainy po wybuchu wojny. Ale nie idą za tym pieniądze. Wręcz przeciwnie: od kilku lat rząd PiS

konsekwentnie odcina gminy od ich głównego źródła finansowania, czyli PIT, którego prawie 40 proc. trafia do lokalnych budżetów. Ilekroć ucieszymy się, że rząd obniża nam podatki, pamiętajmy o drugiej stronie tego medalu: to mniej pieniędzy na usługi publiczne w naszym mieście czy gminie. Owszem, planując podatkowy bałagan nazwany dla żartu „Polskim Ładem”, rząd przewidział, że gminy dostaną mniej pieniędzy z PIT i obiecał dodatkowe subwencje. Problem w tym, że rządowe programy o rozmaitych nazwach – Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych czy Program Inwestycji Strategicznych – są dzielone w sposób upolityczniony: zdecydowanie więcej dostają gminy przychylnie PiS, co regularnie odnotowują eksperci Fundacji Batorego. Od kampanii prezydenckiej w 2021 r. wręczane publicznie tekturowe czeku stały się wręcz symbolem przekupstwa ze strony władzy centralnej. Samorządowcy czekają z utęsknieniem na fundusze z UE, ale na razie muszą obejść się smakiem: pod znakiem zapytania stoi nie tylko KPO, ale też pieniądze z unijnego budżetu na najbliższe lata.

NA KONIEC najbardziej ironiczna obserwacja: od ośmiu lat polskie organizacje pozarządowe intensywnie pomagają Ukrainie we wdrażaniu reformy samorządo-

Zdecentralizowane państwo z silnymi władzami lokalnymi jest o wiele trudniej podbić, złamać. Pytanie, czy polski rząd przyswoi sobie tę ukraińską lekcję, czy nadal będzie głodził samorządy

wej. Robiły to tak skutecznie, że to właśnie lokalny samorząd stał się jedną z ważnych linii obrony przed rosyjską napaścią. 1469 ukraińskich gmin sprawnie organizuje pomoc dla obywateli, schrony, a nawet elementy obrony terytorialnej. Okazało się, że zdecentralizowane państwo z silnymi władzami lokalnymi jest o wiele trudniej podbić i złamać. Scentralizowana struktura dawno złożyłaby się jak domek z kart, a ukraińskie gminy się nie poddają. OECD, organizacja zrzeszająca najbardziej rozwinięte państwa świata, już dziś zapowiada, że to właśnie silny lokalny samorząd będzie podstawą odbudowy Ukrainy. Pytanie, czy polski rząd przyswoi sobie tę ukraińską lekcję, czy nadal będzie głodził samorządy, rzucając tym pokorniejszym ochłapy w postaci kartonowych czeków? **N**



BMW XM: nowa jakość SAV-a

Dopiero wchodzi do sprzedaży, a już jest legendarny. Pierwszy model BMW M z silnikiem hybrydowym, ikona nowego trendu w klasie aut luksusowych. BMW XM wyprzedza swoje czasy, nie tylko designem.

W 2022 roku, w 50. rocznicę swojego istnienia, BMW M GmbH zaprezentowało po raz pierwszy samochód o wysokich osiągnięciach z napędem hybrydowym plug-in – niemający odpowiednika w gamie modeli BMW, podobnie jak legendarne M1. Zaprezentowany w 1978 roku model był wówczas pierwszym autem wyścigowym spółki Motorsport GmbH w produkcji seryjnej. Konieczność wyprodukowania co najmniej 400 sztuk, niezbędna do zdobycia homologacji dla sportów motorowych w kategorii FIA grupa 4, umożliwiła wejście M1 na rynek. Było to najszybsze i najpotężniejsze auto sportowe swoich czasów. Wersja drogowa mogła pędzić 264,7 km/h, wyścigowa – ponad 300 km/h. Model docenił

Alan Jones, przyszły mistrz świata F1, a Nicki Lauda wygrał w nim trzy spośród ośmiu wyścigów w 1979 roku.

XM – powrót kultowej serii

W kolejnych odsłonach projektanci BMW skupiali się na tworzeniu samochodów o doskonałych osiągnięciach, ale przeznaczonych do codziennego użytku. Najnowszym przejawem tych zabiegów jest BMW XM.

Na pierwszy rzut oka duże wrażenie robi futurystyczny, drapieżny design: ostra linia, dzielone przednie reflektory i wyraziste nerki z dodatkowym podświetleniem z przodu, poczwórny wydech z sześciokątnymi końcówkami i logo marki w rogu szyby z tyłu – jako nawiązanie do M1. To nowa jakość, na którą czekali klienci klasy aut luksusowych: odważna ekstrawagan-

cja, jednocześnie stanowiąca kontynuację najlepszych tradycji.

Wygodnie i bezpiecznie, ale z pazurem

Zadbano zarówno o komfort, jak i o bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. Kabina jest wyjątkowo obszerna, nawet jak na SAV-a (Sports Activity Vehicle), czyli typ auta łączący uniwersalny charakter SUV-a i cechy ekskluzywnego coupé. Pod maską drzemie podwójnie turbodoładowany silnik spalinowy 4.4 V8 o mocy 489 KM oraz jednostka elektryczna o mocy 197 KM. BMW XM może pędzić do 270 km/h, ale też pokonuje do 88 km na samym napędzie elektrycznym.

BMW XM powstał z myślą o kliencie wymagającym, oczekującym doskonałych osiągnięć i najwyższej jakości. ●

Newsweek TEMAT Z OKŁADKI

PSYCHIKA NASZYCH DZIECI

OSTATNI DZWONEK

Zdrowie psychiczne to temat tabu i nie potrafimy o nim rozmawiać. Jako matka miałam okazję przekonać się osobiście, jak działa, a raczej jak bardzo w Polsce nie działa system, i poczułam się absolutnie bezsilna – mówi

MARTYNA WOJCIECHOWSKA

ROZMAWIA TOMASZ SEKIELSKI ZDJĘCIA MACIEJ ZIENKIEWICZ



NEWSWEEK: Odwiedziła już ciebie policja po alarmie wszczętym przez rzecznika praw dziecka?

MARTYNA WOJCIECHOWSKA: Nie, ale jestem na to gotowa. Uważam, że całe to zamieszanie zostało wykreowane celowo tuż przed publikacją raportu „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym”, który właśnie pojawił się na stronie www.mlodeglowy.pl i na stronie Fundacji UNAWWEZA. To po prostu próba zdyskredytowania wyników badań i całego programu profilaktycznego, nad którym od dawna pracuje grono ekspertów, wykonując zadania ważne również dla państwa.

Tylko że ja się na to nie zgadzam! Nie zgadzam się na odwracanie uwagi od prawdziwego problemu, czyli zdrowia psychicznego naszych dzieci. I od wyników badań ich poczucia własnej wartości oraz sprawczości, które mam przed sobą, a które są wstrząsające.

Rzecznik praw dziecka realizuje polityczne zamówienie władzy?

– Tego nie wiem, z założenia nasze działania nie są polityczne, a my chcemy działać ponad podziałami. Wiem natomiast, że rzecznik praw dziecka nie zajął stanowiska w wielu ważnych sprawach. Milczał, gdy po nagonce medialnej 15-letni chłopak popełnił samobójstwo. W sprawie wstrząsających doniesień o znęcaniu się siostr zakonnych nad dziećmi z niepełnosprawnościami w Domu Opieki Społecznej w Jordanowie wypowiedział się dopiero pod presją opinii publicznej. To rzecznik, który insynuuje, że edukatorzy seksualni mogą podawać dzieciom „tabletki na zmianę płci”.

Oczywiście nie zdziwiłoby mnie, gdyby poprosił nas o wyjaśnienia, jeśli cokolwiek go zaniepokoiło w projekcie „Młode Głowy”, w końcu taka powinna być rola powołanych na ten urząd. Tyle że nikt się z nami nie skontaktował, a zamiast tego pan Mikołaj Pawlak złożył doniesienie do ministra edukacji i na policję o możliwości popełnienia przestępstwa bez zapytania w ogóle, jaki jest faktyczny stan sprawy. Oficjalnie opublikował swoje stanowisko zawierające nieprawdziwe informacje i tym samym naruszył dobra osobiste organizacji i fundacji, w tym założonej przeze mnie Fundacji UNAWWEZA. Zlekceważył i podważył całą pracę i wysiłek, które wykonali psychologowie, psychiatry, pochylając się nad problemem, by zrobić to mądrze, z głową. Żeby nasze działanie nie było doraźne, tylko długofalowe i przede wszystkim skuteczne. Ogromne zainteresowanie szkół, które zgłaszały się do projektu, pokazuje, jak ważny jest to temat. W naszym badaniu wzięło udział ponad 180 tysięcy młodych ludzi.

A może po prostu masz niewłaściwe poglądy, dlatego jest interwencja rzecznika?

– Może nie chcecie poznać wyników tych badań. Jeśli naprawdę chciałby się tym tematem zająć, to miał wiele możliwości, żeby to zrobić wcześniej. Najgorsze i bardzo smutne jest to, że zdrowie

psychiczne naszych dzieci jest wykorzystywane jako element rozgrywki o charakterze politycznym, a tego bym bardzo nie chciała. **Rzecznik zarzuca wam, że wykorzystaliście w tym badaniu do współpracy platformę TikTok, którą RPD uważa za niebezpieczną, uzależniającą, wyciągającą informacje na temat użytkowników. A teraz za sprawą waszych ankiet dostał jeszcze dostęp do danych wrażliwych uczniów.**

– Badanie zostało przeprowadzone na zlecenie mojej Fundacji UNAWWEZA przez Fundację Dbam o Mój Z@sięg. Było dobrowolne i w pełni anonimowe, nie gromadzimy żadnych danych wrażliwych dzieci. TikTok w żadnym stopniu nie uczestniczył w samym badaniu, jest partnerem medialnym projektu i wspiera go wyłącznie komunikacyjnie. Na platformie jest wiele młodych osób, ale są

tam także rodzice i nauczyciele, co pozwala nam skutecznie dotrzeć do naszych grup docelowych. Uważam, że niewykorzystanie tego w komunikacji projektu „Młode Głowy” byłoby po prostu błędem. Więc, owszem, korzystamy i zamierzamy korzystać z platformy TikTok, tak jak z wielu innych kanałów komunikacji. Tak jak korzystamy teraz z łamów „Newsweeka”. Ale jeszcze raz podkreślam, że TikTok w żaden sposób nie miał możliwości zbierania żadnych danych, nie miał też wglądu do indywidualnych odpowiedzi. Mówiąc krótko, to, co napisał rzecznik praw dziecka, jest nieprawdą i świadczy o niewiedzy. Dlatego jako Fundacja UNAWWEZA podjęliśmy stosowne kroki prawne, które mają na celu zablokowanie rozpowszechniania nieprawdziwych informacji o projekcie „Młode Głowy” i sprostowanie dotychczasowych publikacji.

Jest jeszcze drugi zarzut rzecznika, że organizacje i fundacje biorące udział w projekcie nie zweryfikowały swoich pracowników w rejestrze sprawców przestępstw na tle seksualnym. Zacytuję fragment jego oświadczenia: „Rzecznik praw dziecka apeluje także do dyrektorów placówek oświatowych o sprawdzenie, czy dana organizacja, która chce podjąć działania w środowisku szkolnym, zweryfikowała swoich współpracowników w Rejestrze Sprawców Przestępstw na Tle Seksualnym, co jest ich obowiązkiem prawnym. Kontrola rzecznika wykazała bowiem, że kont w rejestrze w ogóle nie założyła Fundacja UNAWWEZA z siedzibą w Warszawie, będąca organizatorem projektu »Młode Głowy«”. Co ty na to?

– Nie mamy takiego obowiązku, ponieważ na żadnym etapie przeprowadzania badania nikt z nas nie miał bezpośredniego kontaktu z dziećmi. To nie my przeprowadziliśmy ankiety na terenie szkół, tylko pedagodzy, nauczyciele, którzy za zgodą dyrekcji zgłaszali swoje placówki do projektu. A potem za zgodą rodziców koordynowali je w klasach. Tylko i wyłącznie te osoby miały bezpośredni kontakt z młodymi ludźmi. W związku z tym oba te zarzuty są zupełnie pozbawione sensu. Natomiast bardzo skutecznie przekie-



Z NASZEGO BADANIA
WYNIKA, ŻE OKOŁO
40 PROCENT UCZNIÓW
MYŚLAŁO O PRÓBIE
SAMOBÓJCZEJ, A AŻ
CO DZIESIĄTY MŁODY
CZŁOWIEK DEKLARUJE,
ŻE JĄ PODJĄŁ

rowują uwagę z problemu, którym jest alarmujący stan zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży, o czym świadczą wyniki raportu.

Dlaczego zajęłaś się tym tematem?

– Wszystko zaczęło się od bardzo osobistej historii. Dwa lata temu moja wówczas 13-letnia córka odebrała telefon od osoby z jej otoczenia, która chciała popełnić samobójstwo. I postanowiła z mojej córki uczynić swoją powiernicę.

Straszne obciążenie dla młodej osoby.

– Zbyt duże dla każdego, a dla dziecka szczególnie. Zresztą dla nas obu był to moment głębokiego wstrząsu, trzeba było działać natychmiast. Na szczęście to konkretne dziecko zostało uratowane, ale miałam okazję przekonać się osobiście, jak działa, a raczej jak bardzo w Polsce nie działa system. Nie edukujemy młodego pokolenia, jak rozpoznać kryzys psychiczny u siebie, u kogoś, jak reagować. Większość szkół nie ma wypracowanych procedur postępowania w takich sytuacjach. I do kogo w ogóle zwrócić się po pomoc. Przez moment byłam tą zdesperowaną mamą, która próbowała umówić wizytę u psychiatry dziecięcego i ciągle odbijała się od ściany. Okazało się, że na NFZ na taką wizytę czeka się rok, a prywatnie często wiele miesięcy. W 38-milionowym kraju mamy tylko nieco ponad 500 psychiatrów dziecięcych, a przecież borykamy się z kryzysem uchodźczym, mamy dzieci, które doświadczyły pandemii i lęku związanego z wojną w Ukrainie. Dotarło do mnie, że zdrowie psychiczne to temat tabu i nie potrafimy o nim rozmawiać. Jako matka poczułam się absolutnie bezsilna i zrozumiałam, że nie istnieje żaden działający, przemyślany system wsparcia.

Trudno o system wsparcia, profilaktykę, gdy nie ma kompleksowej diagnozy problemu.

– Właśnie. Nie da się opracować dobrego programu profilaktycznego bez rzetelnego badania skali i przyczyn. Projekt „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym” powstał po to, żeby usłyszeć głos naszych dzieci: co myślą o sobie, z czym mają największe problemy, a przede wszystkim, gdzie szukają wsparcia. Tymczasem od niektórych osób słyszałam takie opinie: „Ale my wiemy, że jest źle, to po co to badać? Po co w ogóle przystępować do tego projektu?”. I w związku z tym są szkoły, które nie wzięły udziału w badaniu właśnie dlatego, że „wszyscy wiemy, że jest źle”.

Teraz, między innymi dzięki tobie, wiemy, jak bardzo jest źle.

– Z danych policji wiemy, że w ubiegłym roku próbę samobójczą podjęło 2031 dzieci. 150 tych prób zakończyło się śmiercią. Od 2020 do 2022 roku odnotowano wzrost prób zachowań samobójczych o 140 proc. To jest dramatyczny wzrost. Natomiast z naszego badania wynika, że około 40 proc. uczniów myślało o podjęciu próby samobójczej, a aż co dziesiąty młody człowiek deklaruje, że podjął próbę samobójczą. Gdyby przełożyć to na liczbę młodych ludzi w Polsce w wieku 10-19 lat, to możemy przypuszczać, że aż 340 tysięcy dzieci mogło podjąć próbę samobójczą. To mną jako matką wstrząsnęło. Od kiedy dostałam te wyniki do ręki, nie mogę przespać ani jednej nocy spokojnie, bo wiem, że jest tyle dzieci, które nie zostały i być może nie zostaną wysłuchane nigdy. Z naszego badania wynika, że dwoje na troje dzieci nie miało kontaktu ani w szkole, ani poza szkołą z psychologiem dziecięcym. Czyli mamy prawo przypuszczać, że jest

ogromna grupa młodych ludzi z problemami, których nikt nigdy nie zapytał o zdanie.

W ankiecie udział wzięło ponad 180 tysięcy uczniów, nie było jeszcze takiego badania w Polsce.

– Zapytaliśmy wszystkie dzieciaki niezależnie od tego, czy miały okazję rozmawiać kiedykolwiek z psychologiem, czy pochodzą z małych miejscowości, czy dużych. Dziewczynki, chłopców oraz osoby, które określiły się poza binarnym podziałem płci – co ciekawe, to aż 3,4 proc. Czego się dowiedzieliśmy z tych badań? Że dzieciaki czują się osamotnione, co drugi uczeń w Polsce w wieku 10-19 lat ma skrajnie niską samoocenę i fatalne zdanie o sobie. Ponad 80 proc. młodych ludzi w kłopotliwej sytuacji nie potrafi znaleźć rozwiązania i nie radzi sobie ze stresem dnia codziennego. Młodzi odpowiadają wprost: nikogo nie obchodzi, nic nie znaczą i niczego nie potrafię, nie dam sobie rady. Dlatego niejednokrotnie nie szukają ani nie widzą rozwiązań. Próba samobójcza wydaje im się jedynym sposobem, żeby przerwać cierpienie. Mówią: „Chciałbym/chciałabym zniknąć. Nie chcę już nikomu sprawiać kłopotu”. Tak jak dodaje nasza ekspertka i psycholożka Joanna Flis – obraz dopełnia niski poziom zaufania społecznego młodych, brak wiary w skuteczność profesjonalnej pomocy czy wsparcia. Zresztą nie ma się co dziwić. Według danych CBOS z 2022 roku wynika, że prawie 80 proc. dorosłych Polaków uważa, że w stosunkach z innymi trzeba być bardzo ostrożnym, więc taki przykład dajemy dzieciom.

Zacząć pewnie trzeba od domu i pytania: czy współcześni rodzice są przygotowani na te wyzwania?

– Pokolenie lat 70. i 80. wciąż ma trudność w mówieniu o zdrowiu psychicznym, a wyzwania są ogromne. Mówimy naszym dzieciakom: „Wiesz, ja w twoim wieku...”, a nie możemy przekładać naszych doświadczeń i wspomnień na to, czego dziś doświadczają dzieci. Przestańmy mówić: „Gdybym była tobą/na twoim miejscu...”, bo to się nijak ma do obecnej rzeczywistości. Nie wiemy, jak to jest być dziś nastolatkiem, co znaczy mierzyć się z wyzwaniami współczesnego świata, bo stykaliśmy się z zupełnie innymi problemami. Rodzice często powtarzają: „Nie wołbrzymiaj, ludzie mają większe problemy, zaharowują się dla ciebie, a ty tego nie doceniasz”, a wtedy dzieciaki czują się unieważnione, czują się niesłyszane. Jeśli nie mogą znaleźć wsparcia u rodziców, zabraknie mądrego i czujnego nauczyciela, a do psychologa nie trafiają, to same często nie są w stanie udźwignąć tego ciężaru.

Może największym problemem jest to, że potrafimy się przyznać, że chorujemy na serce czy nerki, ale nie że byliśmy po poradę psychiatryczną czy psychologiczną, jakby to nas stygmatyzowało.

– To, że nie mówimy o zdrowiu psychicznym otwarcie, to jest wciąż wina nieuzasadnionego wstydu. Gdy rodzice słyszą, że mają zaprowadzić dziecko do psychologa albo do psychiatry, to myślą, że nie sprawdzili się w swojej roli. Jakby mieli się przyznać do porażki, co jest absolutną nieprawdą. Czas to zmienić!

A co z przemocą rówieśniczą i jej wpływem na kondycję psychiczną?

– My, dorośli, chcielibyśmy się na tym zawiesić i powiedzieć, że to jest źródło wszelkich problemów. Nasze badanie pokazuje, że



WSPÓLNIE Z GRONEM EKSPERTÓW
OPRACOWUJEMY OGÓLNODOSTĘPNY,
DARMOWY PROGRAM
PROFILAKTYCZNY, KTÓRY BĘDZIE
MÓGŁ BYĆ REALIZOWANY
W SZKOŁACH I TO JUŻ
W NAJBLIŻSZYM ROKU SZKOLNYM

to nie jest prawda. Oczywiście dzieci doświadczają przemocy rówieśniczej, hejtu. Ale z naszych badań wynika, że zdaniem dzieci poziom przemocy rówieśniczej i przemocy domowej jest na podobnym poziomie. I nie chodzi tylko o przemoc fizyczną, ale też o tę werbalną i psychiczną. Czyli nie możemy zrzucić winy wyłącznie na młode pokolenie i na internet, najpierw musimy przyjrzeć się sobie. Zadaliśmy w naszym badaniu pytanie otwarte, czy młodzi kiedyś w swoim życiu usłyszeli od innych osób coś takiego, czego nigdy nie chcieliby usłyszeć. I powiem ci, że część tych wypowiedzi nie nadaje się do zacytowania w tej rozmowie.

Dlaczego?

– Dlatego że są tak drastyczne.

Chodzi o wyzwiska, przekleństwa, obelgi, jakie dziecko słyszy od rodziców?

– Tak, łącznie z tekstami: „Boże, żałuję, że cię nie wyskrobałam”. „Lepiej, żebyś zniknął z tego świata”. „Bez ciebie byłoby nam lepiej”. „Nic z ciebie nie będzie”. Niektóre zawierają konkretne, bardzo drastyczne sugestie, co młody człowiek może sobie zrobić, których nie będą przytaczać, żeby nie stały się dla nikogo inspiracją.

Masakra.

– Mamy całe strony zapisanych zdań od młodych ludzi. Tak strasznych, że czytałam to, wstawałam, odchodziłam od biurka. Wracałam, czytałam dalej, czułam złość, frustrację, niezgodę i wszystkie możliwe emocje związane z tym, jak bardzo te dzieci muszą czuć się niewysłuchane i często niechciane.

No dobrze, a powiedz, Martyna, jakbyś mogła ująć w skrócie, co najważniejszego powinno się wydarzyć. Mówisz, że macie przygotowane rekomendacje. Od czego trzeba zacząć już teraz?

– Ten kryzys narastał latami i wiem, że nie zmienimy z dnia na dzień systemu opieki zdrowotnej, nie zwiększymy nagle liczby psychiatrów i dziecięcych oddziałów psychiatrycznych. Ale możemy wdrożyć system wczesnego ostrzegania, reagowania na pierwsze objawy kryzysu psychicznego i zacząć profilaktykę. Przy tym projekcie współpracujemy z około 20 fundacjami, organizacjami i instytucjami naukowymi. Teraz wspólnie z gronem ekspertów opracowujemy ogólnodostępny program profilaktyczny, który będzie mógł być realizowany w szkołach i to już w najbliższym roku szkolnym.

Po takim zawiadomieniu to nie wiem, czy minister Czarnek się zgodzi, żeby realizować jakikolwiek program, który przedstawiacie.

– Dlatego jest to program ogólnopolski, dostępny dla każdego, darmowy i dobrowolny. I liczę na to, że szkoły skorzystają z wiedzy naprawdę ogromnego grona specjalistów, którzy przygotowują konkretne narzędzia dla rodziców, nauczycieli, a przede wszystkim dla dzieci.

Nie masz wrażeń, że właśnie zrobiliście bardzo ważny raport, który wstrząśnie, mam nadzieję, przynajmniej rodzicami, nauczycielami. Da opinii publicznej do myślenia, tylko że nic za tym nie pójdzie, ponieważ, że tak powiem, rządzący nie są zainteresowani rozwiązaniem tego problemu.

– Brakuje tego, żebyśmy mówili jednym głosem i przestali się w końcu przepychać. Skupmy się na tym, co jest najważniejsze. Dzieciaki potrzebują naszego czasu, uwagi i wzmocnienia poczucia własnej wartości. Muszą nauczyć się ufać i sięgać po pomoc. Zamiast mówić do nich językiem deprecjonującym i wytykać błędy, starajmy się je wspierać, by rozwijały swoje kompetencje i talenty. Tak naprawdę to powinniśmy przeprowadzić gruntowną reformę całego systemu edukacji, który jest niewydolny, i to od dawna. Młodzi ludzie potrafią rozwiązywać skomplikowane równania matematyczne, wymieniają wiele trudnych dat, znają cały okres rozwojowy pantofelka, a tak niewiele wiedzą o swoim zdrowiu i potrzebach. Trzeba też wspierać nauczycieli i rodziców, bo mają prawo czuć się zagubieni, wypaleni. Tak jak ja kiedyś mogłam chcieć najlepiej na świecie, a nie wiedzieć, jak zrobić to dobrze. Jeśli możemy szkolić się w zakresie pierwszej pomocy ofiarom wypadków, to możemy też nauczyć się pierwszej pomocy psychologicznej. Czeka nas wiele pracy, i to na lata. To będzie ultramaraton, a nie sprint. Ale warto zacząć jak najszybciej, najlepiej już dziś, bo to naprawdę ostatni dzwonek. **N**

tomasz.sekielski@newsweek.pl

X6

THE
NEW

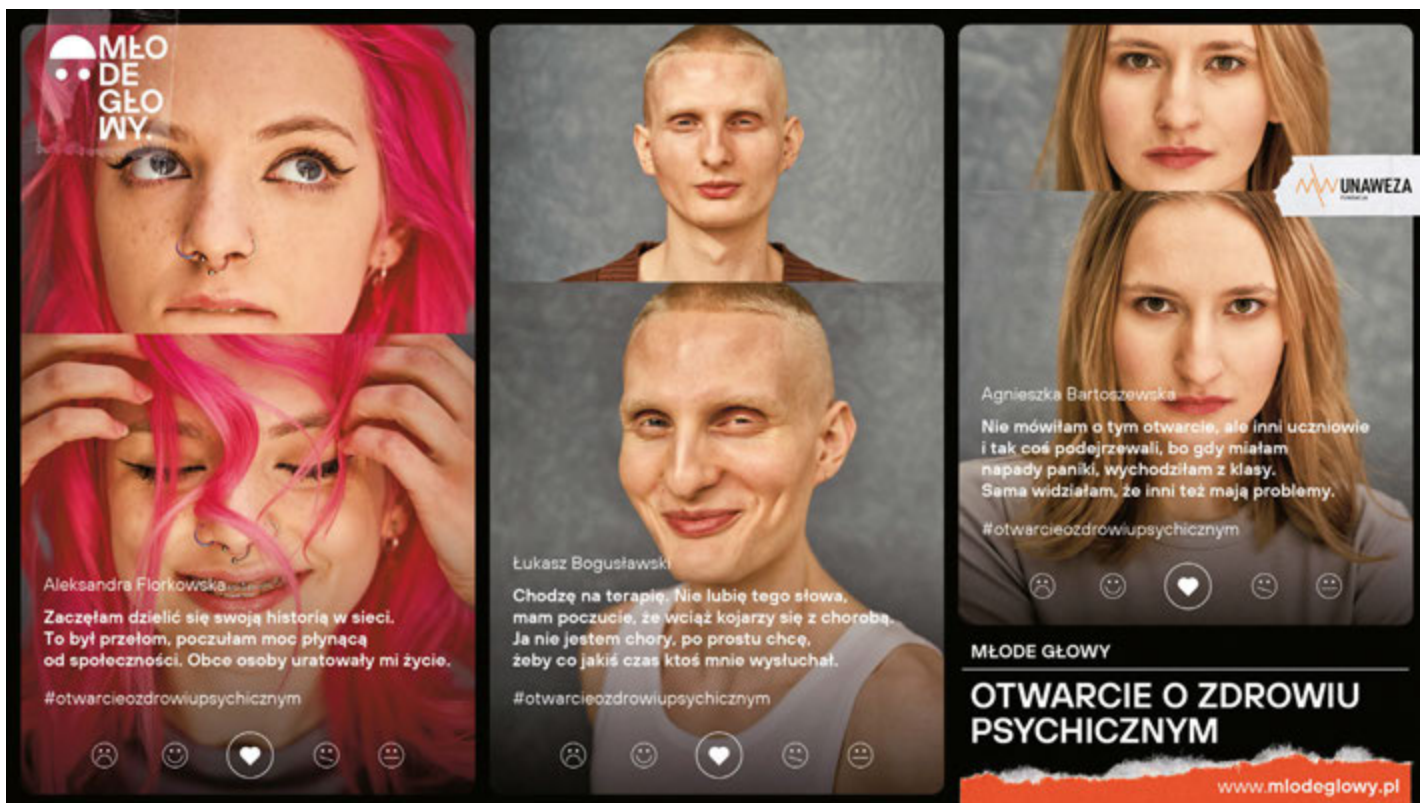


Odkryj nowe BMW X6:



Radość z jazdy

BMW X6 M60i xDrive: zużycie paliwa, cykl mieszany w l/100 km: 11,4-12,3. Emisja CO₂, cykl mieszany w g/km: 258-279.



DLACZEGO DZIECI NIE CHCĄ ŻYĆ

Bezgranicznie samotne

Myślą, że życie nie ma sensu, nic dobrego ich nie spotka, niczego nie osiągną. Tną się, głodzą albo objadają, próbują odebrać sobie życie. Pomocy szukają najpierw u kolegów

TEKST RENATA KIM, NATALIA FABISIAK

Zwykle maile zaczynają od pytania, gdzie mogą dostać pomoc? Bo rodzice zamiast wsparcia radzą: weź się w garść, bo życie ci jeszcze pokaże. Albo: jak będziesz w moim wieku, to będziesz miał prawdziwe problemy. – Dziecko mówi, że się samookalecza, a dorośli nie pytają o powód, tylko mówią,

żeby przestał to robić. To chyba najgorsze słowa, jakie można w takiej sytuacji usłyszeć – tłumaczy Angelika Friedrich, która w 2018 roku stworzyła Nastoletni Azyl, inicjatywę psychoedukacyjną dla młodych osób w kryzysie.

Nastolatki piszą do niej o strachu przed szkołą, zaburzeniach odżywiania, obniżonym nastroju, lękach i depresji. Pyta-

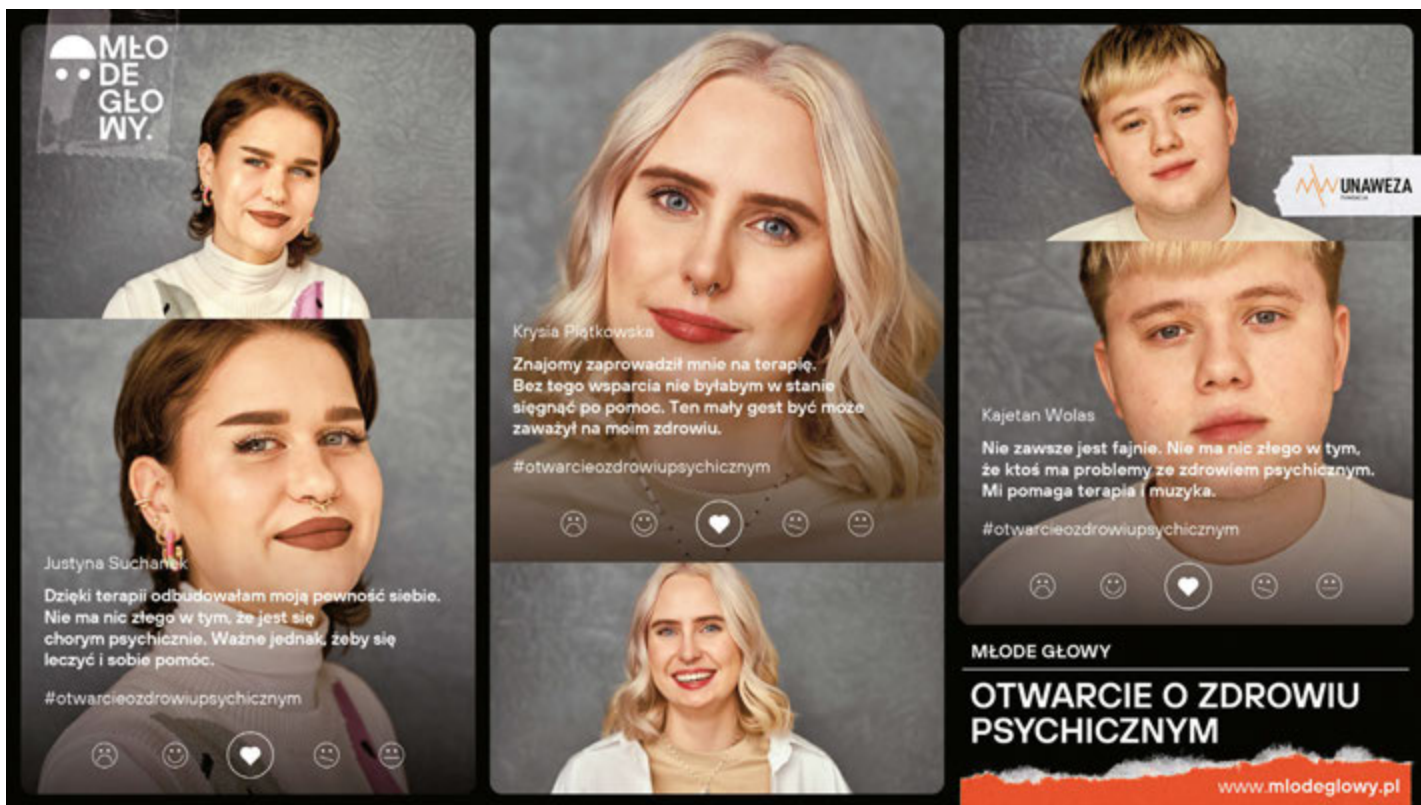
ją, co zrobić, gdy sobie nie radzą. – Mamy zasadę, że przede wszystkim nie chcemy szkodzić, więc zachęcamy, żeby pójść do nauczyciela albo skorzystać z telefonu zaufania – wylicza Friedrich.

Rozumie nastolatków, bo pamięta, jak to jest, gdy człowiek myśli, że nic dobrego go nie spotka, niczego nie osiągnie. Wie, co to depresja i anoreksja. – Chcę, by usłyszeli, że nawet jeśli dziś nie widzą przyszłości, to warto dać sobie jeszcze jedną szansę. Ja w 2016 roku ją sobie dałam. Dziś mam 22 lata, a to o siedem więcej, niż planowałam – mówi.

ZROZPACZENI

JEST JEDNĄ Z BOHATEREK KAMPANII PROJEKTU „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym”. W tym bezpłatnym i anonimowym badaniu stanu zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży przeprowadzonym z inicjatywy Fundacji UNaweza wzięły udział ponad 184 tysiące uczniów z całej Polski.

Wyniki badania są wstrząsające: co trzecie polskie dziecko nie ma chęci do życia. Aż 18,6 proc. uczniów przyznało, że planowało odebranie sobie życia. 8,8 proc. zadeklarowało, że podjęło próbę samobójczą.



– To prawie co dziesiąte dziecko. Dotychczas nasza wiedza dotycząca zamachów samobójczych opierała się na statystykach Komendy Głównej Policji, które są niepełne, bo dotyczą ujawnionych przypadków. Dzięki badaniu „Młode Głowy” mamy dostęp do najbardziej rzetelnych danych – tłumaczy Joanna Flis, psychoterapeutka i socjolożka, która razem z doktorem Maciejem Dębskim koordynowała badania z ramienia Fundacji Dbam o Mój Z@sięg.

Równie dramatyczne dane podają specjaliści telefonu zaufania prowadzonego przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę. W ubiegłym roku na numer 116 111 ponad 19 młodych osób dziennie dzwoniło i pisało w sprawie myśli, zamiarów i prób samobójczych. Konsultanci linii podjęli 885 interwencji ratujących życie lub zdrowie. – Tylko w zeszłym miesiącu było ich 100, najwięcej od początku, czyli od 2008 roku – mówi Monika Kamińska, rzeczniczka fundacji.

SAMOTNI

JOANNA FLIS PRACUJE Z DZIEĆMI, młodzieżą, a także rodzicami, więc spodziewała się, że wyniki będą alarmujące. Ale zaskoczyło ją to, że problem dotyczy nie

tylko tych, które korzystają z pomocy specjalistów.

– To tzw. triada kryzysu psychicznego. Składają się na nią trzy wzajemnie napędzające się elementy: niskie poczucie sprawczości, niska samoocena i ogromne osamotnienie. Dzieci, które mają myśli samobójcze, dokonują samouszkodzeń, to są te same, które wykazują niskie poczucie sprawczości, niskie poczucie wartości i borykają się z osamotnieniem i kryzysem zaufania społecznego. Niektóre próbują przerwać to ogromne cierpienie, dokonując zamachu samobójczego. Dla wielu to jedyne rozwiązanie – tłumaczy Flis.

– Z każdym rokiem jest coraz gorzej. Wiele młodych osób odeszło przez śmierć samobójczą, a te, które zostają, nie potrafią sobie z tym poradzić. Czują się oszukane, bo wczoraj rozmawiały z przyjacielem, a dziś już go nie ma. Dorosli im nie pomogą, bo jak wytłumaczyć, że młody człowiek umarł? Nie ma też systemowej pomocy. Moja uczennica bardzo cierpiała po śmierci przyjaciela, ale najbliższy termin u psychologa był za 2,5 miesiąca. Oczywiście prywatnie, a cena zaporowa – mówi Aneta Korycińska, nauczycielka i blogerka znana jako Baba od Polskiego.

Pamięta szok, gdy przyjechała z małego miasta do Warszawy i zaczęła tu pracę. – Tam młodzi ludzie rozwiązywali problemy często za pomocą alkoholu i narkotyków, czasem uciekali z domów. Ale jeszcze gdzieś wychodzili, przesiadywali na ławkach w parku, mogli ze sobą pogadać, wyładować emocje. W szkole społecznej w stolicy narkotyki były na porządku dziennym jako forma ucieczki. Prawdziwym problemem była samotność – tłumaczy.

– Rodzice muszą pracować i chyba brakuje im czasu na rozmowy z dziećmi. Dawniej też nie w każdym domu była rozmowa, ale chociaż mieliśmy rodzeństwo, znajomych, trzepak pod domem, boisko za szkołą, można się było wyszaleć. Dzisiaj młodzi ludzie nie mają jak rozładować napięcia. Na korepetycjach spotykam osoby z różnych środowisk i wiele z nich mówi, że nie mogą się doczekać piątku, żeby odpocząć. Jak? Będą przeglądać TikToka. Nie ma w tym nic złego, ale to znaczy, że nie wychodzą z domu – mówi Korycińska.

NIEKOCHANI

DR ALEKSANDRA LEWANDOWSKA, KRAJOWY KONSULTANT w dziedzinie psychiatrii

dzieci i młodzieży, często słyszy: chcę, żeby tata pograł ze mną w piłkę, a on siedzi w telefonie. Mama ogląda serial za serialem, a brat gra w swoim pokoju na komputerze.

– Czyli można być w jednym pomieszczeniu, a tak naprawdę bardzo daleko od siebie. Stąd m.in. ta samotność. Znika kultura spędzania czasu ze sobą. Niekiedy dzieci same się dopominają, by zjeść wspólnie kolację albo pójść na spacer. Opowiadają: mamy w domu wiele gier planszowych i w ogóle nie gramy, bo rodzice są zmęczeni. Rzeczywiście, jak osoby dorosłe są w gorszej kondycji i o nią nie dbają, to dzieci też będą gorzej funkcjonować. Bo rodzina to naczynia połączone – mówi psychiatra.

Miała nadzieję, że pandemia będzie dla ludzi wstrząsem, że zrozumieją, co jest w życiu najważniejsze. – Ani gromadzenie przedmiotów materialnych, ani pieniądze nie mają znaczenia, tylko drugi człowiek. Te rodziny, w których była dbałość o relacje, pandemia jeszcze bardziej ten obszar wzmocniła. Tam, gdzie był deficyt relacji, problem jeszcze się nasilił – mówi dr Lewandowska.

Widać to także w badaniu „Młode Głowy”: aż 11,3 proc. uczniów czuje się zaniebanych przez rodziców. 12 proc. mówi wprost, że czują się niekochani.

Za to prawie połowa ankietowanych (48 proc.) deklaruje, że ich wartość wzrasta, gdy rodzina jest z nich dumna. Tyle tylko że rodzice są najczęściej dumni wtedy, gdy ich dziecko osiąga wymierne sukcesy: dostanie się do dobrej szkoły, przyniesie dobrą ocenę.

– Jedna z mam odkryła, że są olimpiady wiedzy o religii, więc chociaż sama jest niewierząca, uznała, że to doskonały pomysł, by dziecko zdobyło więcej punktów w rekrutacji. Przez pół roku wkuwało więc Apokalipsę św. Jana na pamięć – mówi Aneta Korycińska i dodaje: – Rodzice chcą dla dziecka jak najlepiej, ale niekoniecznie taki prestiż jest dla niego najlepszy. Młodzi ludzie nie chcą już brać udziału w wyścigu szczurów, jak ich rodzice. Buntują się i depresje są wynikiem takiego buntu.

Pamięta uczennicę, która w czasie lekcji poszła do toalety i się okaleczy-

ła. – Byłam w szoku, zapytałam, jak mam jej pomóc. Opowiedziała mi, szlochając, że nie ma marzeń, bo jej rodzice zamiast z nią porozmawiać, zajmują się pracą, a jak im powie o jakimkolwiek marzeniu, to natychmiast je spełniają. Chcesz kurs rysunku? Proszę, masz. Marzysz o wyjeździe do Włoch? Nie musisz odkładać pieniędzy, proszę jedź, ale sama albo znajdź sobie znajomych. My nie możemy – tłumaczy nauczycielka.

PRZERAŻENI

TAK WYCHOWYWANI MŁODZI POLACY nie dość, że nie mają chęci żyć, to spodziewają się życiowej porażki. Z badania „Młode Głowy” wynika, że aż 80 proc. przerasta stres dnia codziennego.

– Pytaliśmy dzieci o sytuacje kłopotliwe, ale nie dramatyczne. Jak by sobie poradziły, gdyby zapomniały pracy domowej, zostały niespodziewanie wywołane do jakiegoś drobnego kłamstwa. I okazało się, że duża grupa dzieci spodziewa się, że sobie nie poradzi, straci głowę. Mają bardzo niskie poczucie sprawczości, wręcz wyuczoną bezradność wobec rzeczywistości. Nie tylko w sytuacjach, które wymagają wsparcia dorosłych albo systemowego, ale także wtedy, gdy muszą poradzić sobie ze stresem – tłumaczy Joanna Flis.

Dr Lewandowska widzi to w swojej praktyce. – Dzieci nie są uczone radzenia sobie z najprostszymi wyzwaniem. Część rodziców jest nadopiekuńcza, trzyma nad nimi parasol ochronny, nie pomaga im się rozwijać. A jednocześnie brakuje odpowiedniego wsparcia, które też jest przyczyną różnych trudności, z jakimi te dzieci się mierzą – mówi.

29,3 proc. uczniów ma podejrzenie depresji, co szósty się okalecza, a blisko połowa ma zaburzenia odżywiania – kompulsywnie się objada lub głodzi. Co trzeci odchudza się i ćwiczy ponad swoje siły.

SMUTNI

WSZYSTKIE TE PROBLEMY znają bohaterowie kampanii „Młode Głowy”.

Aleksandra Florkowska, autorka instagramowego profilu „Narodziny wegeta-

rianki”, w wieku 14 lat zachorowała na anoreksję. – Nauczycielka w szkole baletowej powiedziała, że moja waga jest zbyt wysoka. Zaczęło się od rezygnacji ze słodyczy i z fast foodów, a skończyło głodówkami i kolejnymi pobytami w szpitalach – opowiada.

Krysia Piątkowska już w podstawówce cierpiała na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne: natrętne myśli, obsesyjne mycie rąk, trudny do wytłumaczenia lęk. Kiedy miała 12 lat, zmieniła szkołę i zaczęło się nękanie. Rówieśnicy mówili, że jest głupia, gruba, brzydka. Nauczyciele nie reagowali.

– Z poczuciem, że jestem gorsza od innych, poszłam do gimnazjum. Znalazłam tam przyjaciół. Problem w tym, że przyjeżdżałam na siebie ich kłopoty, nie umiałam stawiać granic. Brak asertywności doprowadził do depresji i zaburzeń lękowych. Lekarze radzili, żebym zdrowo się odżywiła, chodziła na spacer i regularnie się wysypiała. „Nastolatki tak mają”, mówili. A ja miałam myśli samobójcze – mówi.

Kajetanowi Wolasowi, który – jak mówi – zawsze był „puszystym” dzieckiem, też dokuczali koledy. Wyzywali, szturchali i zamykali w toalecie. – W gimnazjum zdałem sobie sprawę, że cierpię na depresję. Nie potrafiłem skupić się na nauce, czułem smutek, niechęć dosłownie do wszystkiego, nawet do szkoły muzycznej, którą sam wybrałem. Na szczęście miałem znajomych, z którymi czułem się bezpiecznie – wspomina.

JEDEN WRAŻLIWY DOROSŁY

– **KIEDY POJAWIA SIĘ** PROBLEM, nastolatki najczęściej proszą o wsparcie rówieśnika. Problem w tym, że teraz większość nastolatków jest w kryzysie i trudno im komuś pomóc. Ale wrażliwość tych młodych ludzi na siebie nawzajem jest większa niż dorosłych. Zdarza się, że dziecko lub nastolatek zwraca się o pomoc do pedagoga szkolnego, psychologa, nauczyciela i jej nie dostaje. Dorosłym niejednokrotnie brakuje uważności i zrozumienia dla potrzeb nastolatków. A konsekwencje mogą być bardzo niebezpieczne – tłumaczy dr Aleksandra Lewandowska.

Według badania „Młode Głowy” wsparcie instytucjonalne istnieje, przy-

MŁODE GŁOWY

OTWARCIE O ZDROWIU PSYCHICZNYM

UNAWEZA
Fundacja

www.mlodeglowy.pl

Zofia Jakubowicz-Prokop
Poczucie bezsilności przekonało mnie do terapii, ale chyba nie podjęłabym tej decyzji, gdybym nie usłyszała od kogoś: „Może potrzebujesz pomocy?”
#otwarcieozdrowiupsychicznym

Wiktoria Głowienkowska
Usłyszałam od obcej kobiety: „Jaka biedna, całe życie zmarnowane”. Tymczasem ja nie zmarnowałam ani minuty mojego życia.
#otwarcieozdrowiupsychicznym

najmniej w teorii: prawie 9 na 10 uczniów (ponad 88 proc.) przyznaje, że w ich szkole jest psycholog szkolny. Tyle tylko że prawie 70 proc. nigdy nie korzystało z jego pomocy. W trudnych chwilach 53,2 proc. dzieci szuka wsparcia u rodziców.

– Z jednej strony możemy czytać ten wynik bardzo optymistycznie. Połowa dzieci ma szansę otrzymać wsparcie. Ale cała reszta w ogóle może nie dostawać pomocy – mówi Joanna Flis.

Zaradzić ma temu właśnie kampania Fundacji UNAWEZA. Opracowane wyniki badania posłużą do stworzenia

konkretnych narzędzi edukacyjnych dla uczniów, nauczycieli i rodziców. – Najważniejsze jest to, żeby normalizować sięganie po pomoc. Bardzo potrzebujemy systemu profesjonalnej pomocy, ale boję się, żeby ten wniosek nie przyćmił ludzkich odruchów i nie przyczyniał się do rozpraszania odpowiedzialności: niech się tym zajmą profesjonaliści. To tak nie działa. Wszyscy musimy się tym zająć, zaangażować. Wystarczy jeden mądry dorosły, żeby dziecku dostarczyć zasobów, które pozwolą mu przezwyciężyć trudności – dodaje Flis.

URATOWANI

ALEKSANDRZE FLORKOWSKIEJ POMOGŁY OSOBY poznane w sieci. Anoreksja – jak mówi – zaczęła ją zabijać. Leżała w ośrodku i codziennie przed snem żegnała się przez telefon z rodzicami, bo nie wiedziała, czy jeszcze się obudzi.

– Postanowiłam podzielić się moją historią. Gdy wrzuciłam film na TikToka, w ciągu zaledwie trzech dni zobaczyło go 100 tys. osób. Podjęłam walkę, bo zobaczyłam, że nie jestem sama. Przez kilka miesięcy pochłaniałam dziesiątki tysięcy kalorii, a ludzie pisali, żebym się nie poddawała – wspomina.

Krysię Piątkowską na terapię skierowała szkolna psycholożka. – Bałam się, jak zareagują rodzice, a ona zaproponowała, że z nimi porozmawia. Uratowała mi życie – opowiada.

Kilka lat później ta sama psycholożka zauważyła, że z Krysią coś się dzieje. Zaprosiła ją do gabinetu i znowu zadzwoniła do rodziców. Wtedy pierwszy raz dziewczyna trafiła do szpitala. – Jeśli miałabym coś przekazać ludziom w podobnej sytuacji, powiedziałabym: nie bój się prosić o pomoc. To nie jest powód do wstydu, a wręcz przeciwnie – pokazanie siły.

Kajetan Wolas poprosił mamę, by zabrała go do terapeuty dopiero po tym, jak próbował odebrać sobie życie. – Powiedziałem: „Nie pytaj dlaczego. Po prostu mnie zapisz”. Chyba pierwszy raz doceniłem wtedy, że mam rodziców, na których mogę polegać – wspomina.

Pierwszym dorosłym, któremu zaufała Angelika Friedrich, był nauczyciel w gimnazjum. Zaniepokoiło go, że wyrzuca kanapki. Zapytał, dlaczego nie chce jeść. Kiedy wytłumaczyła, porozmawiał z rodzicami i dzięki temu dostała pomoc.

Teraz chciałaby przekazać nastolatkom, że mogą przeżyć największy kryzys, że każde cierpienie przemija. – Co mogą zrobić dla nas dorośli? Słuchać i słyszeć, akceptować i wspierać. Marzy mi się, żeby pamiętali, że kiedyś też byli młodzi i mieli swoje, często podobne do naszych, problemy. **N**

renata.kim@newsweek.pl

natalia.fabisiak@newsweek.pl

WIELKIE WPŁYWY, WIELKIE PIENIĄDZE

PAJĘCZYNA BIELANA

Obok frakcji Ziobry, Morawieckiego i Sasina w obozie rządzącym działa nieformalna, ale wpływowa grupa Piotra Woźnego, dobrego znajomego Adama Bielana. Ma swoich ludzi na ważnych stanowiskach

TEKST RENATA GROCHAL, GRZEGORZ RZECZKOWSKI

Gdy wybucha afera z dziwnymi firmami, które dostawały pieniądze z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, nerwowo robi się nie tylko w biurze europosła PiS Adama Bielana, lidera Partii Republikańskiej, która kontroluje tę państwową instytucję. Także w biurach warszawskiej kancelarii GWW, usytuowanych w modnym kompleksie Elektrownia Powiśle. To jedna z największych firm prawniczych w Polsce, zatrudniająca 140 prawników i doradców, wymieniana wśród najlepszych w dziedzinie prawa podatkowego. Specjalizuje się też w sprawach telekomunikacji i nowych technologii. Dzięki świetnym relacjom z politykami PiS ludzie kancelarii zdobywają intratne zlecenia i ważne stanowiska w instytucjach państwowych.

Z kancelarią od 20 lat związany jest Piotr Woźny, były wiceminister cyfryzacji, były szef Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Formalnie GWW to dwie spółki, w pierwszej Woźny jest partnerem, w drugiej współnikiem (z przerwą na czas, gdy zajmował stanowiska państwowe).

Prawnicy od Woźnego pracują w NCBiR. Karol Kuch, do niedawna wpływowa postać w GWW, był nawet doradcą dyrektora NCBiR Pawła Kucha. Zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa. Karol Kuch to starszy o dwa lata brat Pawła, który prawniczą karierę zaczynał także w GWW. To do niego zgłosił się Adam Bielana, gdy szukał kandydata na szefa NCBiR. Republikanie Bielana przejęli kontrolę nad tą instytucją w ramach podziału łupów w Zjednoczonej Prawicy.

Karol Kuch to bliski znajomy Bielana i Woźnego. Jest pełnomocnikiem Bielana w sprawie o naruszenie dóbr osobistych, którą wytoczył politykowi były minister skarbu z PO Aleksander Grad. Za rządów Platformy Kuch był dyrektorem biura grupy kapitałowej PKN Orlen. Na to stanowisko zarekomendował go – według naszych rozmówców – Woźny, który jeszcze ze studiów w Poznaniu znał się z szefem orlenowskich prawników

(Woźny temu zaprzecza). Kuch, który również skończył studia prawnicze na poznańskim uniwersytecie, od 2015 r. był ważną postacią we władzach kancelarii GWW. Jego karierę przerwała afera w NCBiR. Współpracę z kancelarią zakończyć musiała także żona Adama Bielana. – Chodziło o to, by odsunąć uwagę od kancelarii GWW – mówi jeden z naszych rozmówców.

Na spotkanie z nami Karol Kuch przychodzi z prawniczką. Przyznaje, że to do niego, a nie do brata zgłosił się Bielana z pytaniem, czy zna doktora prawa, bo szuka kogoś do NCBiR. Doktorat był warunkiem, by pokierować tą instytucją. Kuch polecił Bielana bratu z doktoratem. Pytany, czy nie widzi nepotyzmu w tym, że doradzał bratu w NCBiR, odpowiada, że nie brał za to pieniędzy, był doradcą społecznym. Poza tym – jak stwierdził – chciał pilnować brata, by nie wpakował się w jakieś g..., w które się wpakował.

Po odejściu z NCBiR Paweł Kuch wrócił do Szwajcarii, gdzie od kilku lat mieszka z rodziną. Przed wyjazdem pracował w spółkach związanych z biznesmenem Piotrem W., podejrzanym o stworzenie piramidy finansowej, której ofiarami mogło paść nawet dwa tysiące osób, a straty finansowe liczone są w setkach milionów złotych. W związku z tą sprawą W. był aresztowany przez 2,5 roku. Kilkanaście lat temu Piotr W. był klientem GWW. Jednym z jego bliskich współpracowników jest rosyjski oligarcha Alec Fesenko, Kuch był w radzie nadzorczej spółki, która później przeszła w ręce Fesenki. Jak słyszymy w PiS, gdy nadzorujący NCBiR wiceminister Jacek Żalek dowiedział się o rosyjskich powiązaniach Kucha, miał pretensje do Bielana, że wskazał takiego człowieka na szefa państwowej instytucji.

Paweł Kuch na nasze pytania nie odpowiedział. W jego imieniu maila przysłał pełnomocnik Karol Chodorowski, prawnik z GWW, który razem z Kuchem przyszedł do NCBiR i do dziś tam pracuje. „Zwracam się o niekierowanie do Pawła Kucha jakichkolwiek zapytań na potrzeby przygotowanych materiałów prasowych czy innych. Paweł Kuch jest osobą prywatną, nie ma obowiązku udzielania



Adam Bielan podczas konwencji Partii Republikańskiej, Warszawa, czerwiec 2021 r.

jakichkolwiek odpowiedzi na państwa pytania” – napisał Chodorowski, grożąc „reakcją na gruncie prawnym”.

I

Z KANCELARIĄ GWW i Piotrem Woźnym od lat przeplata się nazwisko Bielana. Tu pracowała pierwsza żona polityka PiS Wiktoria oraz druga żona Klaudia. Bielana przekonuje nas w przysłanym mailu, że o zatrudnienie małżonek u Woźnego nie zabiegał. Kancelaria GWW wykonywała dla Bielana zlecenia od czasu, kiedy po raz pierwszy został europoseł. Unia na rzecz Europy Narodów, frakcja w której w europarlamencie zasiadało PiS, zleciła GWW w 2007 r. wykonanie ekspertyzy za 13 tys. euro. Gdy politycy PO zarzucili Bielanowi konflikt interesów, bo w kancelarii zatrudniona jest jego małżonka, europoseł bronił się, że nie miał wpływu na tę decyzję, a żona nie zajmowała się przygotowaniem raportu.

Według kilku naszych źródeł Bielana i Woźny znają się od końca lat 90. Woźny twierdzi, że poznali się dużo później, bo dopiero w 2006 r. i nie widzieli się prawie cztery lata. Za rządów AWS (1997-2001) Woźny był wiceministrem łączności, a Bielana posłem AWS. Woźny trafił do resortu łączności dzięki znajomości z braćmi Marcinkiewiczami. Z Mirosławem Marcinkiewiczem, wówczas dyrektorem generalnym w Ministerstwie Łączności, poznał kontrowersyjny biznesmen Jan Łuczak, związany z prawicą. Był on pierwszym politycznym protektorem Woźnego. Od tamtego czasu Woźny łączy biznes z polityką.

To właśnie pod koniec lat 90. w resorcie łączności Woźny poznał Annę Streżyńską, za czasów AWS dyrektorkę jednego z departamentów. – Piotr Woźny miał ogromny wpływ na rynek telekomunikacyjny, ale dużo większy miała Streżyńska. To ona namawiała ministra Tomasza Szyszkię do podejmowania decyzji, jeśli chodzi o rozwój telekomunikacji. Piotr był bardzo dobrym prawnikiem i potrafił przekładać te pomysły na język prawny – mówi nam były premier Kazimierz Marcinkiewicz.

Od tamtego czasu Streżyńska i Woźny uchodzą za najlepszych ekspertów od rynku telekomunikacyjnego w Polsce. W 2005 r. wraz z prawnikiem ze swojej kancelarii Woźny przygotował ustawę, która po zwycięstwie PiS w wyborach zrewolucjonizowała rynek medialny i telekomunikacyjny, a także otworzyła partii Kaczyńskiego drogę do przejęcia mediów publicznych. Według projektu część kompetencji Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji przekazano do nowo utworzonego Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Woźny mimo propozycji ze strony polityków PiS nie został członkiem KRRiT. Jak tłumaczył, nie mógł przyjąć tej oferty, bo jako prawnik reprezentował wcześniej biznesmenów aferzystów. Wymienił Jana Łuczaka oraz Janusza Lazarowicza, poszukiwa-

nego europejskim nakazem aresztowania za podżeganie do zabójstwa inwestora giełdowego. Co ciekawe, we władzach spółki, którą wcześniej kierował Lazarowicz, zasiadał również Karol Kuch.

W PiS krążą opinie, że to Woźny był ojcem nominacji Streżyńskiej na szefową UKE. Miał podrzucić jej nazwisko Bielanowi, a ten polecił ją premierowi Marcinkiewiczowi. – Był ogłoszony konkurs na prezesa UKE. Ludzie w PiS nie chcieli Streżyńskiej, bo była niezależna, dlatego nie wygrała konkursu. Jednak według przepisów prawo powołania pierwszego prezesa należało do premiera i ja, nie patrząc na protesty PiS, powołałem Streżyńską. Wyjaśniłem Kaczyńskiemu, że ona jest najlepsza i musimy ją wziąć. Z kolei ona wzięła Piotra, bo świetnie pisał prawo i w urzędzie taki człowiek był potrzebny. Długo działali w tandemie – wspomina Marcinkiewicz.

Według części naszych rozmówców to paradoks, że Woźny związał się z ekipą PiS, bo światopoglądowo daleko mu do tej partii.

– To typowy przedstawiciel wielkomiejskiej elity, mówiąc językiem PiS, taki lewak. Jego wygląd, zachowanie, żarty i patchworkowa rodzina bardziej pasowałyby do partii lewicowej albo liberalnej – mówi polityk PiS, dobry znajomy Woźnego. Dodaje, że Woźny cieszy się zaufaniem Jarosława Kaczyńskiego. Uznanie prezesa zdobył w 2007 r., gdy po przegranych wyborach PiS groziła utrata 65 mln zł subwencji z powodu nieprawidłowości w sprawozdaniach finansowych. Bielana przyprowadził Woźnego do Kaczyńskiego i zapewnił, że wybroni on PiS w sprawie toczącej się przed Sądem Najwyższym. Bielana potwierdza w mailu, że „był w gronie osób, które weryfikowały zasadność zaangażowania GWW do reprezentowania PiS”. – To okazało się dobrym wyborem, Sąd Najwyższy przychylił się bowiem do stanowiska PiS – argumentuje.

– Prezes był przekonany, że to będzie przegrane i PiS zostanie bez kasy, a Woźny to wygrał. Kaczyński go za to pokochał – dodaje były polityk PiS.

Ale nie z tego powodu o Woźnym zrobiło się w tamtym czasie głośno. W 2008 r. kierowany przez Streżyńską UKE zlecił wykonanie analizy dotyczącej możliwości podziału Telekomunikacji Polskiej SA (dziś Orange Polska), dominującej wówczas na rynku. Ekspertyza miała kosztować 1,3 mln zł. W skład konsorcjum, które przygotowało raport, wchodziła m.in. kancelaria GWW. Dokument stwierdzał, że podział służy liberalizacji rynku. Na tej podstawie UKE zamierzał podzielić TP SA na część detaliczną i hurtową.

To wtedy po raz pierwszy wobec Woźnego i GWW pojawiły się publiczne oskarżenia o konflikt interesów. Doradzali jednocześnie konkurentom TP SA, m.in. Netii, oraz operatorowi telefonii komórkowej Play, czyli spółce P4. W latach 2005-2006 w tej firmie pracował Paweł Kuch, który przyszedł tam wprost z GWW.



Zimowe

II

Po WYGRANYCH PRZEZ PiS wyborach w 2015 r. Woźny wchodzi do rządu w roli wiceministra cyfryzacji, czyli zastępcy Anny Streżyńskiej. Stanowiska w tym sektorze zaczynają obejmować bliscy im ludzie związani z GWW, m.in. Wanda Buk, córka gen. Tadeusza Buka, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Kancelaria zdobywa lukratywne kontrakty w państwowych spółkach i instytucjach – nie tylko związanych z sektorem telekomunikacyjnym. Jednym z najważniejszych zleceniodawców jest w ostatnich latach PKP PLK. Od 2016 r. wartość umów, jakie spółka zawarła z GWW, wyniosła co najmniej 11 mln zł. Jak wynika ze sprawozdań finansowych GWW dostępnych w KRS, tylko w 2021 r. zyski jej dwóch spółek prawniczych sięgnęły prawie 17 mln zł.

W wywiadzie udzielonym cztery lata temu „Dziennikowi Gazecie Prawnej” Wanda Buk niespecjalnie kryła się z tym, komu zawdzięcza stanowisko w rządzie. Jako 28-latką w 2016 r. została dyrektorem Centrum Projektów Polska Cyfrowa, które podlegało Ministerstwu Cyfryzacji. Bezpośredni nadzór sprawował nad nim Woźny. Zaledwie dwa lata wcześniej Buk była aplikantką w jego kancelarii. „Jestem prawnikiem, doradzałam przy projekcie, który prowadziła w 2015 r. minister Streżyńska. Zaprosiła mnie do współpracy. A że jednocześnie partner w kancelarii, w której pracowałam, został wiceministrem, to łatwiej było przyjąć tę propozycję”.

Woźnego z Buk wiąże także wątek smoleński. Woźny był jednym z założycieli Fundacji 10 Kwietnia, obecnie Dorastaj z Nami. Fundacja powstała tuż po katastrofie smoleńskiej w 2010 r. W radzie fundacji zasiadał obok Woźnego m.in. Mateusz Morawiecki, wówczas prezes BZ WBK.

Na początku 2016 r. Buk weszła do rad nadzorczych trzech spółek należących do NASK – instytucji zarządzającej siecią internetową w Polsce, podległej ministrowi cyfryzacji. Gdy w lipcu 2018 r. odeszła z posady szefowej Polski Cyfrowej i została wiceministrem cyfryzacji nadzorującym tę jednostkę, do CPPC trafiła inna prawniczka związana z GWW – Katarzyna Blachowicz. Początkowo była dyrektorką departamentu prawnego, w marcu 2022 r. objęła funkcję zastępczyni dyrektora Centralnego Ośrodka Infor-

matyki, rządowej instytucji podległej ministrowi cyfryzacji (dziś jest nim Janusz Cieszyński, mąż Wandy Buk).

Blachowicz dobrze zna się z Buk. Pracowały razem w zespole prawników GWW, który prowadził sprawę spółki InPost, gdy ta walczyła przed sądem o możliwość dostarczania przesyłek sądowych i prokuratorskich. Kariera Blachowicz, radczyni prawnej zatrudnionej w kancelarii Woźnego, nabrała rozpędu już wcześniej – w lutym 2017 r. Wtedy została najpierw doradcą w Ministerstwie Rozwoju, a następnie dyrektorem departamentu małych i średnich przedsiębiorstw. Resortem kierował wówczas Morawiecki. Weszła też do rad nadzorczych państwowego Cefarmu oraz do rady Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości.

Buk do Ministerstwa Cyfryzacji ściągnęła jeszcze jedną osobę związaną z GWW – Tomasza Procia. W styczniu 2020 r. objął on funkcję wicedyrektora podległego jej departamentu telekomunikacji. Odpowiedział m.in. za przygotowanie projektów dotyczących regulacji sektora komunikacji elektronicznej. Nieco ponad rok później ten był radcą prawnym z GWW był już szefem tego departamentu. Z oficjalnej strony ministerstwa wynika, że do zadań departamentu należała m.in. realizacja Narodowego Planu Szerokopasmowego, koordynacja budowy sieci szerokopasmowych w Polsce oraz koordynacja działań związanych z realizacją Ogólnopolskiej Sieci Edukacyjnej. To jedne z najważniejszych przedsięwzięć resortu cyfryzacji. Plan obejmuje lata 2021-2025. Przygotowania do opracowania planu rozpoczęły się w Ministerstwie Cyfryzacji najpóźniej w marcu 2017 r., czyli jeszcze w czasie, gdy wiceszefem resortu był Piotr Woźny.

Do roli doradcy w jego przygotowaniu Ministerstwo Cyfryzacji wybrało w przetargu kancelarię GWW, która w konsorcjum z jeszcze jedną firmą zażądała za tę usługę 644 tys. zł. Przetarg na doradztwo rozpięła Streżyńska w lipcu, a rozstrzygnięto go w grudniu 2017 r. Umowę podpisał jednak już jej następcą w resorcie (stało się to w lutym 2018 r.).

Takich działań mogących budzić podejrzenia o konflikt interesów było więcej. Jednym z projektów, za które Woźny odpowiadał jako wiceszef resortu, było przygotowanie Ogólnopolskiej Sieci Edukacyjnej, czyli cyfryzacji szkół, finansowanej z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa. Program nadzorowało Cen-



WOŹNY TO, MÓWIĄC
JĘZYKIEM PiS, TAKI
LEWAK. JEGO WYGLĄD,
ZACHOWANIE, ŻARTY
BARDZIEJ PASOWAŁYBY
DO PARTII LEWICOWEJ
ALBO LIBERALNEJ

POLITYK PiS, ZNAJOMY WOŹNEGO

REKLAMA

pyszności **na gorąco!**

Kierujemy się Tobą





Piotr Woźny, Warszawa, kwiecień 2018 r.

trum Projektów Polska Cyfrowa kierowane przez Wandę Buk. OSE wdraża podległa ministrowi cyfryzacji NASK, z którą związana była Buk – zasiadała w trzech radach nadzorczych jego spółek córek. W kwietniu 2018 r. NASK zawarł umowę z GWW na świadczenie usług prawnych przy zarządzaniu OSE. Miała obowiązywać do końca roku, czyli nieco ponad osiem miesięcy, i opiewać na 276 tys. zł. Została rozwiązana po niespełna trzech miesiącach. Co ciekawe, z dziewięciu ofert, które wpłynęły, osiem zostało wykluczonych. Została tylko oferta GWW.

Najwięcej kontrowersji budzi to, co stało się z Programem Operacyjnym Polska Cyfrowa i budową szerokopasmowego internetu. Program wzięła pod lupę Najwyższa Izba Kontroli. Wyniki okazały się druzgocące, choć przeanalizowano jedynie sytuację w województwie lubelskim. NIK podsumowała je tak: „Nieprawidłowo przeprowadzony konkurs na rozdysponowanie ponad 1 mld zł, nieegzekwowanie od realizatorów projektów zobowiązań wynikających z umów i duże opóźnienia inwestycji”. Umowy podpisywało w drugiej połowie 2018 r. Centrum Projektów Polska Cyfrowa, nadzorowane w tamtym czasie przez wiceminister cyfryzacji Wandę Buk. Szczegółne zastrzeżenia budziły dwie firmy, Fibee I i Fibee IV, które – jak zaznaczyła NIK – „powstały w trakcie trwania konkursu, nie zrealizowały wcześniej żadnej inwestycji, a ich kapitał zakładowy wynosił odpowiednio 5 tys. i 6 tys. zł”. Mimo to przyznano im ponad miliard złotych „bezwrotnego wsparcia”. Według NIK doszło do tego z naruszeniem prawa. Zarówno Fibee I, jak i Fibee IV należą do spółki Easyhost, której współwłaścicielem w latach 2012-2013 była kancelaria GWW.

Dziś Wanda Buk jest wiceprezesem państwowego koncernu PGE, który razem z kierowaną przez Woźnego spółką PAK ma zbudować w Polsce elektrownię jądrową.

III

OSTATNIM STANOWISKIEM Piotra Woźnego w strukturach państwowych była funkcja szefa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Odszedł z niego z końcem maja 2020 r., by już miesiąc później rozpocząć karierę w należącej do Zygmunta Solorza spółce energetycznej PAK. Dziś jest jej prezesem. W lutym tego roku zależna od PAK spółka PAK-PCE Stacje H2 otrzymała 20 mln zł dotacji od NFOŚiGW na budowę w pięciu miastach stacji tankowania wodorem. Ze strony funduszu umowę podpisał wiceprezes Artur Michalski, który pełnił tę funkcję również w czasie, gdy prezesem NFOŚiGW był Woźny.

Dwa miesiące wcześniej fundusz pożyczyl na preferencyjnych warunkach 50 mln zł innej spółce z grupy PAK – PAK-PCE Polski

Autobus Wodorowy. Pieniądze pójdą na budowę fabryki autobusów napędzanych wodorem. Według części naszych rozmówców, gdy NCBiR przejmowali ludzie Woźnego i Bielana, nie chodziło o kontrolę nad funduszami, którymi wówczas dysponowała ta instytucja, ale nad tymi, które miały być uruchomione dopiero w tym roku – w ramach programu FENG (Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki). NCBiR przypadło do rozdysponowania 4 mld zł w ciągu najbliższych pięciu lat.

– Bielana zawsze był zainteresowany własną karierą. Odkąd stanął na czele Partii Republikańskiej i podpisał umowę koalicyjną z Kaczyńskim, zapragnął mieć wpływ także na gospodarkę i dostęp do państwowej kasy – mówi nam jeden z jego dobrych znajomych z PiS. Wśród zaufanych Bielana w świecie państwowego biznesu wymienia Woźnego i Rafała Milczarskiego, byłego prezesa LOT. Jak wynika z dokumentów finansowych PiS, Milczarski wpłacił na kampanię wyborczą Bielana w 2019 r. ponad 5 tys. zł. Pieniądze wpłacały także inne osoby, które dzięki Bielaniowi objęły stanowiska w państwowych instytucjach. 17 tys. zł na kampanię europośla wpłacił jego były asystent Ignacy Bobruk, który został doradcą dyrektora NCBiR z pensją 24 tys. zł miesięcznie. Bobruk miał w NCBiR przydomek Kadrowy, bo w imieniu Bielana pilnował, kto zostaje zatrudniony. Ewelina Owczarska z partii Republikanie, która dostała stanowisko przewodniczącej rady państwowej Fundacji Platforma Przemysłu Przyszłości, wpłaciła na kampanię Bielana ponad 25 tys. zł. Wojciech Kasprowski z zarządu partii Republikanie, którego Bielana chciał przeferosować do zarządu TVP, wsparł jego kampanię kwotą 20 tys. zł.

Oprócz stanowisk w państwowych instytucjach, które Bielana wpisał do umowy koalicyjnej z PiS, lider Republikanów próbował zabezpieczyć także własną przyszłość. „Strony ustalają, że w kolejnych wyborach do Parlamentu Europejskiego kandydat wskazany przez Partię Republikańską otrzyma 1. miejsce na liście w okręgu wyborczym nr 5 (Warszawa II)” – czytamy w umowie. Warszawa II to okręg podwarszawski, z którego w ostatnich wyborach do PE startował Bielana. Nie wiadomo jednak, czy po aferze w NCBiR Kaczyński dotrzyma danego słowa. **N**

renata.grochal@newsweek.pl

grzegorz.rzeczkowski@newsweek.pl

SPROSTOWANIE

artykułu „Pani Pończoszanka” opublikowanego 24 stycznia 2022 r.

Wicedyrektor nie została zwolniona na wniosek pracodawcy. Opisując ofertę wydawniczą Wydawnictwa Sejmowego autor wymienił pięć tytułów. Jest to informacja nieścisła: w 2021 r. WS wydało 80 pozycji, a od 2018 r. do 2021 r. ponad pół tysiąca. W rzeczywistości komisja BHP i zewnętrzny ekspert nie stwierdzili nieprawidłowości w zakresie warunków pracy w związku z realizowaną inwestycją w sąsiedztwie budynku Wydawnictwa.

Kancelaria Sejmu

POLITYCZNE ZŁOTO

Andrzej Stankiewicz

Kampania PiS na OIOM-ie



Ale przecież o mężu Witkowej na OIOM-ie to wszyscy wiedzieli, panie redaktorze. Dziennikarze nie chcieli się zajmować sprawą, bo to delikatna historia. Wie pan, co było kluczowe? To, że ktoś złożył w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury. I z miejsca doszło do wycieku, który uderza w Elę. No, a prokuratura to kto, panie redaktorze? Ziobro!”

W cieniu kampanii wyborczej do parlamentu w PiS toczy się równie ważna kampania prezydencka. W PiS to w sumie są sami przyszli prezydenci, z wyjątkiem preza, rzecz jasna. Najtwardziej gra Beata Szydło. Po czterech latach na politycznym marginesie, odrącona przez unijne salony w Parlamencie Europejskim, postanowiła sobie wywalczyć nominację prezydencką PiS. Decyzję w sprawie kandydata będzie zapewne podejmował jeszcze Jarosław Kaczyński, choć słabnie w oczach i zapowiedziana przez niego emerytura w okolicy roku 2025, czyli właśnie wyborów prezydenckich, brzmi dziś bardziej prawdopodobnie niż kiedykolwiek wcześniej.

Ale pani Beata zakłada, że dla niej centrum wszechświata wciąż jest i długo jeszcze będzie prezes. Wróciła na krajowe podwórko, włączając się w kampanię PiS podczas zdrowotnej nieobecności Kaczyńskiego. Bała się tego powrotu. Wszak w 2015 r. zostawała premierem jako matka Polka, kobieta z ludu, która potem jeszcze wyświęciła syna na księdza. Szybko okazało się, że syn się w zmurszałych kościelnych strukturach nie mieści i po cichu ściągnął suttanę. Z rządowych e-maili, które wyciekły, wiemy, że nie tylko miał dosyć Kościoła, ale wręcz stracił wiarę. Pisał, że nie chce głosić prawd, „co do których rodziło się w nim tak wiele wątpliwości”.

Szydło długo czekała, sondując, czy syn w cywilu zwiechnie jej polityczną karierę. Widać, że sondowanie wypadło pozytywnie. Bała się jeszcze jednego: wyroku w sprawie wypadku w Oświęcimiu z 2017 r., gdy jej kolumna samochodowa rozbiła cinquecento Sebastiana Kościelnika. Niedawno zapadł wyrok – mężczyzna został prawomocnie uznany za winnego nieumyślnego spowodowania wypadku. Szydło poczuła, że to jest ten moment i trzeba zacząć walkę o prezydenturę. Problem polega na tym, że przez cztery lata jej nieobecności zmieniło się w PiS bardzo wiele. Mimo intensywnych zabiegów sojusznika Szydło, Zbigniewa Ziobry, premier wytrwał na stanowisku. Szef klubu PiS Ryszard Terlecki rzuca nawet, że to Morawiecki mógłby być kandydatem na prezydenta, co ma oczywiście rozwścieczyć Szydło, która nienawidzi Morawieckiego. Tylko czy realnie premier zużyty wieloletnimi rządami,

nieprzesadzający z prawdowością milioner z zagranicznego banku, obracający nieruchomościami, o których większość Polaków może pomarzyć, nadaje się na prezydenta? Przeciętnie. I wszyscy w PiS to wiedzą.

Dlatego to nie Morawiecki jest głównym problemem Szydło. Głównym problemem Szydło jest jej dawna przyjaciółka Elżbieta Witek. Gdy była premierem, awansowała ją na szefową gabinetu i rzeczniczkę rządu. Szkopuł w tym, że kiedy Szydło straciła posadę w rządzie i wyjechała do Parlamentu Europejskiego, Witek nadal awansowała. To typowe zagranie Kaczyńskiego obliczone na rozbiście osobistych sojuszy w PiS. Najpierw została szefową MSWiA, a potem marszałkinią Sejmu. Dziś ma nawet wpływy w spółkach, jest choćby w stanie wymienić władze molocha miedziowego KGHM, gdy prezes nie chce awansować jej ludzi.

Witek robi wszystko, żeby zostać kandydatką na prezydenta. Do tej pory poza nepotycznymi ciągotami, które

Witek robi wszystko, żeby zostać kandydatką na prezydenta. Do tej pory poza nepotycznymi ciągotami, które wszak w wierchuszce PiS przejawiają wszyscy, nic na nią nie było. Teraz jest

wszak w wierchuszce PiS przejawiają wszyscy, nic na nią nie było. Teraz jest – okazało się, że jej mąż od 2,5 roku przebywa na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej Szpitala w Legnicy. Sprawę ujawniło Radio Zet, powołując się na doniesienie do prokuratury, które skierowała córka zmarłej kobiety, dla której zabrakło miejsca na tym OIOM-ie.

Umówmy się, nikt bez koneksji nie ma szans na takie traktowanie bliskich. Legnickim szpitalem rządzi nominatka PiS, wcześniej latami związana z prywatną placówką, którą wspierali państwo Witkowie.

Wewnątrz rządu częste jest przekonanie, że to Ziobro załatwił Witek wyciekami z prokuratury, chcąc zwiększyć polityczne notowania swej faworytki Szydło. Nie ma przy tym znaczenia, czy tak było, czy nie – same podejrzenia wobec Ziobry pokazują temperaturę wojny w obozie władzy.

Dlatego też nikt nie wie, jak to będzie po tegorocznych wyborach. Nade wszystko nie wiemy, czy te wybory – zapewne ostatnie głosowanie sejmowe, do którego PiS prowadzi Kaczyński – nie staną się początkiem znaczącego przegrupowania na prawicy. Bo zaufania władza nie ma sama do siebie ani za grosz. **N**

JANUSZ CIESZYŃSKI ZDOLNY DO WSZYSTKIEGO

Minister od wyborów

O ten stół zabiegał Jacek Kurski przed swoim wyjazdem do Waszyngtonu. Teraz dostał go jeden z najwierniejszych ludzi premiera – Janusz Cieszyński. Ten od respiratorów

TEKST DOMINIKA DŁUGOSZ

Do najważniejszych zadań ministra cyfryzacji, którym został Cieszyński, należy zbudowanie Centralnego Rejestru Wyborców. PiS wsadziło rejestr do nowego kodeksu wyborczego, przepchniętego przez Sejm na ostatniej prostej przed wyborami. Ma zastąpić gminne rejestry funkcjonujące do tej pory. Dane wszystkich wyborców, które obecnie są pod kontrolą Krajowego Biura Wyborczego, trafią do Ministerstwa Cyfryzacji. W założeniu chodziło o ułatwienie organizacji wyborów i na przykład łatwiejsze skorzystanie z możliwości głosowania poza miejscem zamieszkania. W założeniu, bo opozycja uważa, że wprowadzanie zmian tuż przed wyborami jest po prostu złym pomysłem.

* * *

– INTEGRACJA DWÓCH I PÓŁ TYSIĄCA GMINNYCH REJESTRÓW to bardzo duże wyzwanie. Wszystko ma być gotowe w sierpniu, czyli w momencie rejestracji list, mniej więcej na dwa miesiące przed wyborami. To rodzi bardzo dużo zagrożeń, bo czasu jest mało – mówi pracujący w Sejmie nad nowelizacją kodeksu Robert Kropiwnicki z Koalicji Obywatelskiej.

Ale PiS do 2020 roku po prostu nie wiedziało, że potrzebuje kontrolować rejestr wyborców. To wybory prezydenckie

(kopertowe), które się nie odbyły, pokazały partii rządzącej, że nie może decydować o wszystkim, bo dane wyborców są w gminach, a większość gmin po konsultacji z prawnikami odmówiła przekazania rejestrów Poczcie Polskiej. Ci, którzy to zrobili, teraz mają procesy o ujawnienie danych niezgodnie z prawem. PiS po prostu postanowiło mieć kontrolę nad rejestrem wyborców, w razie gdyby znowu zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

Janusz Cieszyński ma teraz trzy i pół miesiąca na zorganizowanie rejestru, ale w PiS mówią, że jeśli ktoś ma to zorganizować, to tylko on.

Jest skuteczny, nie boi się podejmować decyzji. Jak będzie trzeba, to zrobi wszystko – mówią jego partyjni koledzy. Udowodnił to wielokrotnie.

Bardzo podobną opinię mają o Cieszyńskim posłowie opozycji, chociaż w ich ustach to nie jest komplement. Też uważają, że jest zdolny do wszystkiego i nic go nie zatrzyma.

– To funkcjonariusz do zadań specjalnych. Ma chyba poczucie, że prawo go nie dotyczy, że jest bezkarny, że ktoś – pytanie kto? – go chroni. Zrobi wszystko, o co go poproszą bądź mu każą. Nie ma z tym żadnego problemu. Wykona każdy rozkaz. Nie stwarza choćby pozorów, że jego działania są zgodne z prawem. Nawet nie próbuje

Janusz Cieszyński, minister cyfryzacji (z lewej) i Robert Telus w pałacu prezydenckim, Warszawa, 6 kwietnia 2023 r.



FOT. PIOTR WOJCIK/EAST NEWS



mieć porządku w papierach – mówi Dariusz Joński z Koalicji Obywatelskiej.

POSŁOWIE DARIUSZ JOŃSKI I MICHAŁ SZCZERBA ujawnili największy „kłopot” Janusza Cieszyńskiego – kupno respiratorów od handlarza bronią. Jako ówczesny wiceminister zdrowia podpisał wszystkie dokumenty związane z zakupem.

– Wszystkie umowy zawarte w czasie pandemii, które kontrolowaliśmy, były podpisywane przez Cieszyńskiego. Szacujemy, że łącznie budżet, jakim dysponował Cieszyński na podstawie ustawy covidowej, to dwa miliardy złotych. Zakupy były dokonywane przez Ministerstwo Zdrowia oraz przez Centralną Bazę Rezerw Sanitarno-Przeciwepidemicznych, czyli jednostkę, którą Cieszyński bezpośrednio nadzorował – mówi Michał Szcherba. – W prokuraturze w tej chwili są trzy zawiadomienia złożone na Cieszyńskiego przez Najwyższą Izbę Kontroli. Nie zakończyła się złożona przez nas sprawa naruszenia obowiązków, umorzona przez prokuraturę Ziobry w czerwcu 2021 roku, bowiem sąd przyznał nam prawo do złożenia zażalenia. Trudności zaczęły się przy dostępie do akt w prokuraturze. Jak widać, macki Cieszyńskiego sięgają daleko. Ale i sprawę o dostęp do akt wygraliśmy i dalej nie odpuszczamy!

Posłowie mówią, że ówczesny wiceminister nie tylko podpisywał umowy, ale także protokoły odbioru, a sporą część zakupów załatwiał bez umów. Po prostu pojawiała się faktura, którą zatwierdzał.

Minister – teraz już cyfryzacji – odpowiada na zarzuty dotyczące handlarza bronią: – Nie zgadzam się, że to w jakikolwiek sposób rzutuje na moją uczciwość, bo nikt mi żadnej nieuczciwości nie udowodnił – mówi Cieszyński w każdej prawie rozmowie z dziennikarzami, ostatnio w WP. – Realizowałem zakup, który był oczekiwany przez ekspertów. Miałem opinię konsultanta krajowego do spraw anestezjologii i intensywnej terapii, który jednoznacznie wskazywał, że pomimo że cena była bardzo wysoka, jak wszystkich takich sprzętów w tym momencie, to jest sprzęt niezbędny do tego, żeby ratować życie polskich pacjentów. Jeśli cho-



dzi o wiarygodność kontrahenta, to ona została potwierdzona przez polskie służby i kierując się tymi przesłankami, podpisałem tę umowę.

ROZCZNIK 1988. Skończył finanse i rachunkowość w Szkole Głównej Handlowej, pracował w Orange. Po dojściu PiS do władzy wicepremier Morawiecki zrobił go swoim doradcą biznesowym, a potem 28-latką dyrektorem departamentu w resorcie rozwoju. W 2018 r. został wiceministrem zdrowia.

Po sprawie respiratorów odszedł z rządu i został zesłany na stołek wiceprezydenta Chełma. Ale zajmował go niecały rok, bo „uniewinnił” go Jarosław Kaczyński. Jako wicepremier do spraw bezpieczeństwa wydał oświadczenie, że wszystko jest w porządku: „Po zapoznaniu się ze sprawą zakupu respiratorów w kwietniu 2020 r. mogę stwierdzić, iż decyzja o skorzystaniu z firmy E&K została podjęta w oparciu o informacje przekazane przez służby specjalne, które nie dostrzegają przeciwwskazań do podjęcia takiej współpracy”.

– Prezes pokazał wtedy po raz kolejny, że jest w państwie ostateczną instancją i że jego zdanie jest ważniejsze niż prawo i... przyzwoitość. Zdecydował, że Cieszyński mógł wrócić z banicji do Chełma – podsumowuje poseł Joński. Cieszyński już nie miał wątpliwości, że temat jest zamknięty.

Dlaczego Jarosław Kaczyński użył swojego autorytetu w sprawie byłego wiceministra i wiceprezydenta Chełma? Być może dzięki... żonie Cieszyńskiego. Wanda Buk to młoda prawniczka, doskonale wykształcona i doświadczona w administracji publicznej, zajmowała stanowisko wiceministra cyfryzacji, zanim przeszła do o niebo lepiej płatnej pracy w zarządzie Polskiej Grupy Energetycznej. To w rządzie poznała wiceministra Cieszyńskiego, za którego wyszła we wrześniu zeszłego roku. Wanda Buk jest córką generała Tadeusza Buka, dowódcy wojsk lądowych, który zginął w katastrofie w Smoleńsku.

Kaczyński bardzo polubił Wandę Buk, jak mówią najstarsi towarzysze

” To funkcjonariusz do zadań specjalnych. Wykona każdy rozkaz. Ma chyba poczucie, że prawo go nie dotyczy, że jest bezkarny, że ktoś – pytanie kto? – go chroni

POSEŁ DARIUSZ JOŃSKI
Z KOALICJI OBYWATELSKIEJ

prezesa, „czuje się za nią po ojcowski odpowiedzialny”.

ALE JANUSZ CIESZYŃSKI PRZEDE WSZYSTKIM JEST CZŁOWIEKIEM Mateusza Morawieckiego. Przyszedł do rządu z Morawieckim jako jego doradca, ale znają się znacznie dłużej. Ojciec ministra był towarzyszem ojca premiera w Solidarności Walczącej we Wrocławiu. Po dojściu PiS do władzy Przemysław Cieszyński wszedł do zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego.

– On ma bardzo mocne polityczne plecy ze względu na bliską znajomość z premierem. Jako bardzo młody człowiek dostał bardzo dużo. Ludzi do zarządzania, finanse. I ta jego buta, arogancja jest wynikiem politycznej wody sodowej – mówi Dariusz Joński. – Każdemu pewnie na początku drogi politycznej wydaje się, że wszystko może, że nie poniesie żadnej odpowiedzialności. I chyba tak było z nim, bo to jest absolutnie niewiarygodne, co się działo w Ministerstwie Zdrowia, kiedy tam przychodziliśmy z kontrolą poselską. Tej umowy na respiratory nie było w ogóle w resorcie, czekaliśmy, aż ktoś ją przywiezie, tam był niesamowity bałagan.

Posłowie Koalicji Obywatelskiej poza sprawą respiratorów od handlarza bronią, na której skarb państwa stracił około

50 milionów złotych, przypominają także inne. Zakup maseczek, które nie nadawały się do użytku, przyłbice kupione od znajomego instruktora narciarskiego, które kosztowały trzy razy więcej niż dokładnie takie same w internecie, oraz sprawę trzydziestu przepłaconych respiratorów z Chin.

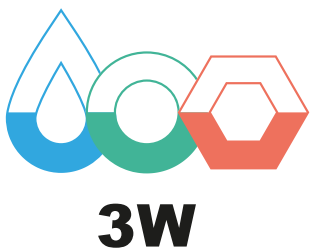
Za te 30 respiratorów osobiście protokół odbioru podpisał Janusz Cieszyński. Bez podpisanej umowy. To jest w jednym z zawiadomień złożonych przez NIK. Chodzi o respiratory chińskiej firmy marki JIXI-H-100A, które kupił Cieszyński od KGHM po 119 tysięcy złotych za sztukę. One były dostępne w internecie po 2,3 tysiąca dolarów, czyli mniej niż 10 tysięcy złotych.

– To jest najprostszy sprzęt, zwany pukawką, do doraźnego stosowania, który nawet trudno nazwać respiratorem. Ale co ważniejsze, te przyjęte przez Cieszyńskiego w ogóle nie nadawały się do użytku! Były bezwartościowe dla pacjentów. W tej sprawie jest zawiadomienie o „uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa” – przypomina Michał Szczerba.

Krzysztof Gawkowski z Nowej Lewicy, przewodniczący klubu i członek sejmowej komisji cyfryzacji, ocenia kompetencje ministra dość wysoko. – On jest bardzo merytoryczny i zdjął trochę kłębę z ministerstwa. Zadbął o cyberbezpieczeństwo w gminach, wzmocnił opiekę nad posłami, zrobił szkolenia dla członków rządu, senatorów i posłów po Dworczyku. Doprowadził do rozszerzenia m-obywtele, które będzie niedługo rozpatrywane przez Sejm, rozbudował CERT, jest bardzo dobrze oceniany przez branżę – wylicza Gawkowski. Janusz Cieszyński faktycznie od dwóch lat kierował pracami ministerstwa, które teoretycznie było w gestii premiera.

Ale Szczerba i Joński odpowiadają, że „zatrudnienie Cieszyńskiego na stanowisku ministra to tak, jakby po aferze Rywina zrobić z niego ministra kultury”. Słynny producent filmowy, skazany za korupcję na więzienie, znał się przecież na kulturze. **N**

dominika.dlugosz@newsweek.pl



Konkurs 3W

woda, wodór, węgiel

Dziennik Gazeta Prawna oraz Bank Gospodarstwa Krajowego zapraszają do udziału w **II edycji konkursu 3W: woda, wodór, węgiel.**

Celem konkursu niezmiennie jest popularyzacja idei 3W i wiedzy o wodzie, wodorze i węglu jako o trzech zasobach życia, wśród młodych ludzi.

Podczas konkursu wyłonione zostaną najlepsze prace licencjackie, magisterskie i inżynierskie dotyczące innowacyjnego wykorzystania wodoru, węgla i wody, oraz prowadzenia gospodarki wodnej, w kontekście wyzwań i szans stojących przed Polską.

Konkurs adresowany jest do autorów prac licencjackich, magisterskich i inżynierskich. Prace, napisane w języku polskim, obronione w okresie od 1.10.2022 r. do 1.10.2023 r., mogą dotyczyć dowolnej dziedziny nauki, ale uwzględniając cel konkursu.

Na zgłoszenia czekamy do 31.07.2023 r.

Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród odbędzie się w listopadzie br. podczas Gali Konkursu 3W w Warszawie.



Regulamin konkursu: www.gazetaprawna.pl/konferencje/3W2023/

Więcej o idei 3W na stronie: www.idea3W.org

Weź udział w konkursie

na najlepszą pracę licencjacką, magisterską lub inżynierską
o tematyce wody, wodoru i węgla

i wygraj nagrodę główną: 10 000 zł

Organizator:

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

Współorganizator:

BGK
BANK GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO



AgroUnia blokuje tory kolejowe w Hrubieszowie w proteście przeciwko importowi ukraińskiego zboża, 12 kwietnia 2023 r.

NIEWYGODNY DLA WŁADZY BUNT ROLNIKÓW

Wsi niespokojna, wsi niewesoła

Jeśli rząd jakimś cudem nie opróżni magazynów ze zbożem, **przedwyborcze żniwa mogą być czasem rolniczej rewolty**

TEKST KRYSZYNA NASZKOWSKA

Wojciech Rymaszewski ma na Pomorzu 200-hektarowe gospodarstwo, uprawia głównie zboża.

Jemu się udało: sprzedał pszenicę, kiedy była prawie dwa razy droższa niż dziś. Mówi, że czasem człowiek ma więcej szczęścia niż rozumu, ale i tak pojechał do Szczecina wspierać protestujących tam rolników.

– Wszyscy jesteśmy przerażeni, bo każdy się boi o ceny po obecnych żniwach, a najbardziej ci, którzy ciągle mają pełne magazyny ziarna z zeszłorocznych plonów. Musimy krzyczeć, bez tego nikt się nami nie przejmie – mówi Rymaszewski.

– Rząd da radę wywieźć zapasy przed żniwami? – pytam.

– Bardzo bym się zdziwił. Nawet wspólnie z nowym ministrowi, bo zabrał się do prostowania czegoś, czego nie da się łatwo wyprostować.

NIE MA PORTU, WAGONÓW ANI MIEJSCA W SILOSACH

RYMASZEWSKI WIE, CO MÓWI. Pozbycie się góry ziarna, jaka miesiącami narastała, raczej przekracza możliwości rządu, który problem importu zboża z Ukrainy całkowicie lekceważył, nie reagował na opinie ekspertów o nadciągającej katastrofie. A nawet dołożył się do jej pogłębienia, apelując do rolników, by wstrzymali się ze sprzedażą ziarna.

To miał być tylko tranzyt. Kiedy Rosja zablokowała ukraińskie porty nad Morzem Czarnym, Ukraińcom w oczu zajaśniała finansowa katastrofa, a części świata – głód. Polskie władze zobowiązały się do pomocy: ziarno miało wagonami dojechać do naszych portów i stamtąd odpływać w świat. Poprzedni minister rolnictwa Henryk Kowalczyk zapewniał, że możemy tak wysyłać do 1,5 mln ton miesięcznie. Jakby zapomniał, że nasze porty są w stanie przeładować dwa razy mniej, a tory w Ukrainie mają inny rozstaw osi niż w Polsce, więc zboże na granicy trzeba przeładować do naszych wagonów. A wagonów i bocznic kolejowych nam brakuje. Nie zdołaliśmy nawet zapewnić sobie pomocy unijnej do tej operacji, choć to Polak jest komisarzem

ds. rolnictwa. A że sami rocznie eksportujemy ponad 7 mln ton własnego ziarna, nie wiadomo, jak rząd sobie wyobrażał, że jeszcze upcha gdzieś zboże z Ukrainy.

Kowalczyk zapowiadał szybkie oddanie do użytku dodatkowego terminalu zbożowego w Gdańsku (tzw. agroportu), w którym będzie można przeładować do 500 tys. ton miesięcznie. Miała się tym zająć Krajowa Grupa Spożywcza (holding kilkunastu spółek skarbu państwa), ale ta zajęła się przede wszystkim zatrudnianiem pracowników i członków zarządu (ma już zresztą trzeci). Do dziś nie rozstrzygnięto nawet przetargu na budowę terminalu. Do tego rząd uznał, że ważniejszy od zboża jest węgiel, który zaczął na potęgę sprowadzać z całego świata (też zresztą z powodu własnej opieszałości w przygotowaniach do zimy i unijnego embarga na import z Rosji). Do dziś w portowych terminalach leży podobno 9 mln ton mąki.

Do lipca nasze magazyny powinny być już prawie puste, tymczasem mamy ok. 8-10 mln ton ziarna. Po żniwach przybędzie ok. 34-35 mln ton zbóż (łącznie z kukurydzą) i jeszcze 3,5 mln ton rzepaku. Z Ukrainy wjechało do dziś pewnie ponad 4 mln ton. A miejsca we wszelkich możliwych magazynach i silosach jest najwyżej na 30 mln ton.

KACZYŃSKI SIĘ ZDZIWI

NOWY MINISTER ROBERT TELUS zapowiada, że wypchnie z kraju 3-4 mln ton. Gdyby mu się udało (co jest mało prawdopodobne), i tak wejdziemy w żniwa z wielkimi zapasami, bo na ogół pod koniec czerwca mieliśmy 1-1,5 mln ton. To znaczy, że żniwa mogą być czasem rewolty. Bo na ok. 1,3 mln polskich rolników ponad 3/4 uprawia zboża. Pieniądze z jego sprzedaży są podstawą naszego rolnictwa, dlatego obecna sytuacja może zdecydować o nastrojach całej wsi.

Franciszek Nowak z Wielkopolski ma 800 ha. O godz. 20 łapię go na ciągniku, sieje buraki. On praktycznie nie sprzedaje zboża, bo Wielkopolska to zagłębie hodowlane, rolnicy swoje ziarno sami przerabiają na pasze. Ale Nowak też wspiera rolniczy bunt i uczestniczy w protestach: – Rolnicy są mocno wystraszeni. Takiej sytuacji nie pamiętają. Nie

mogą sprzedać ziarna, a tu jest pora wydatków: na nawozy, na siew, na opryski. Do tej pory wypominali ciągle PiS „piątkę dla zwierząt”. Teraz zboże „piątkę” przykryło. Kaczyński bardzo się zdziwi jesienią w wyborach, kiedy zobaczy, ile głosów na wsi stracił.

KTO NA TYM ZAROBILI?

NIC DZIWNEGO, ŻE RZĄD zaczął szukać winnych, oczywiście poza własnym kręgiem, i główkować, jak uwagę opinii publicznej odwrócić od zaniedbań ministra rolnictwa. Pieniądze, zwłaszcza zarobione cudzym kosztem, nadają się do tego idealnie.

Zaczął Henryk Kowalczyk. Żegnając się z posadą w resorcie rolnictwa (ale wciąż jest w rządzie jako wicepremier), rzucił swobodnie, że ma czarną listę tych, którzy zarobili na ukraińskim zbożu, ale nie powie kto to, bo prawo mu nie pozwala. Temat natychmiast podchwycił jego zastępca Janusz Kowalski (Solidarna Polska): – Ktoś zarobił duże pieniądze – oświadczył. I zasugerował, że stoją za tym firmy powiązane... z Polską 2050 Szymona Hołowni. Zaś Krzysztof Sobolewski, sekretarz generalny PiS, powiedział, że partia powinna wskazać „kto stoi za tym, że tak się podziało ze zbożem”. To akurat byłoby bardzo proste – stoi za tym rząd PiS, który kompletnie się nie przygotował do transportu zboża z Ukrainy. Ale oczywiście Sobolewski nie to miał na myśli, próbował jedynie rzucić oskarżenie pod adresem PSL („w tej sprawie jest bardzo zielono”).

Tymczasem Wirtualna Polska pisze, że jednym z beneficjentów nadmiaru zboża jest firma Cedrob, największy w kraju concern paszowo-drobiarski, związany z PiS (sponsoruje m.in. nagrodę Człowieka Roku „Gazety Polskiej”). O wpływach Cedrobu w partii rządzącej wiadomo od dawna. Według WP zboże z Ukrainy miała też sprowadzać spółka Wipasz, której prezesowi doradzał Marek Zagórski, do niedawna poseł PiS, od tygodnia prezes Krajowej Grupy Spożywczej. Według „Gazety Wyborczej” Zagórski do 2009 r. był prezesem Wipaszu, a do 2015 r. zasiadał w radzie nadzorczej tej spółki.

I tak kij na opozycję pokazał swój drugi koniec. Teraz to opozycja naciska na

ujawnienie listy firm, które kupowały ziarno ze Wschodu. Domaga się od rządu informacji, jakie firmy i z kim powiązane na tym zarobiły. Konfederacja chce nawet zwołania komisji sejmowej do wyjaśnienia afery, czyli zbadania, dlaczego tranzyt z Ukrainy pozostał na naszym rynku.

Ale na czarnej liście Kowalczyka jest na pewno wiele spółek całkowicie apolitycznych. Trudno będzie znaleźć firmę paszową, która nie zarobiła na ukraińskim zbożu. – Na tym tzw. tranzyście zarobili najwięcej pośrednicy. Ładuje taki tira i jedzie, to kto nie kupi, jak taniej oferuje niż na naszym rynku? – pyta retorycznie Franciszek Nowak.

Prawda jest taka, że w pewnym momencie zabrakło polskiego ziarna. Po apelu Kowalczyka, by wstrzymać sprzedaż ziarna, bo za jakiś czas będzie drożej, rolnicy faktycznie to zrobili. Przed żniwami 2022 r. pszenicę mogli sprzedać po 2200 zł za tonę, w czasie żniw staniała do 1700-1800 zł (ale zwykle w trakcie żniw jest najtaniej), więc postanowili zaczekać na ponowny wzrost cen. W końcu minister o to apelował. Tymczasem ceny zamiast iść w górę, tylko spadały, bo rynek zalał tanie zboże ze Wschodu.

A przemysł paszowy i młynarski potrzebuje stałych dostaw ziarna tydzień w tydzień. Jeśli ktoś ma kurnik ze 100 tys. brojlerów, to musi mieć dla nich paszę. Może być ta z Ukrainy, zwłaszcza że była nieco tańsza od polskiej. Dla pośredników to raj, bo po co zadawać sobie trud wożenia zboża do portów i użerania się tam z ładowaniem na statki, kiedy można sprzedać za miedzą tym, którzy czekają? Nie trzeba być supercwaniami, by z takiej okazji skorzystał. Kupowano więc to, co teoretycznie miało tylko przez Polskę przejeżdżać. Zboża było coraz więcej w magazynach, a ceny spadały. Kiedy doszły do 900 zł za tonę, rolnicy rozpoczęli protesty.

PANICZNY SKUP I KREDYTY NA SILOS

RZĄD SIĘ OBUZDIŁ, KIEDY OBRZUCONO w Rzeszowie Kowalczyka jajami. Podpisał z protestującymi „jak gdyby zobowiązanie rządu” do zrealizowania 11 postulatów. Najpilniejsze to zahamo-

wanie importu, opróżnienie magazynów, wprowadzenie kaukcji wwozowych, przywrócenie ceł.

Podpisując zobowiązanie o przywróceniu ceł, Kowalczyk już wiedział (a na pewno wiedzieć powinien), że w lutym Unia zaproponowała przedłużenie o kolejny rok zgody na bezcłowy import ukraińskiego zboża – ma obowiązywać do 5 czerwca 2024 roku! Teraz nowy minister obiecuje, że zwróci się do KE o „mocne zrewidowanie” stanowiska w tej sprawie. Unijni ambasadorowie mają głosować nad nią 19 kwietnia, ale trudno sobie wyobrazić, by rząd PiS nagle

”Kaczyński bardzo się zdziwi w jesiennych wyborach, kiedy zobaczy, ile głosów stracił na wsi

FRANCISZEK NOWAK, ROLNIK Z WIELKOPOLSKI

był w stanie zmontować jakąś większość, zwłaszcza że w Brukseli nikt z PiS sprawą zboża się nie przejmuje. „Kiedy w marcu na posiedzeniu komisji ds. handlu w europarlamencie rozmawiano o rozporządzeniu w sprawie ceł na ukraińskie produkty, głosu nie zabrał żaden z europosłów PiS” – napisała korespondentka RMF FM.

Nowy minister próbuje rozładować sytuację rękami ministra rolnictwa Ukrainy. Telus zapewnił, że strona ukraińska będzie teraz pilnować, by do Polski wstrzymany został eksport zboża, możliwy jest tylko tranzyt. Reakcja naszych rolników była natychmiastowa: będą blokować tory! Taka jest ich wiara w słowa ministra. Pierwsza próba pod Hrubieszowem nie udała się AgroUnii, bo policja zablokowała rolnikom dostęp do torów. Ale zapowiadają dalsze protesty, tym razem z zaskoczenia.

Od 14 kwietnia Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych ma prowadzić skup zboża na zapasy, po cenach wyższych od rynkowych. Ma na to z rezerwy budżetowej 600 mln zł. To wystarczy, skromnie licząc, na 600 tys. ton. Ale rząd ma nadzieję, że to choć trochę uspokoi wieś, bo wywoła wzrost cen – ta ustalona przez ministra stanie się automatycznie najniższą w kraju.

Rząd obiecuje też rolnikom pomoc przy budowie silosów – będą je mogli stawiać bez pozwolenia budowlanego i nawet otrzymać na to dogodne kredyty. Tyle tylko że – zwraca uwagę Monika Piątkowska z Polskiej Izby Zbożowo-Paszowej – trzeba znaleźć rynki zbytu i udrożnić wywóz, a nie budować więcej magazynów, bo nie chcemy przecież w zbożu utonąć.

Prawda jest bowiem taka, że Polska już od lat produkuje więcej zboża, niż potrzebuje – rocznie mamy ok. 10 mln ton nadwyżki (razem z kukurydzą). I z roku na rok produkcja rośnie. Trzeba uruchomić nowe terminale zbożowe, zwiększyć liczbę wagonów, bocznic itd. Do rozładowania nadwyżki potrzebne są dopłaty za transport np. do portów niemieckich, co znacznie by przyspieszyło wywóz z Polski.

TVP POKAZUJE BUŁGARIĘ

NIE MA CO SIĘ ŁUDZIĆ, ŻE SYTUACJA szybko się uspokoi. Nawet gdyby rząd miał najlepszą wolę, nie zdoła naprawić szkód, których narastaniu przyglądał się całymi miesiącami.

O tym, jak bardzo władza i posłuszne jej media nie rozumieją nastrojów panujących na wsi, można się przekonać, oglądając codzienny magazyn rolny w Programie I TVP. Dzień po zakończeniu wielogodzinnych rozmów rządu z organizacjami rolniczymi i podpisaniu 11-punktowego porozumienia uśmiechnięta dziennikarka zaczęła tak: „Będzie kolejna pomoc dla producentów zbóż!”. I dodała, że „wkrótce” do rolników trafi 30 mln euro z Unii plus krajowe wsparcie, co razem oznacza ponad miliard złotych. Nie pokazano jednak protestujących rolników z Polski, za to długo protesty rolników... w Bułgarii. **N**

Krysztyna Naszkowska

ZA GROSZ KULTURY

Dominika Olszyna

Odwrócony wzrok



W tym tygodniu, 19 kwietnia, rozpoczną się obchody 80. rocznicy powstania w warszawskim getcie. Z tej okazji na budynku przy Anielewicza 26 miał pojawić się mural Wilhelma Sasnała. Mieszkańcy wstępnie się zgodzili, ale zmienili zdanie i wizję artysty możemy zobaczyć tylko w internecie.

Wśród argumentów podanych w artykule dla tvn24.pl pojawiają się następujące stwierdzenie: „W opinii mieszkańców tematyka muralu jest bardzo agresywna i traumatyzująca. Zgadzamy się z założeniami Muzeum POLIN o tym, że pamięć o tragicznym i heroicznym Powstaniu, które miało miejsce na terenie Muranowa 80 lat temu, jest potrzebna, ale ta pamięć nie musi wiązać się z brutalnością i przywoływaniem traum sprzed lat”. Jest także sugestia, że mural obrazuje gwałt. Patrzę na wizję Sasnała i ciężko mi jednoznacznie ocenić, co widzimy. Jest prawdopodobnie kobieta, a za nią żołnierz. Jaki moment widzimy, jest to kwestia indywidualnej interpretacji. Na mnie robi to ogromne wrażenie.

Muranów to dzielnica, której nie da się wyjąć z wojennej pamięci. I choć nie wiem, które pokolenie mieszkańcy przy Anielewicza, zastanawia mnie, dlaczego tak selektywnie traktujemy historyczną pamięć. A przede wszystkim, co nas naprawdę boli, że nie potrafimy wyjść na chwilę ze strefy komfortu.

Mój dziadek powtarzał mi, że Warszawa to jeden wielki cmentarz. Pomnik, którego każdy kilometr zasługuje na pamiątkową tablicę. Sam był inicjatorem kilku, bo żył wojną. W 1940 roku został aresztowany, osadzony na Pawiaku, wywieziony do Auschwitz, potem do Gross-Rosen, Flossenbürga, a w kwietniu 1945 r. do Dachau, gdzie oczekiwał wyzwolenia. W sumie pięć lat „życia” w obozach. Po powrocie do Warszawy szukał brata i przy okazji stał się historykiem amatorem. W swoich badaniach szczególnie skupił się na odtwarzaniu list ludzi wywożonych do obozów koncentracyjnych. Mozolna praca dla muzeów, Czerwonego Krzyża czy innych organizacji. Był jej całkowicie oddany, czujny na szczegóły podczas wyjazdów, godzin w archiwach i czytania milionów listów. Od rana do nocy stukał w maszynę do pisania, której dźwięk mam w uszach do dziś. W szafach obok apaszek babci były segregatory wypełnione kartkami. Na każdej stronie numer, imię i nazwisko, daty, nazwa obozu. Czasem z adnotacją, czy więźniowi lubi więźniarce udało się wrócić.

Doskonale wiedziałam, czym się zajmuje, bo spędzałam z nim dużo czasu. Gdy wyjeżdżał w delegację, na podwórku mówiłam, że dziadka Romana nie ma, bo jest „znowu

w obozie koncentracyjnym”. Przywoził jeszcze więcej teczek, upamiętniających przypinek i plakatów, które wiszały w szafach, bo babcia nie pozwalała, żeby „obozowe” plakaty wisiały w salonie czy jego gabinecie. Z perspektywy czasu czuję wdzięczność, że była w tym temacie nieugięta.

W drugiej klasie podstawówki na przerwie między plastyką a wuefem ogłosiłam, że było getto. Wymusnęło mi się. Znałam jeszcze słowo Holocaust, ale nie byłam pewna, co znaczy. Warszawskie getto to otoczone kiedyś murem miejsce, w którym byłam przed chwilą z dziadkiem pod pomnikiem. Był kwiecień. Następnego dnia kolega z klasy powiedział, że pytał w domu, i rodzice powiedzieli, że zmyślam. Razem jednak dobrnęliśmy do klasy ósmej, w której zaczęły się wojenne lektury. Byłam pamiętliwa, więc mu to wypomniałam. Mój dziadek miał nawet przyjąć na lekcję polskiego i opowiedzieć o swoich doświadczeniach, ale niestety już był bardzo chory. Zmarł, zanim skończyłam podstawówkę, i poprosił, abym czujnie czytała o wojnie, dbała o jego książki i przejrzała doku-

Niektórym wydaje się, że brak muralu Sasnała z okazji 80. rocznicy powstania w getcie coś nam ułatwi. Ale Warszawa jak była, tak wciąż będzie cmentarzem

menty, które mi zostawił. I żebym pamiętała wszystko, co mi mówił o miejscach, które mi pokazywał w Warszawie. Tam stało to, tu się chowaliśmy przed gestapo, tu zaczynało się getto, tam zastrzelili X, w tym domu mieszkał Y.

Ponad 20 lat później codziennie przejeżdżam przez Muranów. Kilka lat temu planowałam kupić tam nawet mieszkanie. Ku mojemu zdziwieniu było wiele osób, które robiło wymowne miny. Były nawet głosy o „specyficznej energii”. Trochę mnie to bawiło, bo w kontekście mojego dzieciństwa to już dawno w niej jestem. Jestem pogodzona z tym, co było. Wzbudza to we mnie refleksję, a nie dyskomfort. Zaczynam widzieć, że jestem w tym osobniona. Im dalej od wojny, tym bardziej chcemy to wyprzeć. Nie chcemy konkretnego miejsca łączyć z bólem i traumą. Po prostu najlepiej schować to w książkach czy filmach, ale nie mieć w codziennym życiu. I z jakiegoś powodu niektórym wydaje się, że brak muralu z okazji 80. rocznicy powstania w getcie cokolwiek nam ułatwi. A niestety świadczy tylko o naszym braku głębszej refleksji, bo Warszawa jak była, tak będzie cmentarzem. **N**

Dominika Olszyna jest redaktorką naczelną Onet Lifestyle i Onet Kultura



Ania, podopieczna Fundacji „Światło”
z dyrektorką ośrodka Janiną Mirończuk

KAŻDE WYBUDZENIE TO DLA NAS ŚWIĘTO

ŚPIĄCY



Przyjmujemy też osoby, u których są małe szanse na wybudzenie, i spośród tych nierokujących **81 osób udało się wybudzić**

TEKST MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ ZDJĘCIA PIOTR ULANOWSKI

Dwa piętra nieprzytomnych. Leżą w salach dwuosobowych. W jednej panowie po wylewach. W drugiej panie po udarach. Dalej, po prawej, mężczyzna z wgniecioną czaszką, po wypadku. Po lewej kobieta, która nie odzyskała świadomości po próbie samobójczej. A dalej – krucha blondynka po nagłym zatrzymaniu pracy serca. Była w ósmym miesiącu ciąży, lekarze – dzięki cesarskiemu cięciu – uratowali dziecko, a ona zapadła w śpiączkę.

W sumie, na dwóch piętrach, 38 osób z różnych stron Polski. Większość trafiła tu wprost ze szpitalnych oddziałów intensywnej terapii.

– Jesteśmy najstarszym ośrodkiem w Polsce, który przyjmuje osoby w stanie wegetatywnym lub minimalnej świadomości. Działamy od ponad 20 lat, w tym czasie przyjęliśmy ponad 1600 osób – mówi Janina Mirończuk, prezes Fundacji „Światło”, która prowadzi Zakład Opiekuńczo-Lecznicy w Toruniu.

Rozmawiamy w jej gabinecie, na ścianach i półkach zdjęcia pacjentów, których udało się wybudzić ze śpiączki. W tym czasie na piętrach wielki ruch – pacjenci są wyjmowani z łóżek za pomocą podnośników, mają ćwiczenia, niektórzy z nich są pionizowani...

NEWSWEEK: Zanim tu trafili, byli w szpitalu na intensywnej terapii rok, dwa?

JANINA MIROŃCZUK: Nigdy nie mieliśmy takiego przypadku. Gdy usłyszałam o mężu marszałek Elżbiety Witek, byłam zdziwiona. Do nas trafiają osoby, które były na oddziale intensywnej terapii od czterech do sześciu tygodni.

Chyba miesięcy?

– Nie, tygodni. Jeżeli stan się stabilizuje, lekarze mówią rodzinie: już nic więcej nie możemy zrobić, proszę szukać miejsca w jakimś ośrodku. U nas teraz jest kilka wolnych, ale był czas, że wszystkie łóżka były zajęte, a w kolejce 30 oczekujących. Częstą barierą dla rodzin są pieniądze. Jedno z pierwszych pytań brzmi: ile trzeba będzie zapłacić? My mamy umowę z NFZ, ale fundusz pokrywa tylko koszt świadczeń medycznych. Za utrzymanie, czyli prąd, ogrzewanie, pranie, sprzątnięcie, musimy płacić z tego, co uzbiera nasza fundacja i wpłacają rodziny pacjentów. Koszt, jaki spada na rodzinę, to 2,8 tysiąca złotych miesięcznie. A są ośrodki, w których opłaty sięgają nawet 30 tysięcy złotych.

A jeśli rodzina nie ma pieniędzy albo nie znajdzie miejsca?

– Pacjent trafia do domu.

Nawet gdy nie oddycha samodzielnie?

– Rodzina zostaje przeszkolona, żeby wiedziała, jak sobie poradzić z osobą podłączoną do respiratora. Czasami wystarcza koncentrator tlenu. Na początku wszyscy są w strachu, znam to uczucie paniki, gdy czyjś los jest w naszych rękach. Moja mama, która po pierwszym udarze upadła, złamała szyjkę kości udowej, później miała drugi udar, wymagała całodobowej opieki. Leżała u mnie w domu, ale wszyscy w rodzinie musieli się spiąć, mieliśmy dyżury, żeby zawsze ktoś przy niej był.

Osoby, które trafiają do naszego ośrodka, oddychają już same, ale na wszelki wypadek wciąż mają rurkę tracheostomią. I oczywiście specjalną rurkę do odżywiania dojelitowego. Są całkowicie niesamodzielne – mają niewiele punktów w skali śpiączki Glasgow. To skala, w której przynajmniej od 3 do 15 punktów, określamy stan pacjenta: czy może otworzyć oczy, czy są reakcje ruchowe, czy jest z nim jakikolwiek kontakt. Trzy punkty to stan najcięższy, a dziewięć uznaje się za próg przytomności. Osoby, które do nas trafiają, są pod progiem, mają nie więcej niż osiem punktów. Zawsze jednak zakładamy, że choć leżą bez ruchu i kontaktu, to myślą, czują, ocalał im wzrok, słuch, dociera do nich to, co mówimy i co się wokół nich dzieje. Bódcujemy je, mamy zespół fizjoterapeutów, neurologopedę, psychologa. To, co robimy, można byłoby zrobić w szpitalu. Oczywiście nie na oddziale intensywnej terapii, na którym ratuje się życie. Rodziny nie musiałyby szukać takich ośrodków jak nasz, gdyby szpitale były odpowiednio przygotowane i chciały przez wiele miesięcy zajmować się tak wymagającymi pacjentami. Niestety, nie są ani odpowiednio przygotowane, ani nie chcą mieć pacjentów tak długo. Jest jeszcze kwestia pobytu bliskich – część szpitali od czasu pandemii ogranicza albo wręcz uniemożliwia odwiedziny, bywa, że leżący nie ma przy sobie nikogo z rodziny. A mieć blisko kogoś, kto cię kocha, usłyszeć go, poczuć jego dotyk, to bardzo ważne. My tutaj widzimy, jak duże znaczenie mają wizyty najbliższych. W czasie największych obostrzeń związanych z covidem, gdy nie można było wpuszczać rodzin, nikt z naszych podopiecznych się nie wybudził. Nikt! A wcześniej zdarzało się, że co miesiąc ktoś. To, że nie mieli przy sobie najbliższych, musiało ich strasznie przybijać. Ćwiczyliśmy z nimi jak zawsze, a jednak nie było widać takiego efektu, jak wtedy, gdy jest przy nich ktoś z rodziny. Najczęściej są matki przy dorosłych śpiących dzieciach.

Żony przy mężach?

– Różnie bywa. Są pary, które bardzo się kochają i w takiej tragicznej sytuacji jedno trwa przy drugim, pielęgnuje. A są pary, które wcześniej się nie znosiły, więc gdy jedno leży tu bez ruchu, drugie rzadko zagląda. Nie oceniam. To trudne sytuacje, smutne. Są ośrodki, które przyjmują jedynie tych pacjentów, u których są duże szanse na wybudzenie, a my także tych, którzy są uznawani za nierokujących. I spośród tych nierokujących 81 osób udało się wybudzić. Pierwszy był Radek, 19-latek z potężnym krwiakiem mózgu, po upadku i uderzeniu głową w betonowy stopień. Wydawało się, że nigdy nie będzie z nim kontaktu. Miał nad łóżkiem wysięgnik, na nim maskotkę – myszkę. Pewnego dnia po prostu wyciągnął rękę do tej myszki. Byliśmy w euforii. Teraz już chodzi, tylko podpiera się kijkami. A ostat-

ni przypadek: mężczyzna 65-letni, który spadł z rusztowania, z dziewięciu metrów. Gdy dostaliśmy jego dokumentację szpitalną, byliśmy przerażeni. A on już po kilku dniach dał nam znać, że słyszy. Poszłam do niego, żeby się przywitać. Wzięłam jego dłoń, lekko mnie uściśnił. Pierwsza myśl: „Chyba mi się wydaje”. A wtedy fizjoterapeutka, która przy tym była, powiedziała żartobliwie: „Teraz to już niech pan tej ręki nie puszcza”. I ścisnął moją dłoń tak mocno, że pomyślałam: jak ja się teraz wyswobodzę? Nie było wątpliwości: słyszy, reaguje! I pięknie się wybudził. Gdy tylko zaczął mówić, kłnął jak szewc. Zresztą wszyscy wybudzający się potwornie kłną.

Nie jest tak, że otwierają oczy i uśmiechając się, mówią:

„Tak się cieszę, że was widzę!”?

– Są bardzo dosadni, mają w sobie potężne emocje. Poza tym są przecież uszkodzenia mózgu. Możliwe jest każde zachowanie. My mówimy: niech sobie kłną, bo to znaczy, że już nie będą leżeć bez kontaktu. Każde wybudzenie to dla nas nadzwyczajne świę-

to. Mamy mnóstwo radości, a później nerwy, bo nie ma dokąd takiego wybudzonego wypisać. Za każdym razem główkowanie: co z nim zrobić? Potrzebuje dalszej rehabilitacji, żeby nauczył się funkcjonować. Nie jest tak, że taki człowiek wstaje, otrzępuje się i wraca do dawnych zajęć. Często nadal wymaga ciągłej opieki. Jest z nim kontakt, ale na przykład nie porusza się, nadal trzeba go karmić. Niektórzy mają zaniki pamięci. Wymagają żmudnych ćwiczeń, a gdy wrócą do domu, będą mieć prawo do darmowej rehabilitacji jedynie przez dzień w roku. Tak to jest w Polsce.

Do wielu z nich szybko dociera, w jak trudnym są położeniu. Proszę spojrzeć na to zdjęcie (*prezes Mirończuk pokazuje fotografię ślicznej dziewczyny z długimi włosami*). Jechała z chłopakiem po suknię na studniówkę. Wypadek, śpiączka. Gdy trafiła do nas, stale miała przy sobie ojca. Po

tym, jak się wybudziła, kupił jej piękne buty na obcasie. Zrobiliśmy jej pamiątkowe zdjęcie: ona, te buty, które były jak obietnica, że znów będzie chodzić. Bardzo szybko zaczęła stawać, utrzymywała równowagę, była nadzieja, że będzie się samodzielnie poruszać. Na Gwiazdkę rodzina zabrała ją do domu. Gdy po świętach wróciła do nas, to już inna, przygaszona, nie chciała ćwiczyć. Okazało się, że gdy pojechała do domu i wszyscy z dawnej klasy przyszli ją odwiedzić, załamała się. Zdała sobie sprawę z przepaści, jaka jest między nią a nimi. Chociaż udało się ją wybudzić, to przecież nie była tą dziewczyną sprzed śpiączki, miała m.in. afazję. Bardzo często, z powodu uszkodzenia mózgu, ma się kłopoty z wystawianiem: mówisz, a inni cię nie rozumieją, albo oni coś do ciebie mówią, a ty nie rozumiesz. Do niej wtedy dotarło, że już nigdy nie będzie taka jak przed wypadkiem. Wszystkim się wydawało, że powinna być szczęśliwa, bo się wybudziła, a ona podziękowała za takie życie. Leżała, patrzyła w sufit. Ojciec wi-



**NIE JEST TAK,
ŻE TAKI CZŁOWIEK
WSTAJE, OTRZĘPUJE
SIĘ I WRACA DO
DAWNYCH ZAJĘĆ. CZĘSTO
NADAL WYMAGA
CIĄGŁEJ OPIEKI**

JANINA MIROŃCZUK



Każdy pacjent po wybudzeniu wymaga dalszej rehabilitacji, by nauczył się ponownie funkcjonować w codziennym życiu

dział, jak córka ginie w oczach. Gdy zmarła, trafił do szpitala psychiatrycznego. A tu, proszę spojrzeć, jaki przystojny (*pokazuje zdjęcie młodego mężczyzny*). Gdy do nas trafił, jego narzeczona była przy nim dzień w dzień. Wybudził się, odeszła. Jego zabrali rodzice. Krótko po tym dotarła do nas informacja, że zmarł. Rodzice twierdzili, że gdy narzeczona go opuściła, stracił wolę życia. Winili ją. Tymczasem zdarza się, że gdy ktoś latami jest przy leżącym, to w końcu, gdy on się wybudzi, ten opiekun już nie ma sił na kolejne lata.

Są spory, na kogo ma spaść obowiązek opieki?

– To wszystko są dramaty (*prezes Mirończuk pokazuje kolejne zdjęcie, które wisi w jej gabinecie: młody mężczyzna, przy nim dziecko*). Gdy zapadł w śpiączkę, jego partnerka była w ciąży, urodziła. Jak miała się nim opiekować? Musiała się zająć dzieckiem. Ze szpitala trafił do nas, od nas pod opiekę mamy, która musiała zrezygnować z pracy, wszystko w życiu przemeblować. A tu, proszę spojrzeć, dzieci, których rodzice mieli wypadek. Tato zginął, mama w śpiączce, one trafiły pod opiekę dziadków. Jeżeli dzieci są małe, nie rozumieją, dlaczego jedno z rodziców wciąż jest bez ruchu, nie odzywa się do nich. Są w silnym stresie, starsze mają myśli samobójcze.

Jeden leżący to cała rodzina w cierpieniu i strachu. Jak sobie w tej sytuacji poradzić? To bardzo trudny temat. W ogóle nieporuszany.

Teraz tak, bo mąż pani marszałek Sejmu leży w szpitalu.

– Tymczasem bliscy osób, które latami leżą w domach czy takim ośrodku jak nasz, nie mogą się doprosić nawet badań diagno-

stycznych. A warto byłoby wiedzieć, co się zmieniło w organizmach osób, które leżą bez kontaktu przez pięć czy osiem lat. Może, gdyby była powtórna diagnostyka, wystarczyłoby zmienić zasady postępowania, żeby się wybudziły.

Kiedy widać, że żadne działania nic nie dają, rodzina się załamuje?

– Staramy się ją przygotować. Przed wypisaniem z ośrodka dajemy specjalny poradnik ze wskazówkami, co robić. Terapia, której wymaga osoba w stanie wegetatywnym, jest kompletnie inna niż w przypadku osób świadomych swojego położenia. Trzeba ćwiczyć, bodźcować i czekać, czy będzie jakakolwiek reakcja. Dla tej leżącej osoby, choć wydaje się, że jest bez kontaktu, powrót do domu to ulga. Znajome zapachy, dźwięki, głosy bliskich. To wszystko są bodźce nie do przecenienia. Dom to bardzo dobre miejsce. Tylko, niestety, często są w tym domu jedynie leżący i opiekun. Potrzebnych byłoby przynajmniej kilka osób, dobrze zorganizowana rodzina, wolontariusze. Tymczasem na ogół są samotne kobiety. Znam takie, które już 11, a nawet 20 lat się opiekują, masują, przewijają. Na ogół w ciasnych mieszkaniach przebudowanych pod leżącego. W jednym widziałam łóżko przesuwane, pod łóżkiem wannę wpuszczoną w podłogę, urządzenie do podnoszenia, oprzyrządowanie do stymulowania rąk, nóg... Te kobiety, które odwiedzam, rzuciły wszystko i wszystkiego sobie odmawiają, żeby tylko temu leżącemu było dobrze. **N**

malgorzata.swiechowicz@newsweek.pl

ROZMOWA O DEPRESJI

Przecież ten smutek to ja

Żyjesz z tym i w którymś momencie dochodzisz do wniosku, że bez depresji, lęku, smutku będziesz bez tożsamości. Więc zaczynasz to chronić – opowiada PAWEŁ DEMIRSKI, dramaturg, scenarzysta i reżyser

ROZMAWIA DAWID KARPIUK

PAWEŁ DEMIRSKI: Ja nie wiem, czy się nadaję do rozmowy o depresji.

NEWSWEEK: Czemu nie?

– Bardziej się nadawałem cztery lata temu, kiedy było naprawdę słabo i kiedy zacząłem się leczyć. Teraz jestem w terapii, w lekach, jest mi dużo różniej. Ale też w moim przypadku depresja to nie jest coś, co się nagle wydarzyło. Towarzyszy mi od dziecka. Czyli to jest stan, o którym dość dużo wiem, ale on jest dla mnie trochę przezroczysty.

Naturalny?

– Mhm. Pamiętam, że kiedy dwa lata temu reżyserowałem w Poznaniu „4:48 Psychosis” Sarah Kane, ludzie pytali, czemu to jest takie mroczne. A ja wtedy robiłem minę jak z tego słynnego mema ze zdumioną małpą. „Jakie mroczne, normalne, przecież ja tak mam od 40 lat”. W tym sensie mówienie o depresji jest trochę jak mówienie o swojej rutynie.

Skoro to jest stan naturalny, to co się takiego musiało stać, że nagle postanowiłeś się leczyć?

– Miałem bardzo silne ataki lęku, mocniejsze niż wcześniej. Doszło do tego,

że nie byłem za bardzo w stanie wyjść z domu albo musiałem bardzo szybko do niego wracać. Albo siadałem na ławce i czekałem, aż minie. Takie sytuacje paraliżują życie. Postanowiłem, że może jednak warto coś z tym spróbować zrobić. Wtedy jeszcze nie było takiej rozpędzonej kultury terapii. Pomyślałem: dobra, zobaczę. I zobaczyłem, że wcale tak nie musi być. Że to jednak nie jest taki naturalny stan.

I co?

– Trochę szok. Zawsze sobie tłumaczyłem, że w zawodach artystycznych to jest przecież powszechne. Jesteś artystką, to masz depkę. Im bardziej masz depkę, tym lepiej piszesz. Czasem zresztą tak bywa.

Bateś się, że jak zaczniesz się leczyć, to przestaniesz pisać?

– Panicznie. W teatrze jesteś z ludźmi, podejmujesz dyskusje o różnych trudnych emocjach, pozwalasz im się nieść. Wydaje mi się, że w takim środowisku tę depresję łatwiej po prostu mieć. Że to jest jakiś rodzaj dyspozycji. O mnie się zawsze mówiło, że taki mroczny, smutny i tak dalej. Artysta. Więc to wszystko



FOT. PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

pasowało. Jakiś czas temu byłem z przyjaciółką na koncercie. Wszystko spoko, fajny koncert. Wychodzimy, a ja mówię: coś tam było nie tak. A ona na to, że pewnie za mało rozpaczy. Miała rację. Szukałem w sztuce emocji, które miałem w sobie. Jak znajdowałem muzykę czy teatr z takimi emocjami, to się wtedy nie czułem sam. W pewnym sensie jest tak, że sztuka nie pozwala zdrowieć.

Myślałeś: „No dobra, przecież ja się tym zajmuję. Co będzie, jeśli sobie tę rozpacz odbiorę?”

– Na początku leczenia zacząłem brać jakiś rodzaj leków, które mi te depresyjne, jakkolwiek je nazwiesz, emocje całkowicie ucinają. I uciły mi pisanie. Spanikowałem i je odstawiłem. Dziś biorę inne. Wtedy za mało czułem, nic mnie nie ruszało. Nawet nie chodzi o znajdowanie tematu, tylko o sam moment, w którym musisz usiąść i pisać. Jak masz pisać coś, co potem ludzie mają mówić ze sceny, to musisz mieć dostęp do różnych emocji, stanów. A ja nie mogłem się do tego dobić.

Bo to jest inspiracja?

– Więcej: to jest narzędzie. To jest moje narzędzie do pisania. To jest głębsze: kiedy jesteś młodym dzieciakiem z zaburzeniem, problemem, widzisz, że jest jakaś różnica między tobą i twoimi rówieśnikami. Zaczynasz ją racjonalizować. A przez to uswięcać ten stan, uwyjątkować go. Choćby po to, żeby sobie wytłumaczyć, co w ogóle się z tobą dzieje. Żyjesz z tym cały czas i w którymś momencie dochodzisz do wniosku, że bez tego, bez depresji, lęku, smutku będziesz bez tożsamości. Szczęśliwie potem, w trakcie leczenia, dowiadujesz się, że to nie jest prawda. Ale kiedy w tym jesteś, to sam zaczynasz tę depresję chronić. Bo to przecież ty.

Ale w końcu przestałeś ją chronić.

– W czasie najgorszych epizodów depresji, takich kilkumiesięcznych, kiedy naprawdę było trudno wstać z łóżka, moją główną motywacją, żeby się ruszyć, było to, że muszę o siebie zadbać, zarobić na życie. Więc wstawałem z łóżka, robiłem, co miałem do zrobienia, i wracałem. Jakoś tam funkcjonowałem. Ale pojawiały się straty w ludziach. W czasie tych epizodów nie miałem kontaktów z ludźmi, żadnych. Jak zobaczyłem, że depresja

zabiera mi ludzi, to powiedziałem, że to pierdolę. Nie wiedziałem, czy przestanę pisać, stracę tożsamość, czy zostanę normikiem, ale wiedziałem, że nie chcę stracić ludzi.

Jak ty sobie radzisz z poczuciem straty?

– Nie radzę sobie. Miałem 15 lat, jak zmarł mój ojciec, a żałobę po nim przeżyłem tak naprawdę dopiero dwa lata temu. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak mnie przepierdoliło. I że zostałem z tym wtedy sam. Może stąd bierze się taka moja zaciekość, że nie dam sobie czegoś zabrać. Że staję na rzesach, żeby coś zrobić, żeby nie stracić. Strata to jest coś, czego się cały czas panicznie boję. Szczęśliwie

” *Nazywanie kryzysu wieku średniego kryzysem jest pomyłką. Jest wręcz odwrotnie. Wreszcie nie musisz zarządzać sytuacją kryzysową, którą jest twoje życie do czterdziestki*

te lęki sprzed leczenia, że jakbym się wyleczył, to stracę pisanie, że przestanę być tą osobą, którą byłem, się nie spełniły.

A jakbyś jednak przestał być? Jakbyś całkiem stracił ten smutek?

– Nie umiem sobie tego wyobrazić.

To pozwala ci pisać, ale jednocześnie czasem nie daje ci wstać z łóżka?

– Trochę tak, w moim przypadku tak. Zawsze się mówiło, że artyści to są odmieńcy. No trochę są. Ja wiem, że mówię z grubej rury, ale tak jest. Chodzi chyba o sposób funkcjonowania mózgu. Mnie się zawsze wydawało, że się znam na ludziach, że mam intuicję. Dziś myślę, że to po prostu sposób funkcjonowania móz-

gu. Jako osoba silnie lękowa czytam dużo informacji naraz. Osoby lękowe cały czas patrzą, czy nie ma jakiegoś zagrożenia, więc odczytują więcej informacji z rzeczywistości. U mnie to się potem przekłada na pisanie.

Wyobrażasz sobie działanie artystyczne, które nie ma nic wspólnego z takimi emocjami?

– Wyobrazić sobie umiem. Ale to nie moje działanie.

Jak sobie radziłeś z lękiem, smutkiem dziesięć lat temu? Pracą?

– Tak. Ja mam nieustanny lęk przed upadkiem, klęską. Że wyląduję na ulicy. To jest mój lęk od jakiegoś dziesięciatego roku życia. Przed jakąś czającą się przede mną porażką. Ten lęk był dla mnie mobilizujący. Ogarnij się, zrób coś. Korzystałem z tego.

Bo myślałeś, że jesteś non stop nad przepaścią?

– Tak. Nie mówię, że tak jest dobrze, ale to mnie mobilizowało. Jak byłem dwudziestoletnim gówniarzem, to sobie powiedziałem, że mam dwa lata, żeby wejść do teatru. I wszedłem.

Dwa lata, bo jak nie, to koniec?

Katastrofa?

– Tak. Coś mnie wiecznie goniło. Pewnie lęk. Więc z jednej strony to jest coś niszczącego, z drugiej – jakiś motor. Patrzę z pewną zazdrością na ten postpandemiczny nurt pogodzenia z samym sobą, ze światem, ale to chyba nie jest moja rzecz. Z drugiej strony może trzeba – użyję tego słowa – zaakceptować w sobie różne rzeczy. Na przykład lęk właśnie. Mam 43 lata, nie odmienię się nagle o 180 stopni. Może z takim suczym lękiem, tak go sobie wyobrażałem, jak takiego przerażonego psa w kacie, że to jest część mnie i skoro ona już jest, to może chociaż z tego sobie coś napiszę. Jakoś z tego skorzystam.

A ludzie kojarzą twoje pisanie z humorem.

– Ten humor – to nie jest jakieś wielkie odkrycie – bierze się ze smutku. W sztuce humor jest sposobem na zracjonalizowanie jakiejś sytuacji. Ja często w stresujących sytuacjach żartuję.

Leczę się i jest mi trochę łatwiej, ale główne patenty radzenia sobie z lękiem gdzieś tam mam. Humor jest jednym z nich.

Przez ostatnie dwa lata zrobiłeś dużą zmianę – wyszedłeś z teatru, wszedłeś w film. Jakoś to łączysz z depresją?

– Z lękiem. Z poczuciem, że skoro chciałbym jeszcze jakieś rzeczy w życiu zrobić, to muszę teraz, bo coś mnie goni. Odkąd skończyłem 40 lat, ten lęk nabrał jeszcze nowego wymiaru. Że czas się kurczy. Od dziecka miałem poczucie, jakby mnie coś goniło. Jakbym przed czymś uciekał. Śmiałem się, że gdybym kiedyś napisał autobiografię – czego nie zrobię, bo to jest jednak trochę żenujące – to tytuł brzmiałby: „Z przerażenia”. To jest jakieś paliwo. Miałem wieczne poczucie, że jeśli powinieneś mi się noga, to zostanę całkiem sam. Więc zapierdalałem i robiłem rzeczy. Ktoś się zaraz przyczepi, że kultura zapierdolu. Ja nie jestem za tą kulturą, ale ją jakoś tam realizowałem. Wiecznie coś robiłem, udawadniałem sobie. Musiałem być w tym dobry, bo inaczej to odkładałem. Jako dzieciak grałem na gitarze basowej. Odłożyłem to, bo uznałem, że jestem za kiepski. Parę lat temu wróciłem, mieliśmy z Moniką zespół. Okazało się, że nagle mogę grać i całkiem niezłe mi to wychodzi. O tym jest moim zdaniem kryzys wieku średniego.

Opowiesz?

– Przede wszystkim to nie jest żaden kryzys. Tylko otwarcie na to, że możesz robić rzeczy bez presji. Chodzę na treningi i nie muszę być nie wiadomo jak dobry. Nie aspiruję do bycia zawodnikiem. Chodzę, bo lubię. To jest tylko dla mnie. Nazywanie kryzysu wieku średniego kryzysem jest pomyłką. Jest wręcz odwrotnie. To jest właśnie brak kryzysu. Wreszcie nie musisz zarządzać sytuacją kryzysową, którą jest twoje życie do czterdziestki. Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak dojdiesz do połowy życia, to już mniej więcej wiesz, kim jesteś i kim raczej będziesz. No to widzę: jestem taką osobą, jaką jestem, nie muszę się napinać. Dlatego niektórzy w takich sytuacjach kupują sobie motocykl i zaczynają jeździć. A ja sobie gram na gitarze i mnie nie interesuje, że nie stroję. **Jest też w tym chyba lęk przed tym, że albo zmienię sobie życie teraz, albo nigdy.**

– Pewnie dlatego wszedłem w film. Pewnie można zmienić sobie radykalnie



„ **Ja mam nieustanny lęk przed upadkiem, klęską. Że wyląduję na ulicy. To jest mój lęk od jakiegoś dziesiątego roku życia**

życie i po pięćdziesiątce czy sześćdziesiątce, ale jednak ta filozofia, że wszystko jest wiecznie jeszcze przed tobą, jest trochę żartem.

Jak to jest być mężczyzną po czterdziestce?

– Doskonale. Jestem w najlepszej formie w życiu. Lęk mnie zawsze gonił, motywował, ale jak się już go trochę pozbywam, to jednak jest lepiej. Jestem w kontakcie ze sobą, mam lepsze relacje z ludźmi.

Jest coś przerażającego czy wyzwalającego w czterdziestce?

Jest lęk przed zmienieniem się w tego czterdziestoletniego wujka, do którego się jako dziecko chodziło w święta i on był już żywym trupem?

– Jestem fanem „Czterdziestolatka”. Patrzą na tego gościa, który ma 40 lat, a trochę jakby dziś miał 60. W jego życiu

w jakimś sensie już jest koniec, pewne rzeczy są zamknięte. Z naszej perspektywy to się wydaje śmieszne, bo my jesteśmy wyluzowani, czterdziestka to nowa trzydziestka. Z drugiej strony fantazja o tym, że wszystko jest jeszcze przed nami, wszystko jest możliwe, to też jest jednak jebana iluzja. Ile ja jeszcze pożyję? 20 lat? 30 w porywach. A popularne w pokoleniu ludzi koło czterdziestki jest myślenie: teraz to zapieprzam, jakoś tam żyję, ale kiedyś to będzie. Będę żył pełną piersią. No nie. Teraz musisz żyć.

Czy to będzie rozmowa o życiu pełną piersią po czterdziestce?

– Ja wiem, że to brzmi śmiesznie. Ale jednak zdajesz sobie sprawę, że choć czas masz jeszcze dużo, to on się jednak zaczyna kurczyć. To jest moje silne doświadczenie związane z czterdziestką. Że czas się kurczy i jeśli mam coś zrobić, to teraz. Żeby teraz żył tak, jakbym chciał, a nie że kiedyś, bo tego kiedyś nie będzie. Chciałbym jeszcze pozbyć się tego poczucia wiszącej katastrofy.

A jakbyś się pozbył?

– To nie wiem. Trudno mi to sobie wyobrazić.

Depresja, ta, którą miałeś od dziecka, co ci zabrała?

– Depresja lękowa zabija część ciebie jako osoby. Zabiera ci dużą część doświadczeń. Jakby ci upierdoliło ręce, empatię, bo tak byłeś przerażony, smutny. Często nie mogłem wyjść z tej skorupy. Dziś mam dużo więcej relacji, bardziej pielęgnuję przyjaźnie.

A co ci dała?

– Napęd do pisania. Jakiś rodzaj optyki, który rezonował z ludźmi. Na szczęście już wiem, że wyleczenie się mi tego nie odbiera. ■

dawid.karpiuk@newsweek.pl

PAWEŁ DEMIRSKI (ROZNIK 1979)

JEST DRAMATURGIEM, SCENARZYSTĄ, REŻYSEREM. WSPÓLNIE Z REŻYSERKĄ

MONIKĄ STRZĘPKĄ WYSTAWIŁ M.IN.:

„NIE-BOSKĄ KOMEDIĘ. WSZYSTKO

POWIEM BOGU”, „TĘCZOWĄ TRYBUNĘ

2012” I „DZIADY. EKSHUMACJA”.

WSPÓŁTWÓRCA M.IN. SERIALI „ARTYŚCI”

I „UDAR” (PREMIERA JESIENIĄ)



OPOWIEŚĆ O TRUDNEJ WOLNOŚCI

Wszystkie twarze Tomka Komendy

Już nie chce być postrzegany jako ofiara. Chce być bohaterem, który wygrywa z systemem sprawiedliwości, a potem na swoich warunkach usuwa się w cień

TEKST ELŻBIETA TURLEJ

Piąta rocznica wyjścia Tomasza Komendy na wolność. Media rozpisują się, że zerwał kontakt z rodziną, nie łoży na dziecko, prawie 13-milionowe odszkodowanie za niewinnie przesiedziane 18 lat uderzyło mu do głowy. Przytaczają słowa matki, która mówi, że już nie ma syna. Komentują oświadczenie narzeczonej, że stosował wobec niej przemoc.

– Miał wszystko i jeśli zechce spieprzyć sobie życie, to robi to na własne życzenie – mówi mi Grzegorz Głuszak, reporter TVN, prywatnie były przyjaciel Komendy. Jako pierwszy dziennikarz zajął się sprawą jego niesłusznego skazania. Uczestniczył w rozprawach: od warunkowego zwolnienia z odbywania kary, poprzez uniewinnienie, aż do wykreślenia z listy pedofilów. Napisał o Tomku i jego rodzinie dwie książki, konsultował scenariusz głośnego filmu opartego na jego historii.

– O tym, że odsunął się od matki i dwóch braci, wiem od półtora roku – mówi. – Po prostu któregoś dnia zostawił klucz na regale, wyszedł i do tej pory nie wrócił. Wiem, że zamieszkał w wyremontowanym, dwupokojowym mieszkanku po babci. Wiem też, że ma kontakt z najstarszym bratem, Gerardem. To on ma na niego największy wpływ i prawdopodobnie to on odseparował go od reszty rodziny. Czy usiłowałem jakoś na niego wpłynąć? Kiedy dowiedziałem się, że odsunął się od matki, która wypruwała sobie żyły, żeby oddkładać na paczki i wypiskę, zadzwoni-

łem i opieprzyłem go w żołnierskich słowach. Następnym razem już nie odebrał. Nie odpisał też na esemesa, w którym pytałem, jak się czuje, bo swoimi kanałami dowiedziałem się, że ma raka i przechodzi radioterapię.

Głuszak przyznaje, że po ostatnich doniesieniach o Tomku wciąż słyszy: „Zrobiłeś tyle reportaży o Komendzie, nakręć jeszcze jeden. Tym razem o jego upadku”. Odmawia, bo przecież historia Tomka Komendy nie jest czarno-biała. I do końca nie wiadomo, którą z twarzy Komendy właśnie oglądamy w mediach. A może jest ich kilka?

NAJGORSZY

O TYM, CO SIĘ DZIAŁO Z KOMENDĄ w zakładzie karnym, wiadomo niewiele. Ma wyrok 25 lat za zgwałcenie i zabójstwo 15-letniej Małgosi Kwiatkowskiej. Nikt – oprócz rodziny – nie wierzy, że jest niewinny. Jako skazany za gwałt na dziecku jest na najniższym szczeblu więziennej subkultury. Niżej są – jak potem mówi w wywiadach – tylko karaluchy. Życie najgorszego polega na tym, że musisz o wszystko pytać. Jeśli się nie stosujesz do więziennych zasad, biją cię i musisz pić tzw. płukanekę, czyli sól rozpuszczoną w wodzie, albo tzw. żywnościówkę, czyli litr wody z solą i pieprzem. Nie możesz usiąść przy stole, posiłki zjadasz w toalecie. Najgorszy na wychowawców też nie ma co liczyć – przez 18 lat Komenda tylko siedem spędza na tzw. ochronkach. Na oddziałach ogólnych wychowawcy sami na niego pluja, a kiedy wraca z wi-

dzeń, każą mu się rozbierać do naga. Pod pozorem sprawdzania, czy nie szmugluje narkotyków.

Kiedyś jeden z wychowawców bezpodstawnie oskarża go o donos do prokuratury. Za karę rozdziela go od jedynego przyjaciela, jakiego miał pod celą. Po trzech miesiącach okazuje się, że na nikogo nie donosił, ale najgorszy nie może liczyć na słowo „przepraszam”.

Dlatego w więzieniu Komenda nieustannie czuwa, obserwuje współwięźniów, bo każdy może go w dowolnej chwili uderzyć, obrazić, poniżyć. Nawet zabić. W nocy ostatni idzie spać i pierwszy wstaje, żeby nie dać się zaskoczyć. Żeby mieć siłę czuwać, pije o 20.00 mocną kawę. Nabawia się bezsenności. Trzy razy próbuje popełnić samobójstwo.

– Nie dziwię się, że po aresztowaniu przestaje wierzyć w Boga – mówi Głuszak. – Nigdy nie spotka się z kapłanem więziennym ani nie odwiedzi więziennej kaplicy. Jednak pół roku przed wyjściem wieszka nad pryczą zdjęcie Jana Pawła II.

Jego marzenia z czasów, kiedy jest najgorszy: wyjście na wolność, uniewinnienie, wizyta na grobie Jana Pawła II.

Jego rozrywka z czasów, kiedy jest tylko numerem pod celą: oglądanie kabaretów w zdezelowanym telewizorze z autogiędą, gra w FIFĘ na подарowanej przez rodzinę konsoli.

Jego największe zmartwienie: że rodzina o nim zapomni. Na dowód miłości do matki robi sobie tatuaż z wyznaniem: „Kocham cię, mamó”. Ma ich kilkanaście, matka mówi o nich: tatuaże rozpaczy.

UNIEWINNIONY

W PIĄTĄ ROCZNICĘ WYJŚCIA KOMENDY NA WOLNOŚĆ jego matka, Teresa Klemańska, mówi mi krótko: – To już nie jest mój syn. To zamknięty etap w moim życiu.

Krzysztof Klemański, brat Komendy, dodaje: – Nikt tak jak on nas nie zawiódł.

Tuż po uniewinnieniu jest inaczej. Grzegorz Głuszak doskonale pamięta, jak stoją razem pod więzieniem, a potem – z Komendą w ramionach – przepychają się przez tłum dziennikarzy.

W domu na Tomka czekają ulubione gołąbki w sosie pomidorowym. Jest też pies amstaff, który na obcych się rzuca, ale Komendę przyjmuje jak swojego. Mimo że zbliża się Wielkanoc, w domu stoi jeszcze choinka. Czekają na Tomka. Grzegorz będzie robił tzw. lajfa, czyli wejście na żywo. Komenda pyta, czy na rozluźnienie mógłby wypić piwo, a kiedy Głuszak mówi, że niekoniecznie, pokornie przyjmuje to do wiadomości.

– Wtedy jeszcze był zagubiony w nowej rzeczywistości, potrzebował doradcy i przyjaciela – mówi Głuszak. – Przyjąłem tę rolę, bo czułem się za niego odpowiedzialny.

To on zabiera go na pierwsze po odsiadce zakupy odzieżowe. Tomek chce kupić wszystko bez przymierzania. To on załatwia mu pierwszą w życiu komórkę. Pomaga wyrobić dowód osobisty. Znajduje psychoterapeutę i prawnika. Codziennie odbiera od niego telefony, bo Tomek pyta o wszystko i zwierza się ze wszystkiego. Ze spotkań z dziewczynami, z tego, że ostatnio wypił za dużo i przespał się na ławce. Głuszak ostrzega go, kiedy okazuje się, że Komenda wchodzi w towarzystwo, w którym sypią się białe kreski. Tomek słucha, przeprasza, odsuwa się od tych, od których powinien.

Wtedy jeszcze mieszka z matką, która opowiada dziennikarzom, jak wygląda ich życie: – Od święta spacerujemy i gramy w rzutki. Na co dzień Tomek głównie sprząta. Codziennie myje okna, ścieli nasze łóżka, pierze. Jak tylko wstaje, to pyta, czy może coś dla nas zrobić. O to samo pyta wieczorem, a potem do późna w nocy gra w FIFĘ. Czasem ogląda telewizję, ale jak tylko jest coś o nim, natychmiast przełącza. Nie chce też czytać

o sobie. I słusznie: niech on już żyje swoim życiem.

CELEBRYTA

W PIĄTĄ ROCZNICĘ WYJŚCIA KOMENDY NA WOLNOŚĆ socjolog i kryminolog Paweł Moczydłowski mówi mi: – Komenda jest niczym człowiek, który po długim pobycie w jaskini wychodzi na światło. Potrzeba było kogoś, kto złapałby go za rękę i poprowadził.

Chętnych do tej roli jest wielu. Odzywają się przedsiębiorcy, którzy proponują Komendzie udział w swoich interesach.

”Miał wszystko i jeśli zechce spieprzyć sobie życie, to robi to na własne życzenie

GRZEGORZ GŁUSZAK, REPORTER TVN,
BYŁY PRZYJACIEL TOMASZA KOMENDY

Ktoś chce wykorzystać jego wizerunek do produkcji koszulek i breloków. Kobiety piszą do niego listy z propozycjami matrymonialnymi. Nawet ich nie czyta.

Po Głuszaku rolę przewodnika po nowym świecie biorą na siebie bracia Grzegorz i Rafał Collins – przedsiębiorcy zajmujący się m.in. tuningiem samochodów. Kiedy Komenda odchodzi z pracy w myjni (nie może znieść, że ludzie przyjeżdżają robić sobie z nim zdjęcia), proponują mu pracę w Fundacji Braci Collins. Komenda zostaje w niej specjalistą do spraw adaptacji społecznej osób niesłusznie skazanych. Nie wiadomo, czy i jak udaje mu się komukolwiek pomóc. Wiadomo za to, że bracia Collins inicjują jego spotkanie z kliniką dentystyczną, która – o czym właściciel informuje w swoich socjal mediach – rozpoczyna „metamorfozę zębów Tomka Komendy”.

Mniej więcej w tym samym czasie – dzięki portalowi randkowemu – poznaje Annę, pomoc przedszkolną, matkę dwójki dzieci.

– Przedstawił mi Ankę. To była kobieta dla niego, nie jakaś siksa, ale dziewczyna po przejściach, a takie są najsilniejsze – mówi Głuszak. – Kiedyś ją zapytałem: „Czy ty aby nie jesteś z nim dla kasy?”. Odpowiedziała: „Kaźda kobieta, z którą zwiąże się Tomek, będzie o to podejrzana”.

Tomek wyprowadza się od matki do wynajętego przez Ankę mieszkania. Mają plany: kiedy dostanie odszkodowanie, wyprowadzą się do Hiszpanii. Z czasem te plany ewoluują: wybudują sobie domek na Mazurach. Wyprowadzą się w Bieszczady. Jedyne plany, które udaje się zrealizować, to ciąża.

CIĘŻAR GWIAZDY

OŚWIADCZA SIĘ ANNIE PODCZAS PREMIERY reżyserowanego przez Jana Holoubka filmu „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy”. Podczas pracy nad scenariuszem zastrzega, że zgadza się na wykorzystanie swojej historii, pod warunkiem że w filmie nie będzie scen gwałtów. Rezygnuje też z pomocy psychologa. Mówi Grzegorzowi Głuszakowi: – Do niczego mi się to nie przydaje.

Już nie chce być postrzegany jako ofiara. Chce być – tym bardziej że za moment dostanie gigantyczne odszkodowanie – bohaterem, który wygrywa z systemem sprawiedliwości. Zmienia się, jak mówi Głuszak, o 180 stopni. Już nie jest zahukanym byłym więźniem, ale pewnym siebie, dobrze ubranym mężczyzną. Jan Holoubek mówi o nim w wywiadach: „Błyskotliwie inteligentny. Mało kto może mnie rozbawić, a Tomkowi to się udało”. Komenda ma jednak – jak nazwie to w rozmowie ze mną Paweł Moczydłowski – problem z uniesieniem ciężaru gwiazdy.

Początkowo cieszy się, kiedy obcy ludzie przybijają mu na mieście piątki. Teraz wychodzi z domu ze słuchawkami na uszach, żeby tylko nie słyszeć szeptów za plecami.

Media wciąż śledzą jego życie, a on z jednej strony łaknie ich zainteresowania, z drugiej chce się od nich odciąć. Zrywa wywiad z dziennikarzem „Newsweeka”, który pyta o warunki, jakie panowały w więzieniu. Rzuca: – Przez 18 lat nie miałem wyboru, musiałem sie-

dzień w celi, czy mi się to podobało, czy nie. A teraz mam wybór, mogę wyjść. Koniec.

– Kiedy dostał odszkodowanie, odwiedziłem go w mieszkaniu, które wynajmował razem z Anką. Na świecie był już jego syn, Filip. Wcześniej poprosił mnie, żebym odebrał Ankę z dzieckiem ze szpitala – wspomina Grzegorz Głuszak. – Byłem zdziwiony, bo mieli bardzo ciężkie warunki mieszkaniowe. Owszem, było schludnie i czysto, ale mogli wynająć coś o wiele lepszego. W łazience zauważyłem rozbitą umywalkę. Anka zdradziła, że Tomek wpadł w furję i rozbił ją w drobny mak. Potem usłyszałem, że sąsiedzi wzywali policję, bo zza ścian było słycać odgłosy awantur domowych.

Niedługo potem Komenda wyprowadza się z domu. Anna pozostaje z długami, a on wynajmuje apartament we wrocławskim Sky Tower, w którym ceny zaczyna-

ją się od 500 zł za noc. Ma pieniądze, ale przestaje łożyć na syna. Najpierw podważa ojcostwo, potem grozi Annie, że zabierze jej dziecko. W międzyczasie kupuje kilka mieszkań we Wrocławiu i remontuje klitkę po babci. Kupione przez niego mieszkania ponoć stoją puste.

CO BĘDZIE DALEJ?

PIĘĆ LAT PO UNIEWINIENIU TOMASZ KOMENDA nie odbiera telefonów od mediów. Na SMS-y nie odpowiada też jego narzeczona Anna. Matka, za pośrednictwem mediów, wzywa go, żeby usunął tatuaż z napisem: „Kocham cię, mamó”. Rodzeństwo jest podzielone: najstarszy brat ma kontakt z Komendą, pozostali dwaj zostali przez niego odsunięci. Osoby z otoczenia rodziny mówią, że Komenda popłynął w narkotyki.

– Odbieram to jako osobistą porażkę – mówi Grzegorz Głuszak. – Zastana-

wiam się, czy może mógłbym zrobić coś więcej? Bardziej go upilnować?

Jedno jest pewne: to jeszcze nie jest koniec historii Tomasza Komendy. Co może być dalej? Głuszak wspomina: jest na wakacjach nad morzem, podchodzą do niego trzech mężczyźni i mówią: „Pan jest ten od Komendy! Co u niego słycać? Zaapał się już, czy zapał?” Okazuje się, że jeden z nich jest emerytowanym funkcjonariuszem CBS, a dwaj pracowali przez lata w służbie więziennej. Grzegorz oponuje, ale rozmówcy przekonują: „Panie, nie takie historie kończyły się bez happy endu. Oni zazwyczaj tak kończą”.

Ale Grzegorz Głuszak ma nadzieję, że mimo wszystko historia Komendy skończy się inaczej. I to wbrew wszystkim, którzy mówią, że właśnie oglądamy upadek człowieka. **N**

elzbieta.turlej@newsweek.pl

REKLAMA

POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

 19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE
WARSZAWSKIM

**ŁĄCZY NAS
PAMIĘĆ**

.....

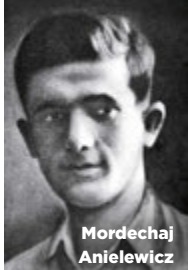
polin.pl  PRZYWIJŃ WIRTUALNY ZONKIL    #ŁączyNasPamięć

Projekt i realizacja: Fundacja Żydów, Współpraca: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urząd Miasta Krakowa

Partnerzy: 

**Pomnik Bohaterów
Getta** na warszawskim
Muranowie
wzniesiony w pobliżu
miejsca pierwszych
walk bojowców
z hitlerowcami
w kwietniu 1943 r.

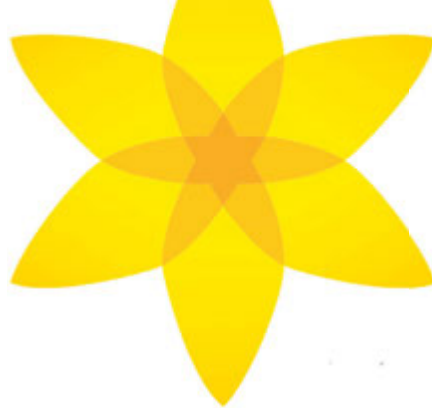




Mordechaj Anielewicz



Mira Fuchrer



Newsweek HISTORIA

ROZMOWA Z AUTORKĄ NOWEJ BIOGRAFII ANIELEWICZA

NIE IDŹCIE BEZWOLNIE NA ŚMIERĆ

W styczniu 1943 r. Mordechaj Anielewicz żyje tylko oporem zbrojnym, myśli o zabijaniu Niemców i kolaborantów. Staje się wtedy charyzmatycznym dowódcą – mówi **DR MARIA FERENC** z Żydowskiego Instytutu Historycznego

ROZMAWIA MARTA GRZYWACZ

NEWSWEEK: Marek Edelman, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim, powiedział z przekąsem, że „z dziesięciu kichnięć zostanie to jedno”, że spośród wszystkich walczących ludzie zapamiętają tylko Anielewicza.

MARIA FERENC: Wydaje mi się, że Edelman miał jakiś rodzaj frustracji związanej z tym symbolicznym statusem Anielewicza. Ja z zaskoczeniem odkryłam, że upamiętnienie zaczyna się w zasadzie od razu po powstaniu. Działacze żydowscy, którym udało się przeżyć likwidację getta, zakonspirowani po aryjskiej stronie, już w pierwszą rocznicę powstania organizują małe, ukryte obchody. Emanuel Ringelblum, historyk getta, ukrywający się na Ochocie, pisze pomnikowy tekst. Dla niego Anielewicz był uosobieniem pewnej wizji historii żydowskiej, realizacji mitycznego ideału, ponieważ wybrał czynny opór, pokazał niezgodę na własny los i poświęcił temu życie.

Ale po wojnie pamięć o Anielewiczu idzie w różnych kierunkach.

– Każde z ugrupowań tworzących w getcie Żydowską Organizację Bojową – Haszomer Hacair, Dror czy Bund – zaczyna pielęgnować pamięć o własnych bojowcach. Natomiast rządzący Polską komuniści pokazują nam Anielewicza jako robotniczego bohatera. Pojawiają się wówczas w prasie opisy, gdzie jego żydowskość

jest marginalizowana, a syjonizm w ogóle nieobecny. Staje się bohaterem walczącym niemal o komunizm. A dawało się go wpisać w komunistyczną narrację, bo w czasie wojny uważał, że przyszłe państwo żydowskie powinno być w bliskim sojuszu z ZSRR.

O pochodzeniu Anielewicza krążyły niestworzone legendy, choćby ta, że był synem rybaka, który nie bał się burz i dlatego Anielewicz też był taki odważny.

– Jego mama sprzedawała ryby, więc może stąd ten mit. To była bardzo uboga rodzina. Gdy Mordechaj był dzieckiem, rodzice przeprowadzili się z Wyszkowa do Warszawy. Zamieszkali na Powiślu, w bardzo skromnych warunkach. Mordechaj dostał stypendium naukowe i mógł się kształcić w dobrym gimnazjum hebrajskim Laor. Wtedy wszyscy młodzi ludzie gdzieś przynależeli. Anielewicz początkowo był w prawicowym Betarze, żeby po kilku miesiącach skrócić mocno w lewo – przeszedł wtedy do Haszomer Hacair. Ideą szomrów było życie w Palestynie.

Co się z nim dzieje, kiedy wybucha wojna?

– Anielewicz i wielu innych szomrów po apelu z 6 września opuszcza Warszawę, rusza na wschód, jednak wraca.

Ale nie po to, żeby walczyć z okupantem.

– Wtedy raczej nie. Ma pomysł, żeby szukać trasy, którą członkowie jego organizacji mogliby przedostać się do Palestyny.

Zostaje jednak aresztowany przez Sowietów na terenach dzisiejszej Ukrainy, a gdy po kilku dniach go zwalniamy, jedzie do Wilna, bo tam znalazła się większość jego kolegów i koleżanek z organizacji. Jesienią 1939 r. w Wilnie dochodzi do pogromu na Żydach; wileński działacz żydowski Aba Kowner zapamięta, że Anielewicz stanął wówczas na czele ruchu samoobrony przed przemocą. Ostatecznie wojenne dowództwo ruchu podejmuje decyzję, że kluczowi działacze muszą wrócić do Warszawy.

I od razu bierze się do pracy organizacyjnej. A kiedy getto zostaje zamknięte, współorganizuje seminaria i zajęcia dla młodzieży, uczy hebrajskiego. Redaguje i rozwozi prasę podziemną. Często przechodzi na stronę aryjską, jeździ do innych miast, kontaktuje się z działaczami.

Jak to było możliwe, skoro Żydzi mieli zakaz przemieszczania się?

– Z getta dawało się wyjść i wejść dzięki łapówkom, które brali wszyscy. O wiele trudniejsze było życie po drugiej stronie i prezentowanie siebie jako nie-Żyda. Anielewicz mówił bardzo dobrze po polsku, to mu dawało pewność siebie.

Jakie zadania postawił przed sobą, zanim zaczęli w Haszomer Hacair myśleć o zbrojnym oporze?

– Organizacji zależało na tym, żeby stworzyć szomrowej młodzieży osobny świat, który pozwoli im się trochę od getta zdystansować, dać poczucie, że jest przyszłość i jakiś sens w życiu mimo przygnębiającej teraźniejszości, w której tysiące ludzi umierały z głodu i chorób. Stąd jego działalność edukacyjna. Historyk Izrael Gutman, wychowanek Anielewicza, wspominał, że był szczęśliwy w getcie właśnie dlatego, że w ich organizacji panowała tak wspaniała atmosfera. Poza tym razem ze swoją dziewczyną Mirą Fuchrer i przyjacielem Szmuelem Bresławem prowadzili też nielegalną stację nasłuchu radiowego. Słuchali radia i sporządzali biuletyny, które krążyły w getcie z rąk do rąk.

Niedługo przed Wielką Akcją Likwidacyjną Anielewicz jedzie do Sosnowca, żeby spotkać się z szefem tamtejszego Judenratu, przekupić go i załatwić sobie wyjazd za granicę. Ciągłe myśli o Palestynie czy raczej chce poinformować świat, co się dzieje z Żydami w Polsce?

– Anielewicz i inni działacze konspiracyjni w getcie warszawskim wiedzieli już wówczas o obozach zagłady w Chełmnie nad Nerem, w Bełżcu. O masakrze Żydów w Ponarach. Zaczęli myśleć o oporze zbrojnym. Anielewicz pojechał do Zagłębia przede wszystkim, żeby informować i wzywać do walki. W czasie wojny



W STYCZNIU 1943 R. CUDEM UNIKNAŁ ŚMIERCI. ANTEK CUKIERMAN WSPOMINAŁ, ŻE GDY ANIELEWICZOWI SKOŃCZYŁY SIĘ NABOJE, „RZUCIŁ SIĘ Z GOŁYMI PIĘŚCIAMI NA ŻANDARMA, WYRWAŁ MU Z RĄK KARABIN I WSZCZĄŁ WALKĘ OD NOWA”

DR MARIA FERENC



śmierć Bresława i Kapłana dla wielu innych także jest silnym ciosem. Po ich śmierci, po Wielkiej Akcji, gdy do getta docierają uciekinierzy z Treblinki i mówią, co tam się dzieje, getto opanowane niesamowicie przynębienienie.

Ale Anielewicz się temu nie poddaje?

– Nie. Edelman potem powie, że on miał siłę, żeby się temu nie poddać, bo go nie było w czasie Wielkiej Akcji. Tak czy inaczej, Anielewiczowi udaje się wskrzesić w ludziach ducha i zmobilizować do współpracy różne organizacje żydowskiego podziemia. ŻOB zaczyna wykonywać wyroki na kolaborantach żydowskich, na policjantach, którzy współpracują z okupantem. Bojownicy zaczynają być postrzegani jako mściciele, mityczna partia, która przejmuje władzę w getcie. ŻOB umacnia też swoją pozycję, organizując przymusowe wywłaszczenia co bogatszych Żydów. Pieniądze są potrzebne na zakup broni. ŻOB posługuje się przy tym bardzo radykalnymi metodami, organizując areszty w szopach, gdzie przetrzymuje opornych.

nie chciał już wyjeżdżać do Palestyny. Pojawił się przez chwilę pomysł, że pojedzie nielegalnie na Zachód, żeby osobiście informować aliantów o Zagładzie, ale szybko upadł. Anielewicz zaczął przekonywać młodzież syjonistyczną w Sosnowcu i w Będzinie, że Żydzi muszą się bronić, muszą zacząć walkę partyzancką, bo grozi im eksterminacja. Emanuel Ringelblum wspominał później, że wczesną wiosną 1942 r. Anielewicz zaprosił go do kibucu Haszomer Hacair przy ul. Nalewki 23 i pokazał dwa rewolwery, które miały „służyć do nauczania młodzieży, jak należy obchodzić się z bronią”. **Bojownicy mówili niekiedy, że powstania były dwa – pierwszy opór zbrojny miał miejsce już w styczniu 1943 r., a drugi w kwietniu.**

– Powstanie było jedno, ale opór w trakcie akcji styczniowej był bardzo ważny i przyczynił się do umocnienia pozycji Żydowskiej Organizacji Bojowej i Anielewicza w ŻOB. Gdy zaczęła się Wielka Akcja Likwidacyjna 22 lipca 1942 r., dowództwu i wielu członkom Haszomer Hacair udało się przetrwać, bo znaleźli pracę w tak zwanych szopach – fabrykach i warsztatach, co zwalniało ich z wywózki do Treblinki. Jednak zaraz potem, na początku września, Józef Kapłan zostaje aresztowany i zabrany na Pawiak, Szmuel Bresław idzie go ratować, zatrzymują go do rewizji i znajdują przy nim nóż. Zostaje zastrzelony na miejscu, a Kapłan ginie parę dni później. I wtedy Anielewicz decyduje się wrócić z Zagłębia do Warszawy. Jest bardzo dotknięty, to byli jego przyjaciele. Przyjeżdża w ostatnim momencie, bo

Edelman twierdził wręcz, że Anielewicz był nieobliczalny.

– Anielewiczowi włącza się w tym okresie widzenie tunelowe – żyje tylko oporem zbrojnym, myśli o zabijaniu Niemców i kolaborantów. Z tego bierze siłę. I dlatego styczeń 1943 r. jest bardzo ważny. Bo w tym momencie ze zwykłego, choć oddanego sprawie członka dowództwa Haszomer Hacair Mordechaj Anielewicz staje się charyzmatycznym dowódcą, którego znamy z książek historycznych.

Co się dokładnie dzieje 18 stycznia 1943 r.?

– Zaczyna się druga likwidacja getta: znowu są łapanki i wywózki do Treblinki, a Anielewicz z grupą bojowców miesza się z tłumem prowadzonych na Umschlagplatz i atakuje Niemców. Wcześniej ŻOB wydała wezwanie do walki: „Okupant przystępuje do drugiego aktu waszej zagłady. Nie idźcie bezwolnie na śmierć. Brońcie się. Weźcie topór, łom, nóż do ręki, zabarykadujcie wasz dom”. Anielewicz strzelał do Niemców, został ranny i jedynie szczęśliwym przypadkiem uniknął śmierci. Antek Cukierman z Droru pisał potem, że gdy Anielewiczowi skończyły się naboje, „rzucił się z gołymi pięściami na żandarma, wyrwał mu z rąk karabin i wszczął walkę od nowa”. I to przyczynia się do jego mitu. Przechodzi chrzest bojowy i urasta do rangi przywódcy.

Jak wyglądają przygotowania do powstania, które wybuchnie 19 kwietnia?

– Zimą 1943 r. przyspiesza budowa schronów, bojowcy przygotowują sobie drogi ewakuacji. Już od jesieni 1942 r. kupują broń i próbują się dogadać w sprawie pomocy z polskim podziemiem, wobec czego struktura ŻOB się krystalizuje. Anielewicz oficjalnie zostaje wtedy dowódcą.

Oni poszli do powstania, żeby bronić honoru Żydów, żeby nie zginąć w komorze gazowej Treblinki?

– Na pewno najważniejszym celem było zabijać Niemców. Gdy Żydowski Komitet Narodowy chciał przeznaczyć część funduszy na ratowanie wybitnych artystów i intelektualistów, Anielewicz dystansował się wobec tego pomysłu – dla niego liczyła się już tylko walka. Pieniądże chciał przeznaczać na zakup broni. Więc dla Anielewicza najsilniejsze było chyba pragnienie zemsty. I w pierwszych dniach ono zostaje spełnione. Są w euforii – wreszcie zabijają Niemców. Niestety, mają bardzo, bardzo mało broni i prawie wszystko zużywają w ciągu paru dni, a potem zostaje im już tylko walka partyzancka. Gdy powstanie dogasa, Anielewicz jest bardzo przygnębiony, stacza się w poczucie beznadziei.

Uwierzył w zwycięstwo?

– Nie sędzę, ale możliwe, że niosła ich ta euforia pierwszych dni, a potem znaleźli się w piekle na ziemi. Getto płonęło. Ludzie, bo przecież ukrywało się tam wówczas kilkadziesiąt tysięcy osób, wyciągani są siłą z bunkrów i pędzeni na Umschlagplatz, płoną

żywcem w kamienicach, które Niemcy podpalają jedna po drugiej, brakuje broni, pojawiają się konflikty. To była koszmarowa sytuacja. Dlatego ta opowieść Anielewicza o spełnionym marzeniu była możliwa tylko w tych pierwszych dniach, potem było już tylko przerażająco.

Aż w końcu z grupą bojowców trafia do bunkra na Miłej 18.

– Kierownictwo ŻOB zostaje tam zaproszone przez ludzi półświatka, szmuglerów, złodziei. 6 maja 1943 r. Anielewicz i Mira Fuchrer odwiedzili bunkier Marka Edelmana, mieli odbyć nara-

dę, ale „nie było już o czym mówić”. Następnego dnia Mordechaj wrócił z Mirą na Miłą 18. 8 maja Niemcy otoczyli bunkier i kazali wszystkim wychodzić. Większość z około 200 ukrywających się cywilów wyszła, bojowcy ŻOB zostali w środku, a Niemcy wpuścili tam trujący gaz.

Z tego bunkra było sześć wyjść.

– To były piwniczne przejścia wynikające z architektury budynku i zapewne nie wszyscy ukrywający się je znali. Niemcy odkryli pięć wyjść. Szóstego nie. Kiedy Niemcy zaczęli wpuszczać do środka gaz, zapanował ogromny chaos. Ludzie rzucili się do ucieczki. Część wpadła w ręce Niemców, którzy obstawili odkryte wejścia, a ci, którzy trafili do tego szóstego, mieli po prostu szczęście. Grupa około 30 osób przeszła potem kanałami na aryjską stronę.

Anielewicz zostaje.

– I ginie. Nie wiemy jak. Nie wiemy, czy zabił go gaz trujący, czy razem z innymi popełnił zbiorowe samobójstwo, jak się najczęściej mówi. Wraz z Anielewiczem ginie tego dnia także Mira Fuchrer i kilkudziesięciu innych bojowców.

W zeszłym roku prowadzono wykopaliska pod kamienicami obok bunkra.

– I niczego nie odkryto. A w samym bunkrze nie można kopać, bo jest uznawany przez prawo żydowskie za zbiorową mogiłę, a więc miejsce nienaruszalne. Zresztą co by nam to dało? Mamy przesłanki, żeby sądzić, że było to samobójstwo. Ale z drugiej strony, czy gdyby to był gaz, to by tak wiele zmieniło w postrzeganiu Anielewicza? Samobójstwo wpisuje go w legendę Masady o obrońcach, którzy się nie poddają, wołają wybrać śmierć. Ale on i tak pozostanie w pamięci zbiorowej komendantem, który trwał na placu boju do końca. I to sprawiło, że stał się po wojnie bohaterem idealnym. **N**

Newsweek POLECA**Pełna wersja rozmowy**

do przeczytania w wydaniu specjalnym „Newsweek Historia” poświęconym 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim

Marta Grzywacz

DR MARIA FERENC JEST SOCJOLOŻKĄ, PRACOWNICĄ DZIAŁU NAUKOWEGO ŻYDOWSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO, AUTORKĄ KSIĄŻKI „KAŻDY PYTA, CO Z NIM BĘDZIE. MIESZKAŃCY GETTA WARSZAWSKIEGO WOBEC WIADOMOŚCI O WOJNIE I ZAGŁADZIE” ORAZ NOWEJ BIOGRAFII MORDECHAJA ANIELEWICZA



FINLANDIA

TO ŚWIETNY KRAJ DLA PISARKI

O finlandyzacji, która nie zniknie z dnia na dzień, o efekcie Sanny Marin i populizmie z TikToka mówi najbardziej znana fińska pisarka

SOFI OKSANEN

ROZMAWIA JACEK PAWLICKI

NEWSWEEK: Za sprawą wejścia do NATO i wyborów, w wyniku których władzę straciła premierka Sanna Marin, Finlandia znalazła się na czołówkach światowych mediów. Skromnym Finom woda sodowa raczej nie uderza do głowy. Jak się czujecie, będąc w centrum zainteresowania?

SOFI OKSANEN: Nasze media skupiały się głównie na kampanii wyborczej, na wojnie w Ukrainie oraz na tym, co Turcja i Węgry mówiły na temat naszego członkostwa w NATO. To, jak nas opisują na świecie, w ogóle nie interesowało fińskich telewizji ani gazet, a tym samym opinii publicznej. Śledzę międzynarodowe media i byłam bardzo zaskoczona tym, że nasze członkostwo w NATO tak często trafiało tam na czołówki. W zeszłym roku dość długo przebywałam w Stanach Zjednoczonych, dokąd pojechałam już po rosyjskiej inwazji na Ukrainę i byłam zdziwiona tym, że ludzie cały czas wspominają o Finlandii w prywatnych rozmowach, w mediach, dosłownie wszędzie. Kiedy prezydent Sauli Niinistö wygłosił słynne przemówienie [o wejściu do NATO – red.], spotkani przypadkiem Amerykanie gratulowali mi tego, że jestem

Finką. W czasie mojej poprzedniej wizyty w USA nikt nawet nie napomykał o moim kraju, bywało często, że musiałam tłumaczyć, gdzie leży Finlandia. Tymczasem wiosną 2022 roku zdarzało się, że byłam świadkiem przypadkowych rozmów o naszej wojnie zimowej ze Stalinem sprzed ponad ośmiu dekad. W Ameryce!

Członkostwo w NATO oznacza koniec finlandyzacji, czyli nieformalnego ograniczenia waszej suwerenności przez Kreml?

– To nie jest kwestia jednej decyzji, coś, co zniknie z dnia na dzień. Finlandyzacja jest procesem i dopiero z czasem będzie mieć coraz mniejsze znaczenie, jeśli oczywiście kierunek zmian pozostanie właściwy. Członkostwo w NATO w tym na pewno pomaga, zaś temperatura dyskusji w sprawie Rosji zmieniała się po 24 lutego 2022 roku dosłownie z dnia na dzień.

Jednak kontrola myśli i uczuć Finów, będąca wynikiem sowieckiej, a potem rosyjskiej operacji psychologicznej oraz jej konsekwencje nie znikną ot, tak same z siebie. Finlandia była przecież w tej kwestii długo swoistym laboratorium Związku Sowieckiego. Pozbycie się negatywnych konsekwencji tego procesu wymaga dokładnej analizy. Badanie tego zjawiska to zadanie dla naukowców przyszłych pokoleń. Dopiero wtedy będziemy mogli stworzyć zestaw narzędzi, aby zapobiec powtórzeniu się finlandyzacji.

Żałuje pani, że Sanna Marin przegrała wybory?

– Wcale nie uważam, że je przegrała. Zagłosowało na nią mnóstwo ludzi, bywa nawet nazywana „królową głosów”. Co więcej, jej partia jest dziś dużo bardziej popularna niż wcześniej. Nie natrafiłam na choćby jeden nagłówek w fińskich mediach, który traktowałby o wyborczej porażce Marin czy Socjaldemokratycznej Partii Finlandii (SDP). Przegranymi wyborów były inne lewicowe partie – Sojusz Lewicy i Zieloni.

Sanna Marin stała się ikoną feminizmu. Postrzega pani wynik ostatnich wyborów jako niepowodzenie fińskiego ruchu feministycznego?

– Jeśli przez porażkę rozumie pan, że partia Marin nie zdobyła najwięcej głosów, to nikt się tego nie spodziewał. SDP jest raczej mało seksowną partią. Marin i kilku innym młodym politykom całkiem nieźle udało się poprawić wizerunek tego ugrupowania. Przed przywództwem Marin SDP uchodziła za partię mumię, teraz odmłodziła, choć dzięki osobistej popularności byłej premierki wyborcy głosują raczej na nią, a nie na SDP.

Jeśli chodzi o równouprawnienie w Finlandii, to ono nie leży na barkach Marin. Zmierzamy w kierunku równości płci od czasu

pojawienia się idei niepodległości. Sanna Marin jest tylko jednym ogniwem w tym długim łańcuchu. Przed nią mieliśmy prezydenta kobietę – Tarię Halonen, mnóstwo polityczek, kobiety w fotelu premiera, ministra obrony itd.

Nie wydaje się pani, że światowe media nadmiernie wyekspluatowały Sannę Marin? Została potraktowana jako swoisty obiekt medialnej fascynacji, doskonały temat na clickbaitowe teksty, bo jest kobieca, fajna, młoda, ładna i dynamiczna?

– Afera związana z nagraniem z imprezy, na której tańczy [nagranie wyciekło do mediów w sierpniu 2022 roku – red.], nie

dotyczyła wcale jej tańca, choć właśnie do tego sprowadziły ją międzynarodowe media. Dla Finów istotne było to, że była kompletnie nawalona w czasie, gdy miała prowadzić negocjacje z kanclerzem Niemiec w sprawie państwowego koncernu Fortum [sprowadza paliwo jądrowe do produkcji energii – red.] i umów energetycznych. To jednak było chyba zbyt nudne i skomplikowane dla międzynarodowych mediów. Myślę, że postrzegały one Sannę Marin tak jak pan opisał w pytaniu, ale to miało niewiele wspólnego z rzeczywistością w Finlandii. Nikt nie powinien być nawalony, kiedy ma rozmawiać o milionach z kieszeni podatników. I to nie jest kwestia płci.

To co oznacza dla Finlandii zwycięstwo konserwatysty Petteriego Orpo?

– Jest za wcześnie, by to stwierdzić. Zwycięska Koalicja Narodowa już wcześniej rządziła, jest silną partią. Bardziej martwi mnie to, że bardzo wzmocnili się Prawdziwi Finowie.

Osiągnęli najlepszy wynik w swojej historii. To triumf fińskiego populizmu?

– Niedawno przeprowadzono badanie wyborców Prawdziwych Finów, którzy

są partią popularną wśród młodych ludzi. Wygląda na to, że nie podzielają oni wcale poglądów ani wartości istotnych dla Prawdziwych Finów. Na przykład kwestia migracji nie jest wcale tak ważna dla młodych wyborców, choć pozostaje w centrum uwagi Prawdziwych Finów. Z kolei problemy środowiskowe są ważne dla tego młodego elektoratu, ale nie dla Prawdziwych Finów. Co więcej, wielu spośród młodych wyborców Prawdziwych Finów nie postrzega siebie jako konserwatystów, mimo że partia jest konserwatywna. Jakkolwiek dziwnie to wygląda, młodzi wyborcy Prawdziwych Finów głosują na Prawdziwych Finów, ale tak naprawdę nie podzielają ich wartości.

Ugrupowanie to jest bardzo widoczne na TikToku, dużo bardziej niż inne fińskie partie. Tymczasem w odróżnieniu od starszego pokolenia młodzi wyborcy znajdują swoich ulubieńców właśnie na TikToku.



FINLANDIA JEST
PAŃSTWEM BARDZO
PRZYWIĄZANYM DO
SWEJ KONSTYTUCJI
I PRAWORZĄDNOŚCI.
NIE MÓWIĘ, ŻE
POPULISTYCZNY ZWROT
JEST NIEMOŻLIWY, ALE
TO BYŁOBY ZNACZNIE
TRUDNIEJSZE
NIŻ NA WĘGRZECH
CZY W POLSCE

Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie głosują na polityków, których wartości nie podzielają. Spotkałam niedawno młodą osobę, która głosowała na Prawdziwych Finów, nie wiedząc, że to ugrupowanie nie jest przyjazne środowisku LGBT. Dotarło to do niej jako niespodzianka już po wyborach. Osoba ta ma w rodzinie osoby homoseksualne, nie jest więc na pewno homofobiczna. Może niektórzy po prostu głosują na kogoś, kto ma ekscytujące klipy na TikToku bez względu na to, jaką politykę prowadzi?

Jak opisałaby pani fiński populizm? Czy jest równie niebezpieczny jak węgierski czy polski?

– Prawdziwi Finowie zmienili niedawno grupę w Parlamencie Europejskim na bardziej umiarkowaną [na Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należy również PiS – red.]. Są też jedną z niewielu europejskich partii populistycznych, które nie były finansowane przez Rosję. Dane, którymi się posługuję, pochodzą z dość starego badania, ale wynika z nich, że z 24 partii populistycznych w Europie tylko trzy nie miały związków z Rosją i jedną z nich byli właśnie Prawdziwi Finowie.

Nasza konstytucja jest bardzo solidna. Kaarlo Juho Ståhlberg, pierwszy prezydent i ojciec założyciel fińskiego systemu prawnego, był świetnym prawnikiem. Ze względu na doświadczenia fińskiej wojny domowej bardzo bał się zamachu stanu i dyktatury, co w tamtych czasach było uzasadnioną obawą. Zawdzięczamy mu dość sztywny, biurokratyzowany system prawny, co odczuliśmy w czasie pandemii koronawirusa. Okazało się, że stanowi on jednak dobrą obronę przed wieloma innymi wyzwaniem.

Nie jestem prawnikiem, więc to moje wrażenie, a nie analiza eksperta, ale Finlandia jest państwem bardzo przywiązane do swej konstytucji, gdzie przestrzega się zasad praworządności. Oczywiście wszystkie partie populistyczne twierdzą, że szanują praworządność, ale śmiem twierdzić, że w Finlandii zmiana prawa zgodnie z partyjnym widzimisię byłaby nieco bardziej skomplikowana niż w wielu innych krajach. Mamy dużo większą wolność słowa, media są niezależne. Tyle że na Węgrzech też tak było, ale Orbán zagrał rosyjskimi pieniędzmi i gazem. Nie mówię, że populistyczny zwrot jest w Finlandii niemożliwy, ale to byłoby znacznie trudniejsze niż na Węgrzech czy w Polsce.

Jak rosyjska inwazja na Ukrainę zmieniła Finlandię?

– Członkostwo w NATO jest najbardziej wyraźną zmianą. Dyskurs publiczny i język polityczny stały się znacznie bardziej bezpośrednie. Nikt już też nie uważa, że kraje Europy Wschodniej mają głupie poglądy na temat Rosji, a to jest przecież bardzo pożądana zmiana. Wcześniej nazywano to „zaburzeniem posttraumatycznym”, dziś docenia się wschodnioeuropejską perspektywę patrzenia na Rosję wynikającą z doświadczenia imperializmu Kremla. We wrześniu Sanna Marin powiedziała: „Byliśmy naiwni, jeśli chodzi o Rosję. Powinniśmy byli uważniej słuchać naszych przyjaciół z krajów bałtyckich i Polski”. Jej słowa zostały uznane za mile widziane przez prosi.

Jeśli chodzi o mnie, to wojna sprawiła, że mam jeszcze więcej pracy.

Aż do czasu inwazji na Ukrainę większość Finów bała się drażnić Rosję. Jurij Felsztinski, rosyjski historyk mieszkający w Ameryce, z którym rozmawiałem dwa miesiące temu, twierdzi, że po pokonaniu Ukrainy Rosja może zaatakować Bałtów, Polskę, a nawet Finlandię. Jest takie ryzyko?

– Okupacja to bardzo kosztowny projekt. Dlatego też Rosja preferuje tańsze sposoby podboju, a finlandyzacja jest właśnie jednym z nich. Gdyby przyszło co do czego, w pierwszej kolejności

znów sięgnie więc po takie narzędzie. Nie oznacza to oczywiście, że nie spróbuje twardszych metod, jeśli finlandyzacja zawiedzie. Oczywiście zakładając, że wygra w Ukrainie. Rosja jest jedynym krajem, który kiedykolwiek próbował najechać Finlandię.

Zwykło się mówić, że urodzić się w Finlandii to jak wygrać na loterii. Czy tak było również w pani przypadku?

– Finlandia to świetny kraj dla pisarki. Jako społeczeństwo cieszymy się bardzo dużą wolnością słowa. Ponad 50 procent fińskich pisarzy to kobiety. W odróżnieniu od wielu innych krajów bycie artystką nie jest więc w Finlandii jakąś anomalią.

Pani ojciec był Finem, matka Estonką.

Nie ma pani problemów z tożsamością?

– Tkwienie jedną nogą w jednym systemie, a drugą w innym to bardzo dobre rozwiązanie dla pisarki.

Określa się pani jako „autorka postkolonialna”.

Dlaczego?

– W swoich książkach dekolonizuję rosyjską kolonizację i walczę z rosyjskim imperializmem. Nie zadałby pan tego pytania, gdybym była np. pisarką postkolonialną z Wielkiej Brytanii. Badania nad postkolonializmem to żadna nowość, a jednak ani zajmujące się tym zachodnie uczelnie, ani zachodnia literatura postkolonialna nie interesowały się jak dotąd w ogóle obszarem Europy Wschodniej. Dlaczego? Bo tak silny jest wpływ rosyjskiej kolonizacji na dyskurs publiczny oraz klimat intelektualny na Zachodzie. Poczynań Rosji nie uznaje się za imperializm, ponieważ różni się w zasadniczy sposób od kolonizacji zachodniej, która miała charakter morski. Ekspansja Rosji odbywa się szlakami lądowymi. Warto jednak pamiętać, że rosyjski imperializm to także szerzenie określonych wartości, a wartości nie znajdują granic lądowych. Dla Rosji szerzenie tych wartości na świecie jest formą imperializmu. **N**

jacek.pawlicki@newsweek.pl

SOFI OKSANEN (UR. 1977) JEST FIŃSKĄ PISARKĄ. W POLSCE UKAZAŁY SIĘ M.IN. JEJ „KROWY STALINA”, „BABY JANE”, „OCZYSZCZENIE”, „NORMA” I „PSI PARK”. ZA „OCZYSZCZENIE” OTRZYMAŁA W 2008 NAGRODĘ FINLANDIA, NAJBARDZIEJ PRESTIŻOWE WYRÓŻNIENIE LITERACKIE W TYM KRAJU

”
W SWOICH
KSIĄŻKACH
DEKOLONIZUJĘ
ROSYJSKI
IMPERIALIZM

Kiedy dojdzie do kontrataku? Jak i gdzie zostanie przeprowadzony? „Ci, którzy wiedzą, tego nie powiedzą. Ci, którzy mówią, że wiedzą, jedynie spekulują” – napisał londyński „Times”. Najprawdopodobniej wiedzą to tylko trzy osoby: Zełenski, minister obrony i główny dowódca wojsk Ukrainy. Wiceminister obrony Hanna Malar prosiła niedawno: „Proszę przestać zadawać ekspertom pytania o kontrofensywę w eterze, proszę przestać pisać posty na ten temat, proszę przestać publicznie omawiać plany naszej armii”.

Wiadomo, że będzie to kluczowy moment w tym konflikcie i Ukraińcy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Generał Kyryło Budanow, szef wywiadu wojskowego, powiedział w zeszłym miesiącu, że Rosja i Ukraina stoczą „decydującą bitwę tej wiosny, a ta bitwa będzie ostatnią przed zakończeniem wojny”.

TYLKO JEDNO UDERZENIE

PREZYDENT CZECH I BYŁY GENERAL NATO Petr Pavel ostrzega, że Ukraińcy mają tylko jedną szansę na kontratak. „W tym roku otwiera się ostatnie okno możliwości. Jeśli kontratak się nie uda, po przyszłej zimie utrzymanie obecnego poziomu pomocy Zachodu będzie niezwykle trudne” – mówił.

Według niemieckich źródeł, które cytował „Bild”, Zachód może postawić Ukrainie ultimatum: do jesieni ma odzyskać terytoria okupowane przez Rosję, a w innym razie zgodzi się na rozmowy pokojowe. „Jeśli kontratak się nie powiedzie, Kijów znajdzie się pod wielką presją, by negocjować z Kremlm” – podkreśla gazeta.

Zachodni analitycy uważają, że ukraińska armia ma wystarczająco dużo amunicji, by uderzyć, pod warunkiem że zostanie użyta mądrze, a nie zgodnie ze starą sowiecką taktyką zapory ogniowej. Jeśli to uderzenie nie zakończy się powodzeniem, Ukraina wróci do obrony, bo na kolejną ofensywę zabraknie już amunicji.

Na razie ją oszczędza. Jeden z dowódców opisywał, jak jego jednostka unieszkodliwiła rosyjski czołg T-90, ale



PRZED DECYDUJĄCĄ BITWĄ

Ostatnia szansa Ukrainy?

Rosyjska ofensywa przyniosła minimalne zyski. Teraz kolej na Ukrainę. To może być walka o wszystko

TEKST MACIEJ NOWICKI

zabroniono go zniszczyć, ponieważ amunicja jest zbyt cenna. „W ciągu ostatnich tygodni tempo ostrzału drastycznie się obniżyło – mówi porucznik Dmytro Pletenczuk, rzecznik południowego dowództwa ukraińskiej armii. „Tylko na froncie chersońskim z 2-3 tysięcy spadliśmy do 200-300 pocisków dziennie”.

Budżet USA na pomoc wojskową dla Ukrainy wyczerpie się około września. Również dlatego wiosenna kontrofensywa może stanowić wysiłek ostatniej szansy. „Kluczowym punktem w oczach waszyngtońskich elit, a waszyngtońskie elity są sędzią i ławą przysięgłych w tej sprawie, jest to, że Ukraina musi zdobyć teraz znaczący teren” – twierdzi Cliff Ku-

pchan, przewodniczący Eurasia Group, firmy oceniającej ryzyko polityczne.

Administracja Bidena ma konkurencyjne priorytety na Dalekim Wschodzie, a przede wszystkim walkę w wyborach prezydenckich w 2024 roku z Donaldem Trumpem, który ostatnio nabiera sił. Rosjanie dążą do przeciągania konfliktu – Putin stawia na „wieczną wojnę”, bo w wyborczym roku Ukraińcom będzie znacznie trudniej otrzymać amerykańską pomoc. A potem może być znacznie gorzej, bo polityczne trendy wśród republikanów są aż za bardzo jasne: większość z nich wybiera wycofanie się lub przynajmniej zasadnicze ograniczenie pomocy. Konsekwencje byłyby katastrofalne.



Ukraińska artyleria ostrzeliwuje linię frontu podczas ciężkich walk w pobliżu Bachmutu, 13 kwietnia 2023 r.

„Ukraina nie jest w stanie bronić kraju bez pomocy z Zachodu. Wypalają amunicję artyleryjską w tempie, którego nigdy nie będą w stanie utrzymać w oparciu o rodzimą produkcję. Nie da się obronić nawet dobrze przygotowanej pozycji bez amunicji. Jeśli stracą siłę ognia, w końcu Rosjanie ich wypchną” – ostrzega Stephen Biddle, profesor stosunków międzynarodowych Columbia University, który pracował z dowódcami wojska USA w Iraku i Afganistanie.

A POTEK KRYM?

„UKRAINA CHCE W PIERWSZYM MOŻLIWYM momencie nabrać impetu i narzucić takie warunki na polu bitwy, które

potem będą jej sprzyjać” – powiedział w lutym sekretarz obrony USA Lloyd Austin.

W przeciwieństwie do Rosji pokazała już w tej wojnie, że potrafi przeprowadzić udaną kontrofensywę. Ukraińcy szybko się uczą, są pomysłowi, adaptują się do sytuacji. Nie przeprowadzą zamowanego ataku w stylu NATO, choćby dlatego, że nie mają wystarczających sił powietrznych. „Uważam, że nie będzie jednego dużego uderzenia, ale kilka różnych ofensyw – napisał emerytowany australijski generał Mick Ryan, który od samego początku uważnie śledzi tę wojnę. – Stanie się tak, ponieważ zarówno południe, jak i wschód stwarza-

ją możliwości działań ofensywnych. Ale również dlatego, że Ukraińcy będą chcieli zmylić Rosję co do ich głównego wysiłku”. Tak właśnie postąpili ze świetnym skutkiem w czasie jesiennej kontrofensywy.

Optymiści są zdania, że Rosjanie mogą ponieść straty, które będą mieć daleko idące konsekwencje geopolityczne. „Ukraina może sprawić, że staną się rzeczy niegdyś nie do pomyślenia: Rosja będzie bardzo osłabioną potęgą militarną w Europie Wschodniej z niewielkim wpływem na negocjacje, które zakończą tę wojnę” – twierdzi Evelyn Farkas, dyrektorka Instytutu McCaina.

W pierwszej fazie kontrataku Ukraina będzie musiała pokonać rozległe pola minowe Rosjan. Umocnienia, początkowo skoncentrowane na linii frontu, zwłaszcza na brzegach Dniepru i w Donbasie, są obecnie budowane w rejonach położonych głębiej. Zdjęcia satelitarne z początku kwietnia pokazują dziesiątki okopów powstałych w ostatnich tygodniach na Krymie, który od 2014 roku znajduje się pod kontrolą Rosji. O zwiększeniu liczby umocnień Moskwa zdecydowała po sukcesie ukraińskiej kontrofensywy w rejonie Charkowa pod koniec lata.

Thibault Fouillet, badacz z Fundacji Badań Strategicznych (FRS), wyjaśnia: „Rosjanie budują fortyfikacje, ponieważ są teraz zaangażowani w wojnę na wyniszczenie, a nie opartą na ruchu. To jest logika I wojny światowej. Nie mogą manewrować, kopią okopy, aby spowolnić wroga. I zyskać czas na wycofanie się w dobrym porządku w przypadku, gdyby wróg ich przełamał”.

Wiele wskazuje na to, że ukraiński atak rozpocznie się na południu, które ma szczególnie duże znaczenie gospodarcze dla Ukrainy. „Znajduje się tam rolnictwo, kopalnie, produkcja nawozów i energii, które są kluczowe dla jej gospodarki. Oraz porty, które przed wojną eksportowały towary stanowiące około połowy dochodów zagranicznych Ukrainy. Południe będzie kluczowe dla powojennego dobrobytu Ukrainy” – tłumaczy Ryan.

Najbardziej prawdopodobnym punktem rozpoczęcia kontrofensywy (choć to jedynie hipoteza) jest obszar pomiędzy Chersoniem a miastem Zaporozże. Jeśli Ukraińcy przesuną się o 80 km – do Melitopola – pozwoli to podzielić terytorium okupowane przez Rosję na dwie części, odcinając linie zaopatrzenia wroga i drogę lądową do Krymu, który stanowi najważniejsze z trofeów Putina.

Zdobycie samego Krymu będzie znacznie trudniejsze. W marcu, opierając się na informacjach uzyskanych w Waszyngtonie, Politico twierdziło, że Ukraina może zaatakować Krym, ale jednocześnie uznawała ten atak za bardzo mało prawdopodobny. Z kontynentalną Ukrainą półwysep łączy jedynie wąski pasek ziemi, a duża część tego terenu to bagna. Ofensywa lądowa na Krym – przez wąską szycę – graniczyłyby z niemożliwością. Ukraina prawdopodobnie wybierze inny scenariusz – będzie chciała zmienić Krym w kolejny Chersoń. „Postara się odizolować go logistycznie, nie inaczej niż w przypadku kampanii chersońskiej z jesieni, kiedy siły rosyjskie zostały logistycznie zagłodzone. Najpierw półwysep zostanie odizolowany, potem Ukraińcy będą wywierać na Rosjan presję, aż wyczerpie im się amunicja. A następnie będą czekać, aż Rosjanie wycofają się dobrowolnie, aby uniknąć logistycznego zagłodzenia” – twierdzi profesor Biddle.

POJEDYNEK WOLI

ŚCIŚLE TAJNE DOKUMENTY PENTAGONU, które zostały ujawnione przez Jacka Teixeira, żołnierza Gwardii Narodowej, w ramach największego wycieku amerykańskich danych wywiadowczych od czasu Snowdena, podkreślają słabości ukraińskiego uzbrojenia. Amerykanie przewidują patową sytuację w nadchodzących miesiącach. Ostrzegają, że ukraińska obrona powietrzna średniego zasięgu chroniąca oddziały frontowe zostanie „całkowicie zredukowana do 23 maja”, co może Ukrainie bardzo utrudnić zgromadzenie sił naziemnych koniecznych do kontrofensywy. Dlatego Ukraina może nie zrealizować swoich

celów, a zdobycze terytorialne mogą się okazać skromne.

Po wycieku zastanawiano się, czy Ukraina nie będzie zmuszona do zmiany swoich planów. Generał Mark Hertling, były dowódca armii USA w Europie, nie sądzi, by tak się stało:

„W tych dokumentach nie dostrzegłem niczego, co spowodowałoby, że jako dowódca zmieniałbym swoje plany. To dało pewne informacje Rosjanom w zakresie lokalizacji jednostek, liczebności amunicji i sprzętu, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że Rosjanie i tak już to wszystko wiedzieli”.

”W ujawnionych dokumentach nie dostrzegłem niczego, co spowodowałoby, że jako dowódca zmieniałbym swoje plany. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że Rosjanie i tak już to wiedzieli

GEN. MARK HERTLING,
BYŁY DOWÓDCA ARMII USA W EUROPIE

Wyzwania, które stoją przed ukraińską armią, są aż za dobrze znane. Zachodnia broń i sprzęt są znacznie lepsze niż te, którymi dysponują Rosjanie. „Wyobraź sobie, że należysz do załogi starego rosyjskiego czołgu, który ma 3-4 razy więcej lat niż ty. I właśnie otrzymałeś informację, że twojej załodze przyjdzie się zmierzyć z najnowszymi zachodnimi czołgami. Niezależnie od tego, co mówi nam niedorzeczna rosyjska propaganda, będzie to miało znaczący wpływ na rosyjskie morale” – pisze Ryan. Niestety, istnieje ogromna rozbieżność między pomocą, którą

Ukraina otrzymuje od zachodnich sojuszników, a tym, czego potrzebuje na polu walki. „Tak naprawdę nie daliśmy Ukraińcom wystarczająco dużo, aby mogli zademonstrować, do czego są naprawdę zdolni” – podkreśla George Barros z waszyngtońskiego Institute for the Study of War.

Poza tym ukraińscy oficerowie będą musieli opracować „choreografię” szturmów artylerii, piechoty i pojazdów pancernych, które przebiją się przez rosyjskie okopy, pułapki czołgowe i pola minowe. Wymaga to ścisłej koordynacji pomiędzy różnymi jednostkami. A taki sposób prowadzenia wojny nie był wcześniej realizowany przez Ukraińców. „Muszą nauczyć się bardzo dużo i na dodatek bardzo szybko, zanim dostaną cały potrzebny im sprzęt” – zauważa Rob Lee, analityk z Foreign Policy Research Institute.

Po roku wojny Ukraińcy są zaprawieni w walkach. Jeden z ich oficerów powiedział, że „pokrywają ich trzy centymetry kamienia”. Ale to wszystko ma również swoją cenę – tysiące najbardziej doświadczonych ukraińskich żołnierzy zostało zabitych lub rannych. Pojawili się doniesienia, że nowi rekruci rzucaeni w wir walki są przestraszeni i zdemoralizowani. „Washington Post” donosił: „Jakość ukraińskich sił zbrojnych, kiedyś uważana za znaczną przewagę nad Rosją, została zdegradowana przez rok ofiar, które zabrały wielu najbardziej doświadczonych bojowników”.

W czasie kontrofensywy Ukraińcy będą musieli jednocześnie odzyskiwać stracone terytoria, zabijać Rosjan, siać chaos w ich szeregach, niszczyć ich linie logistyczne. Opierając się na zupełnie nowej strategii. To bardzo trudne. A jeszcze trudniejsze dla armii, która walczy już od kilkunastu miesięcy i jest po prostu zmęczona. Ale jak podkreśla Biddle: „Równowaga umiejętności i motywacji po obu stronach jest tym, co w najlepszy sposób pozwala przewidzieć wyniki w prawdziwych działaniach wojen. A to dobrze wróży Ukraińcom”. **N**

maciej.nowicki@newsweek.pl



Witold Jurasz

Raport Międzynarodowy

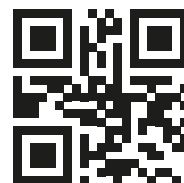
Wydanie specjalne

Oglądaj i zadawaj
pytania na żywo

GOŚĆ: Ppłk Andrzej Olborski

18.04, godz. 20:00

Zeskanuj telefonem
i zapisz się tutaj
lub pod adresem:
bit.ly/3UCAgdP



**Jak się werbuje ludzi i na czym polega praca ze szpiegiem?
Jak się tworzy profil psychologiczny dla werbunku?**

W trakcie wydarzenia będziecie mieli państwo możliwość zadawania pytań zarówno autorowi, Witoldowi Juraszowi, jak i goszczącemu w studio ekspertowi Andrzejowi Olborskiemu.

Udział w wydarzeniu tylko dla subskrybentów  **onet premium**



Holly i Buddy to para psich mieszkańców Landfall, maleńkiego miasteczka z domami mobilnymi w Minnesocie

Barakowiska (trailer parks) to fenomen na wskroś amerykański. W Polsce istniały za głębokiej komuny. Zapewniały dach nad głową budowniczym Nowej Huty, warszawskiego Pałacu Kultury, płockiej rafinerii, z czasem zastąpiły je hotele robotnicze. W USA powstały na początku lat 30. XX wieku. Podczas II wojny światowej rząd kwaterował w barakach pracowników zbrojeniówki, po zwycięstwie stały się substytutem domu dla ludzi, których ominęło amerykańskie marzenie. Negatywny stereotyp mieszkańca trailer park utrwaliła wielce skądinąd humanitarna i postępową reporterka „Washington Post” Agnes Meyer.

WSIOKI, PAROBASY, KARKI

CHCIAŁA ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA SPOŁECZNY PROBLEM, a w powszechnej świadomości został obraz bezzębnych, niedomytych analfabetów, wiecznie pijanych, naćpanych, uprawiających seks z kim popadnie, na po-

BIAŁA NĘDZA AMERYKI

Stoją wozy kolorowe

22 miliony Amerykanów nazywa domem barakowozy i przyczepy kempingowe. **Ledwo wiążą koniec z końcem, ale śnią o potędze**

TEKST PIOTR MILEWSKI, NOWY JORK



Bill Quinn w miejscu, gdzie stał jego dom na kółkach zniszczony przez huragan Irma, Seabreeze Trailer Park w Islamorada na Florydzie

tęę płodzących dzieci, jedzących odpadki lub zabita przez kierowców czy samodzielnie upolowaną zwierzynę. Dość niebanalną – oprócz królików oposy, szopy, szczury piżmowe, grzechotniki, pancerniki, aligatory. Posiadacze domków z samochodem lub dwoma na sielskich przedmieściach zwali ich robactwem (vermin) lub przybłędami (squatters).

Ostatecznie utrwaliło się określenie biała hołota (white trash). Przy czym regionalnie występują takie slangowe odmiany jak: wsioki (hillbillies – Appalachy), parobasy (okies – zamieszkujący Kalifornię przybysze z Oklahomy), karki (red-necks – Pas Biblijny), błociarze (swamp people, bogtrotters – głównie Luizjana, ale również południowy Teksas, Missisipi, Alabama), lebiegi (lubbers), śmieciarze (wasters), baracho (trailer trash).

Przez minione 70 lat ich warunki bytowe nieco się poprawiły, ale uprzedzenia trwają. Jeszcze w roku 1990 szef sztabu wyborczego demokratów James Carville rzucił pod adresem oskarżającej Billa

Clintona o seksualne nękanie Pauli Jones: „Przeciągnij studolarówkę przez barakowisko, a zobaczysz, co się przylepi”.

Dziś na powyższe słowa nie pozwoliłaby sobie żadna osoba publiczna. Nawet określenie „barakowisko” stało się niepoprawne politycznie, należy mówić „osiedle domów prefabrykowanych” (lub mobilnych – w przypadku barakowozów i przyczep kempingowych). Na terenie USA znajdziemy 44 tysiące tego typu osiedli. Mieszka w nich 19 proc. populacji Karoliny Południowej, 17 proc. – Nowego Meksyku, 13 proc. – Arizony.

Wyrażenie „biała hołota” nie przejdzie przez gardło nikomu poza ludźmi, którzy sami się tak z dumą nazywają, podobnie jak Afroamerykanie używający wobec przedstawicieli własnej grupy etnicznej epitetu „czarnuch”. Zamiast „ubodzy” czy „biedacy” mówimy: „społeczność o niskim statusie socjoekonomicznym”.

Jak się żyje w takiej społeczności? Niebezpiecznie. Co roku straż pożarna przyjeżdża do 11 400 płonących ba-

raków i z reguły nie ma już czego gasić. 40 proc. ofiar tornad to mieszkańcy domów prefabrykowanych. Innymi słowy, giną 15-20 razy częściej niż posiadacze murowanych, którzy mogą schować się w piwnicy czy nawet pod łóżkiem, lecz chronionym ścianami z cegły.

Bieda, choćbyśmy nazywali ją socjoekonomiczną nietypowością, wiąże się ponadto z brakiem opieki medycznej, o dentystycznej nie wspominając, i niedożywieniem. Choć specyfika amerykańskiego ubóstwa to raczej niewłaściwe żywienie skutkujące otyłością oraz mnóstwem wynikających z niej chorób. Zimą lokatorzy baraków marzną, latem doznają udarów cieplnych. Mają niższe szanse zdobycia wykształcenia, znalezienia porządnej pracy, krótko mówiąc: społecznego awansu.

PEDOFILE SĄ GRZECZNIEJSI

NIEDALEKO ORLANDO NA FLORYDZIE ZNAJDUJE SIĘ zbudowana z prefabrykatów Wioska nad Brzegiem Jeziora

(Lake Shore Village). Przy wejściu wisi tabliczka: „Tylko dla dorosłych. Nieletnim wstęp wzbroniony”. Dlaczego? Mieszkają tu wyłącznie osoby, które odsiedziały wyroki za przestępstwa na tle seksualnym. Gwałciciele, pedofile, dystrybutorzy dziecięcej pornografii. Właścicielka Lori Lee chwali sobie lokatorów.

Wcześniej barakowisko kontrolowali handlarze narkotyków. Kolejki samochodowe blokowały przejazd i w całej okolicy tworzyły się korki. Co gorsza, narzeczona jednego z dilerów, mieszkająca po drugiej stronie szosy, wypowiedziała mu posłuszeństwo, sama zaczęła sprządać a i między osiedlami wybuchła wojna handlowa. Wprawdzie bezkrawa, lecz zwabionych spadkiem cen klientów przybyło. Korki się wydłużyły, sterty śmieci – głównie puszek po piwie – urosły, dochodziło do bójek, rzucane przez oczekujących byle gdzie pety groziły pożarem.

Pedofile są grzeczniejsi. Czynniki płacą punktualnie, bo w razie eksmisji mieli by problemy ze znalezieniem innego lokum. Rejestr przestępców seksualnych jest publiczny, nie trzeba się nawet logować. A przeszłość kandydatów coraz częściej sprawdzają nie tylko potencjalni pracodawcy, lecz także najemcy.

„Wszyscy patrzą im na ręce: media, biuro szeryfa, funkcjonariusze przejściówki i służby więziennej – tłumaczy Lori Lee. – Dilerzy tego nie lubią, wolą trzymać się z daleka”. Właścicielka na tyle się odkuła, że kupiła barakowisko vis-à-vis. „Wykwaterowałam wszystkie rodziny, handlarzy, prostytutki, wynajmuję tylko skazańcom – mówi. – Zyski pozwoliły mi nabyć kolejną parcelę, trochę dalej”. Mogłaby nadal rozkręcać interes, ale ma ponad 70 lat, już jej się nie chce.

Hollywood przez dekady lansował sensacyjny wizerunek prefabrykatowych osiedli jako siedliska zbrodni i wszelkiej deprawacji, ale rzeczywistość jest znacznie bardziej prozaiczna. Wskaźniki przestępczości nie przekraczają średniej regionalnej. W małych społecznościach wszyscy się znają, i to raczej na takiej zasadzie jak mieszkańcy starych kamienic, a nie anonimowych blokowisk.

Zresztą co tu można ukraść. I gdzie schować, skoro baraki stoją zazwyczaj blisko siebie i jeden sąsiad widzi, co drugi ma w garnku. Owszem, biedacy stanowią największy odsetek uzależnionych od amfetaminy i opioidów, ale przede wszystkim doskwierają im beznadzieja, brak perspektyw, nuda.

Zwłaszcza młodym. Są zatem znakomitym narybkiem dla liderów sekt. Na przykład dla wielebnego Pete’a Petersa – przełożonego Kościoła Chrystusowego w LaPorte, stan Kolorado. Siedziba kongregacji to niepozorny drewniany budynek między warsztatem samochodowym a sklepem z bronią. Pastor głosi ideologię „tożsamości chrześcijańskiej” – mieszanek rasizmu i antyrządowej retoryki w stylu milicji obywatelskich.

Na terenie USA znajdziemy 44 tysiące barakowisk. Mieszka w nich 19 proc. populacji Karoliny Południowej, 17 proc. – Nowego Meksyku, 13 proc. – Arizony

Twierdzi, że Antychryst jest wśród nas, zdążył powołać światowy rząd w postaci ONZ, przemawiał m.in. ustami Martina Luthera Kinga i Boba Dylana. Masoni poświęcili szatanowi wszystkie gmachy federalne, więc werbowani w pobliskich barakowiskach – Vern’s Trailer Park, North Star, Poudre Valley, Terry Lake, Blue Spruce, Hickory Village – młodzi wyznawcy Petersa smarują je świętym olejem, by wróciły pod jurysdykcję Chrystusa. Na pierwszy ogień idą szczególnie przekłete budynki sądów.

BIALI WOJOWNICY CHRZEŚCIJAŃSTWA

NIEDAWNO ZMARŁ YISRAYL HAWKINS – twórca Domu Yahweh w teksańskim

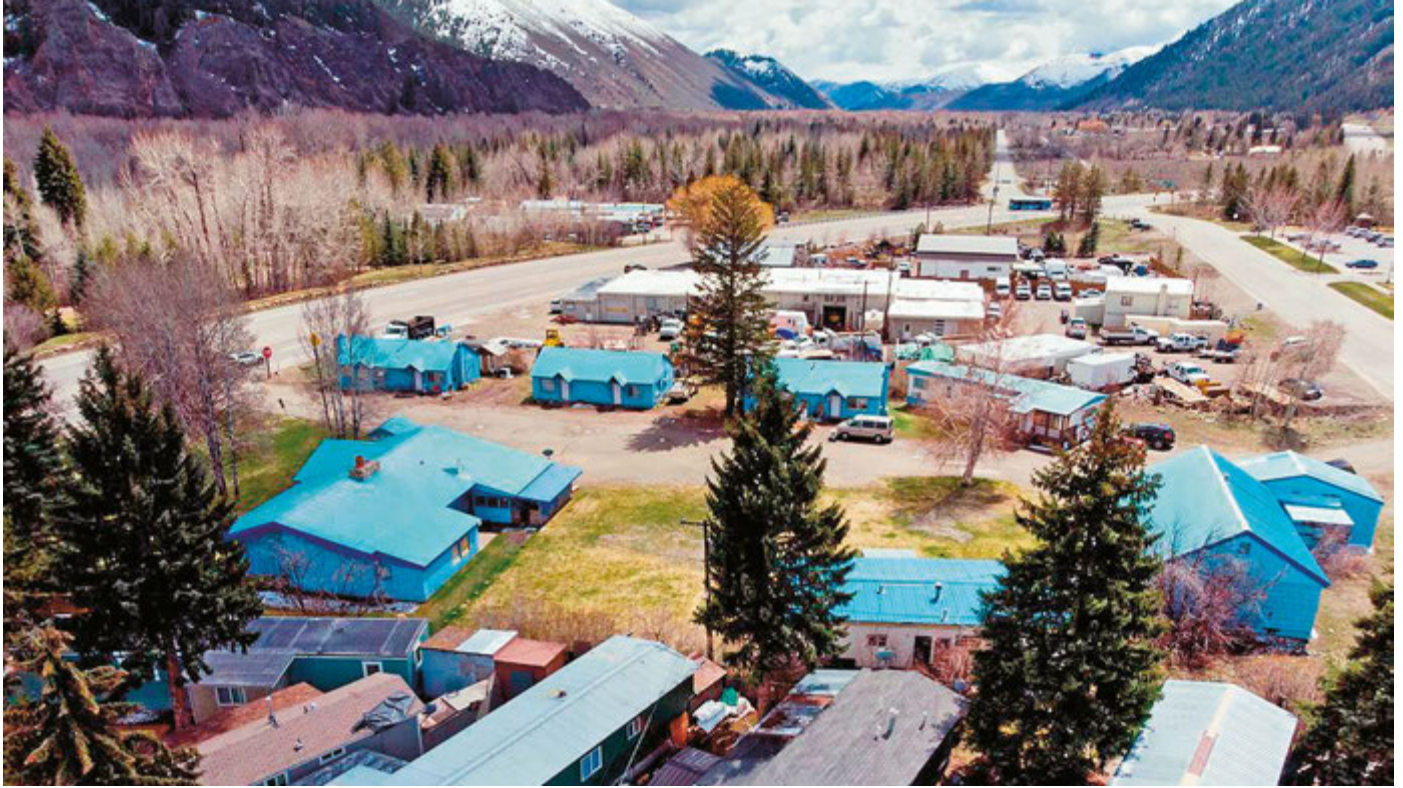
miasteczku Abilene. Zwolenników kapłanów za pośrednictwem internetu. Łącząc założenia sekty i osiedla domów prefabrykowanych, stworzył znakomicie prosperujące przedsiębiorstwo. Każdy nowicjusz kupował od Hawkinsa barakowóz, który w przypadku wypisania się z Domu Yahweh oddawał bez zwrotu pieniędzy. Wierni na znak lojalności wobec przywódcy przebijali uszy i urzędowo zmieniali nazwisko na Hawkins.

Najubożsi, czyli najslabiej wykształceni Amerykanie, są najbardziej podatni zarówno na aberracje religijne, jak i ideologiczne. By dodać sobie splendoru, zasilają najróżniejsze antyfederalne milicje. Paradę owych bojówek oglądaliśmy 6 stycznia 2021 r. podczas ataku na Kongres.

Szyby i policjantów tłukli przedstawiciele organizacji o dumnych nazwach Gwardia Pretoriańska (Praetorian Guard), Obrońcy Przysięgi (Oath Keepers), Groyper Army, Trzyprocentowcy (Three Percenters – wedle popularnego wśród skrajnej prawicy mitu taki odsetek najdzielniejszych kolonistów wystarczył do wyzwolenia Ameryki spod tyranii Jerzego III).

O unieważnienie demokratycznych wyborów walczyli również członkowie sekty QAnon, według której Donald Trump prowadzi tajną wojnę z mafią pedofilów gwałcących dzieci i pijących ich krew. Prawa ręka spikera izby niższej, Marjorie Taylor Greene, spytana 2 kwietnia przez prowadzącą magazyn publicystyczny CBS „60 minut”, czy wciąż w to wierzy, odparła, że jak najbardziej: administracja Bidena „seksualizuje” dzieci tudzież relatywizuje wrodzoną i jedynie słuszną tożsamość płciową, by je łatwiej wykorzystywać.

Na marginesie: Greene przyjechała do Nowego Jorku bronić Trumpa, gdy prokuratura stawiała mu zarzuty. Chciała przemówić do nielicznych prowincjuszy, ale tubylcy całkiem zażęśli ją gwiazdami i buczeniem, więc szybko ewakuowała się do limuzyny. Następnego dnia wystąpiła u Tuckera Carlsona z Fox News. Mówiła, że burmistrz wysłał nowojorczykom sekretny sygnał, by ją zabili (nikt nawet jajkiem



J&J Trailer Park w Ketchum w stanie Idaho

nie rzucił), widziała straszne rzeczy, wszyscy brali narkotyki, po czym zaraz padali na ziemię, prawdopodobnie konając, inni rabowali się wzajemnie przy użyciu broni palnej, wszędzie potwornie śmierdziało, więc zebrało jej się na wymioty i nie rozumie, jak ludzie mogą żyć w tym odrażającym mieście.

Rzeczony patologie zaobserwowała przez pół godziny w dystrykcie urzędowym między ratuszem a sądami. Elektorat kongresmenki to głównie biali o niskim statusie socjoekonomicznym. Podobnie jak w przypadku jej idola Trumpa. Roczny dochód statystycznego mieszkańca 14. okręgu wyborczego Georgii, gdzie Greene dwukrotnie zdobywała kongresowy mandat, wynosi 17 508 dolarów rocznie, średnia krajowa to 70 480 dol., a federalny próg ubóstwa – 12 880 dol.

KREW NA WEJŚCIU, KREW NA WYJŚCIU

W JEJ STANIE DZIAŁA 1700 BARAKOWISK, METROPOLIA NOWOJORSKA MA JEDNO – Goethals Garden na Staten Island. Z jednej strony autostrada, z drugiej – bagna pełne moskitów. Górą biegnie korytarz powietrzny. Nieopodal gigantyczne wysypisko śmieci Fresh Kills. Latem smród gnijących pod cienką warstwą ziemi odpadków trudno wytrzymać, nawet gdy przejeżdżamy obok samochodem. Greene mogłaby tu zna-

leźć sporo zwolenników. Większość chałupek zdobią amerykańskie flagi. Przed barakiem G17 na spłachetku zieleni stoi deska pomalowana w barwy narodowe i ozdobiona dewizą: „Przeżyj dziś, módl się o jutro”. Znaczy – lepsze. Dla większości rezydentów oznaczałoby wyprowadzkę. Tyle że czynsz za najgorsze mieszkanie w mieście jest dwa razy wyższy.

Barakowiska bywają sceną makabrycznych zbrodni głównie za sprawą zawodowych kryminalistów pasożytujących na mieszkańcach. Michael „Skip” Hudson okazał się frajerem. Kapitan nazistowskiego gangu Bractwo Aryjskie (Aryan Brotherhood) Eric Parker dał mu na krechę amfę wartą 250 dolarów, a mała lat nie chciał płacić, bo nie pasowała mu jakość. Jeden z szefów na obszar Missisipi, Frankie „State Raised” Owens Jr., zarządził rozwiązanie sporu metodą solowy, czyli pojedynku, lecz Skip się nie stawiał.

Frankie musiał ukarać tchórza. Zaczął się z trzema ludźmi w barakowisku przy granicy Alabamy. Zwabili tam Skipa pod pretekstem, że będą gotować metamfetaminę. Owens udusił go, używając kija bejsbolowego. Wróciwszy do domu, Parker zamiast skruszonego dłużnika znalazł trupa. Zadzwonił do najwyższego rangą członka bractwa Brandona „Oaka” Creela i powiedział, jak było. „Przywieźcie go” – rozkazał szef. U Creela zawinęli

zwłoki w dywan i upchnęli do 55-galonowej (208 l) beczki. Gospodarz przy użyciu koparki wykopał dół, stoczył beczkę, polał benzyną, dorzucił parę opon i podpalił. Po pięciu dniach, gdy ogień dogasł, utopił szczątki w pobliskiej rzece.

Morderstwo Hudsona stanowiło jeden z punktów federalnego aktu oskarżenia przeciw 42 członkom Bractwa Aryjskiego Missisipi. Podobne procesy odbyły się w Teksasie i Oklahomie. Gangsterzy nie tylko sprzedawali hurtowe ilości amfetaminy, lecz także bezwzględnie wcielali w życie więzienną zasadę krew na wejściu, krew na wyjściu (blood in, blood out). Oznacza ona, że rekrut, by zostać pełnoprawnym członkiem gangu, musi kogoś zabić lub zranić, a karą za nielojalność jest śmierć.

Jeszcze trzy dekady temu złożone z czarnych i Latynosów gangi narkotykowe terrorowały mieszkańców wielkich miast. Teraz metropolie odzyskały świetność utraconą w latach 70. i 80. XX w. Dzięki liberalizacji przepisów antynarkotykowych przestały „produkować” kryminalistów. Rozbudowa świadczeń socjalnych i programy reedukacji doprowadziły do gentryfikacji dawnych dzielnic nędzy. Epidemia uzależnień szaleje na prowincji, zbierając największe żniwo wśród biedoty. Innymi słowy: barakowiska to nowe getta. Dla białych. **■**

piotr.milewski@newsweek.pl

Toksyczny WIBOR

Wady prawne umów kredytowych oprocentowanych na podstawie wskaźnika WIBOR są tak duże, że większość kwalifikuje się do unieważnienia

Większość toczących się w sądach spraw o unieważnienie kredytów hipotecznych dotyczy umów frankowych. Coraz częściej kwestionowane są również umowy złotówkowe. Oprocentowanie większości złotych kredytów hipotecznych w Polsce jest ustalane na podstawie wskaźnika WIBOR. Ponad dwa miliony Polaków ma kredyt mieszkaniowy, którego oprocentowanie zależy właśnie od tego wskaźnika. W uproszczeniu: im stopy procentowe są wyższe, tym wyższy jest WIBOR, w następstwie zaś – oprocentowanie kredytów o zmiennej stopie, a tych jest najwięcej.

Jak „odwiborować” umowę?

Wokół WIBORU-u narosło sporo kontrowersji. Kredytobiorcy, którym kojarzy się on z drastycznym wzrostem rat w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, kwestionują zasady jego ustalania. Twierdzą, że są one nieprzejrzyste i zagrożone manipulacjami, np. znową banków w celu jego sztucznego zawyżania. Pojawia się coraz więcej pozwów przeciw bankom z żądaniem „odwiborowania” umów. Echem odbiła się decyzja sądu w Katowicach, który na czas takiego procesu radykalnie obniżył osobie pozywającej bank miesięczną ratę. Jedynym składnikiem oprocentowania została marża, a WIBOR zniknął.

Niepełna informacja

Wśród zarzutów wobec banków pojawia się także naruszenie obowiązku informacyjnego. Jak twierdzą sami



zainteresowani, pracownicy banków nie informowali ich o faktycznej skali ryzyka związanego ze zmienną stopą procentową (czyli o tym, że jest ono praktycznie nieograniczone). Przed zawarciem umowy kredytobiorcy nie otrzymywali też regulaminu stawek referencyjnych, a na jego podstawie jest ustalana wysokość wskaźnika WIBOR. To podobna sytuacja jak ta, w której frankowy kredytobiorca nie

dostał do ręki żadnego dokumentu, który precyzowałby, w jaki sposób bank ustala kurs do spłaty poszczególnych rat. Zdaniem prawników to także jest argument do wytoczenia bankowi sprawy w sądzie. Co więcej, wady prawne kredytów złotówkowych są tak duże, że większość umów kwalifikuje się do unieważnienia. ●

Agnieszka Rakowska

JAK UNIEWAŻNIĆ KREDYT ZŁOTÓWKOWY

Mówi Janusz Burkot, radca prawny z kancelarii Burkot Legal

Jest kilka podstaw dochodzenia roszczeń. Po pierwsze, brak rzetelnych informacji o ryzyku wzrostu raty z uwagi na wzrost wskaźnika WIBOR. Banki nie udzielały kompletnych informacji na temat ryzyka zmienności WIBOR

i wzrostu raty kredytu. Po drugie, banki nie wskazywały w sposób precyzyjny, jak ustalany jest wskaźnik WIBOR i od czego zależy jego wysokość. Kredytobiorcy nie wiedzieli, że wysokość wskaźnika WIBOR zależy od danych przekazywanych przez kilkanaście banków w Polsce. To banki decydują o wysokości raty kredytu, analogicznie

jak przy kredytach frankowych. Po trzecie, WIBOR nie odzwierciedla rzeczywistego kosztu, jaki ponoszą banki z tytułu udzielania kredytów, a przerzucają ten koszt w całości na konsumentów. WIBOR jest więc prawdopodobnie ustalany wadliwie i może być ukrytym wynagrodzeniem banku.

Problematyka kredytów bankowych ze zmienną stopą procentową

Banki w sposób nieprawidłowy przy kredytach ze zmienną stopą procentową stosują prawo konsumenckie. Do tej pory nie wypracowały prawidłowego schematu przy sprzedaży kredytów i nie wdrożyły odpowiedniej konstrukcji umów.

KOMENTARZE



Janusz Burkot,
radca prawny
kancelarii
Burkot Legal

Jeszcze kilka lat temu bank traktowany był przez konsumentów jako instytucja zaufania publicznego i wiarygodne źródło informacji. Konsumenti nie weryfikowali więc szczegółowo umów, myśląc, że umowa jest uczciwa, a bank – jako podmiot nadzorowany przez instytucje państwowe – nie mógłby zaproponować umowy z wadliwymi zapisami.

Wzrost rat kredytowych przy kredytach frankowych zburzył tę harmonię. Konsumenti zaczęli weryfikować podpisane umowy kredytu.

Okazało się, że umowy frankowe zawierają szereg nieprawidłowości, co potwierdziło orzecznictwo sądowe. Można je podzielić na dwie grupy.

Pierwsza grupa nieprawidłowości dotyczy procesu związanego z zawarciem umowy kredytowej i dokumentami oraz informacjami przekazywanymi przez banki. Banki nie wyjaśniały konsumentom istoty kredytu frankowego, w tym ryzyk i składowych wynagrodzenia.

Kolejną nieprawidłowością jest pobieranie wynagrodzenia przez banki, popularnie zwanego spreadem, które było i jest całkowicie nieznanie konsu-

mentom, a arbitralnie ustalone przez bank według tabeli obowiązującej w banku. Doprowadziło to do lawiny pozwów przeciwko bankom i masowego ustalania nieważności umów kredytów frankowych przez sądy.

Doszło do znaczącego naruszenia wizerunku banku jako instytucji zaufania publicznego.

Przy sprzedaży kredytów opartych na wskaźniku WIBOR można dopatrzeć się analogicznych błędów po stronie banków jak przy sprzedaży kredytów frankowych.

Po pierwsze, znów mamy do czynienia z brakiem rzetelnych informacji o ryzyku wzrostu raty z uwagi na wzrost wskaźnika WIBOR. Po drugie, banki nie wskazywały w sposób precyzyjny, jak ustalany jest wskaźnik WIBOR ani od czego zależy jego wysokość.

Wobec analogicznych nieprawidłowości może dojść do stwierdzenia nieważności tych umów przez sądy. Tym bardziej że już takie wyroki zapadały, np. wyrok Sądu Okręgowego w Siedlcach z dnia 27 marca 2018 roku sygn. akt IC 1139/16. ●

www.burkotlegal.pl

Banki w sposób nieprawidłowy przy kredytach ze zmienną stopą procentową stosują prawo konsumenckie. Banki nie wypracowały prawidłowego schematu przy sprzedaży kredytów, jak również nie wdrożyły odpowiedniej konstrukcji umów kredytowych. Chodzi o brak rzetelnej informacji o ryzykach i wynagrodzeniu banku. Konsument ma prawo znać ryzyko i wszystkie koszty, które będą go obciążać. Powinny być one wprost wskazane albo powinien istnieć prosty mechanizm, aby te koszty ustalić. Wysokość raty kredytu nie może być dowolnie uzależniona od banku.



Łukasz Jurczak,
dyrektor
Działu Prawnego
kancelarii
Burkot Legal

Banki mają problem związany z kredytami opartymi na zmiennej stopie procentowej. Ich konstrukcja jest wątpliwa prawnie. Banki muszą istotnie zmienić zarówno kształt prawny umów, jak i sposób przedstawiania informacji konsumentom, tak aby sprostać wszelkim wymaganiom wynikającym z przepisów i orzecznictwa sądowego.

NIE TYLKO BIZNES

Mikołaj Kunica

Cześć Jacku!



Gdy przed wieloma laty w dość nieformalnym anturażu męskiej przebieralni jednej ze stolecznych pływalni spotkałem Cię po raz pierwszy, moją uwagę przykuł twój luźno rzucony na ławkę żółty ręcznik. Zastanawiałem się chwilę nad jego pochodzeniem, gdyż do złudzenia przypominał plażowe frotté wypożyczane w popularnych czterogwiazdkowych kurortach słonecznego Egiptu. Były to czasy smuty związanej z okresem niełaski, w jaką popadłeś, jak się na szczęście okazało przejściowo, u gospodarza gabinetu w partyjnej centrali przy ulicy Nowogrodzkiej. I Twoja gwiazda zaranna znów zabłysła silnym, jasnym światłem. Z mediów wyszedłeś i do mediów wracasz.

Drogi Jacku, bo chyba pozwolił, że jako kolega po piórze w takiej właśnie lżejszej formie będę się od dziś do Ciebie zwracał, witaj w klubie ekonomicznych kolumnistów. Twój debiutancki felieton o wiosennym spotkaniu w cieniu wojny przeczytałem z uwagą. W końcu niewiele szanowanych wydawnictw na świecie może poszczycić się pozyskaniem autora będącego czynnym przedstawicielem swojego kraju w Radzie Dyrektorów Banku Światowego. Twój felieton nie tylko przywołuje bogatą historię tej dostojnej instytucji, ale też rozpala lingwistyczny kaganek oświaty, wyjaśniając zatroskanym przyszłością globalnej gospodarki czytelnikom, co w mowie Mickiewicza i Słowackiego oznacza Spring Meetings, czy jak należy rozumieć skrótowiec IMF.

Myślę, że wielu czytelników czekało na Twoje ostre pióro. Dziwi zatem zdziwienie, jakie w związku z Twoim debiutem wyczuwa, Jacku, Twój nowy szef. Anonsując przemyślenia o wiosennym spotkaniu w cieniu wojny, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” spieszy wyjaśnić, że Twój angaż wynika z naturalnej ciekawości, „co były prezes TVP ma do powiedzenia w swojej nowej roli”. Wybrzmiewa również troska o czytelników, którzy podobnie jak cała „polska opinia publiczna mają prawo poznać poglądy publicystyczne Jacka Kurskiego”. I ja niecierpliwie czekam na kolejne rozprawki, bo powątpiewać w to, że do opowiedzenia masz wiele niezwykle interesujących historii, nie może chyba nikt.

I tak jestem niezmiernie ciekawy, jak to było z tym dziadkiem z Wehrmachtu, którego następnie twoi ludzie tak twórczo przekuli w Für Deutschland, dzięki czemu niemal z otchłani medialnego marginesu do codziennej ramówki TVP w prime timie mógł powrócić na niemieckim rumaku lider „totalnej” (to chyba również twoje dziecko) opozycji. Przychylając się zatem do redakcyjnej

troski o publiczne dobro, które swym piórem ubogacisz, gorąco zachęcam Jacku do śmielszych od debiutanckiego wynurzeń. Oczywiście rozumiem, że w otwierającym cykl felietonie musiały znaleźć się wersy opisujące, jak to „już w pierwszych godzinach wojny [Rosji z Ukrainą – M.K.] zarząd NBP na wniosek prezesa Adama Glapińskiego podjął decyzję o udostępnieniu dla Narodowego Banku Ukrainy linii swapowej na parze walutowej dolar amerykański/hrywna (USD/UAH)”, która to „bezprecedensowa operacja stała się wzorem do naśladowania dla innych krajów europejskich”.

Śmiało można powiedzieć, że profesor już jest przynajmniej moralnym zwycięzcą najpoważniejszego od zakończenia II wojny światowej konfliktu. A że należy do osób skromnych, warto było o tym wyraźnie napisać. Trudno przecież, żeby człowiek, dzięki któremu Twoje kompetencje mogły zostać dostrzeżone przez świat globalnej finansjery, a Ty sam załapać się na sutą pensję finansowaną

Jacku, niecierpliwie czekam na kolejne rozprawki, bo powątpiewać w to, że do opowiedzenia masz wiele niezwykle interesujących historii, nie może chyba nikt

z naszych składek wpłacanych do Banku Światowego, sam publikował pochwalne enuncjacje. Zasługi są tym większe, im skromniej postępuje ich autor. Tym bardziej że zawsze jakiś niezależny autor czy felietonista przecież się znajdzie.

Kończąc wątek zdziwień, jakie towarzyszą, Jacku, twojej nowej misji, zastanawia mnie opublikowana czerwona czcionką uwaga redaktora naczelnego. Stwierdził on mianowicie, że publikowanie na łamach szacownej i zasłużonej dla polskiego dziennikarstwa gazety Twoich przemyśleń „w niczym nie zmienia naszego zdania o osobistej odpowiedzialności autora za długoletnie dewastowanie polskiej telewizji publicznej i atmosferę politycznego hejtu”. Ten swoisty wstępniak zmusza do głębszej refleksji. Co dalej ze standardami prasy? W tym kontekście utkwiała mi w pamięci kaśliwa, by nie rzec: pełna jadu i złośliwości sugestia, żeby na szefa działu ekonomicznego powołać Bogusława Bągasa (chyba jest wolny, ale to już pozostawiam innym do sprawdzenia). W końcu czytelnicy mogą być ciekawi, czy dzięki metodzie słynnego oscylatora daliby na przykład radę szybciej spłacać tak uciążliwe po innych decyzjach prezesa NBP kredyty hipoteczne. **N**

Travelling

Woda
przez miasto

Kraków biega

Chodźże
na rower



KRAKÓW.
widok na Wawel
i Wisłę

KRAKÓW
Z PERSPEKTYWY WODY

Pod prąd

Gdyby nie królowa polskich rzek,
nie byłoby Krakowa. Wisła,
pełniąca przez wieki funkcję fortu
i okna na świat,
dzisiaj kusi atrakcjami

TEKST KAROLINA WALCZOWSKA

Zimą turyści próbują się rozgrzać gorącymi napojami w krakowskich piwnicach, wiosną i jesienią spacerują ścieżkami po zielonych Plantach. Co robić jednak latem, gdy temperatury rosną w zawrotnym tempie i naszym największym marzeniem staje się odrobina ochłody? Odpowiedź jest prosta – szukać oddechu nad wodą, której w stolicy Małopolski na szczęście nie brakuje.

Wisła zaprasza

W PRZESZŁOŚCI rozlewiska Wisły, Rudawy i Prądnika ściągnęły na te tereny pierwsze społeczności. Wisła nie tylko stanowiła drogę komunikacji, ale jej zasoby zapewniały także wodę pitną oraz pożywienie. O historii królowej polskich rzek i nie tylko dowiedzieć się można podczas jednego z rejsów wycieczkowych, podczas których marynarze raczą opowieściami i legendami o mieście polskich królów.

Ale takie wycieczki mają oczywiście nie tylko walory edukacyjne. Podczas rejsu zobaczymy także najpiękniejsze krakowskie zabytki. Z pokładu statku podziwiać można klasztory, kościoły, pałace i zamki, które wyłaniają się spośród gąszczy drzew i krzewów. Najpopularniejszym szlakiem wodnym jest ten pomiędzy Salwatorem a Kazimierzem, który przebiega przez samo serce miasta. W tafli wody odbijają się tutaj wzgórza wawelskie z monumentalną sylwetką zamku, most Grunwaldzki czy nowoczesny gmach Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggħa. Na horyzoncie widać także Centrum Kongresowe ICE i budynek dawnego hotelu Forum, przed którym promienie słońca z widokiem na dawną siedzibę polskich królów łapią lokalsi. Na przeciwległym brzegu znajduje się klasztor Paulinów na Skałce, który również jest kierunkiem licznych wycieczek. Dalej mimowolnie turyści pochylają głowy, płynąc pod zabytkowym mostem Piłsudskiego, nowoczesną kładką Ojca Bernatka, a następnie mostem Powstańców Śląskich i Kotlarskim.

Ale to niejedyna trasa pozwalająca odkryć uroki stolicy Małopolski. Warto wybrać się też w dłuższy rejs między centrum miasta a Tyńcem, w którym Wisła wpływa do Krakowa wręcz u stóp pięknie położonego klasztoru Benedyktynów. Po drodze mija się wówczas imponujący za-

mek w Przegorzałach – mowa o willi Baszta, zwanej przez krakusów Zameczkiem lub Odyńcem.

Choć sam rejs czy romantyczna kolacja na pokładzie (bo i takie atrakcje są tutaj możliwe) stanowi niezapomniane przeżycie, to zdecydowanie nie wszystko, co na Wiśle można robić. Coraz popularniejszą formą spędzania czasu jest wyprawa kajakiem, którym pozwoli eksplorować niemożliwe do zdobycia statkiem rejsowym zakątki Wisły. O ile nietrudno znaleźć na bulwarach wiślanych przystanie z dużymi statkami, to gdzie szukać kajaków? Wypożyczalnie znajdują się m.in. w okolicach bulwaru Kurlandzkiego, a oferowany tam sprzęt jest duży i stabilny, więc z wiosłowaniem poradzą sobie nawet kompletni amatorzy.

Na tafli można zobaczyć także niecodzienny widok osób stojących na deskach. To nic innego jak SUP (stand up paddle), który polega właśnie na staniu na specjalnie skonstruowanej desce. W pływaniu pomaga specjalne wiosło. Jeśli jednak nie mamy pewności co do swoich umiejętności, możemy wziąć udział w zorganizowanej zabawie np. przez organizację SUP Kultura Kraków i pod okiem profesjonalistów uczyć się nowego sportu.

Na plażę!

W GĘSTO ZABUDOWANYM I PEŁNYM ZABYTKÓW KRAKOWIE odpoczynku od zgiełku szukać można nie tylko na Wiśle. Jak wielu mieszkańców, wybrać możemy się nad zalew Bagry, który pierwotnie stanowił żwirownię, a dzisiaj kusi wypoczynkiem na strzeżonym kąpielisku.

By przekonać się, jak z wielkim akwenem mamy do czynienia, koniecznie trzeba wypożyczyć rower wodny bądź kajak i w swoim tempie odkrywać kolejne jego zakamarki. Miłośnicy nieco bardziej ekstremalnych sportów wodnych mogą spróbować sił na jeździe na nartach wodnych oraz wakeboardzie.

Ponadto przy zalewie działa dziewięć klubów żeglarskich, które po przebyciu odpowiedniego kursu umożliwiają uzyskanie patentu żeglarskiego. Z takim dokumentem można wypożyczyć żaglówkę i pływać po „krakowskich Mazurach”, jak tereny te określają okoliczni mieszkańcy.

W wodach okrzykniętych przez mieszkańców „krakowskimi Malediwami” pływać nie można, warto wybrać się jednak na spacer lub piknik

Podwodne atrakcje

CZYSTA TURKUSOWA WODA, strome szarosrebrne skały, które podkreślają zielen drzew i krzewów – to wszystko sprawia, że zalew Zakrzówek od lat przyciąga zarówno mieszkańców miasta, jak i przybyłych pod Wawel turystów spragnionych wodnych aktywności.

Zalew to nic innego jak zalany nieczynny kamieniołom, w którym niegdyś wydobywano wapień. Obecnie miejsce stanowi cel mikrowypraw. Niebawem jednak może zostać jeszcze chętniej odwiedzany miejscem na mapie Krakowa. Według miejscowego Zarządu Zieleni Miejskiej, modernizacja zbiornika i jego otoczenia ma wkrótce częściowo się zakończyć, a Centrum Sportów Wodnych zostanie udostępnione w czerwcu.

Tym samym mieszkańcy i przyjezdni korzystając będą mogli z zamontowanego na jednym ze zbiorników pływającego basenu. Zamknięcia placu budowy nie mogą doczekać się także fani nurkowania. Pod wodą znajdują się bowiem liczne atrakcje, jak fiat 125p, trabant czy furgonetka, które od lat były odwiedzane i fotografowane przez nurków.

Ekologiczne Malediwy

KLON CZERWONY, metasekwoja, dąb błotny oraz rośliny wodne i mniej znane szuwarowe to tylko niektóre elementy flory otaczającej niedawno powstałe stawy w parku Lotników Polskich. Przyjrzeć można im się z brzegu tuż obok Ogrodu Doświadczeń im. Stanisława Lema i Smoczego Skweru lub z drewnianych kładek, które przecinają akwen.

Warto zaznaczyć, że stawy zasilane są m.in. deszczówką z dachu pobliskiej hali widowiskowo-sportowej Tauron Arena Kraków. To swoisty rezerwuuar wody, która wykorzystywana jest także do podlewania tutejszej bujnej roślinności.

W wodach okrzykniętych przez mieszkańców „krakowskimi Malediwyami” pływać nie można, warto wybrać się tutaj jednak na spacer lub piknik. Latem stacjonują tam dziesiątki food trucków, oferujące autentyczne potrawy z całego świata. Obiad pośród takiej przyrody smakuje naprawdę wyjątkowo. No i na chwilę naprawdę możemy zapomnieć, że jesteśmy niemal w samym środku miasta!

Perła Nowej Huty

NOWA HUTA absolutnie nie kończy się na placu Centralnym i alei Róż. Podczas zwiedzania najmłodszej dzielnicy Krakowa koniecznym trzeba zrobić przystanek nad Zalewem Nowohuckim.



OPACTWO Benedyktynów w Tyńcu nad Wisłą

Zbudowany na obszarze zielonej strefy ochronnej, oddzielającej kombinat metalurgiczny od osiedli mieszkaniowych Nowej Huty akwen od zawsze przyciągał mieszkańców. Tych najbardziej cieszy piękniejące z roku na rok otoczenie. Korzystają tutaj chętnie z tężni solankowej, która nie tylko pomaga zadbać o zdrowie górnych dróg oddechowych, ale i daje ochłodę w upalne dni.

Choć kąpiel w zalewie jest zabroniona, to wypożyczyć można kajaki i rowerki wodne. Zlokalizowane na brzegu leżaki, ławki, boiska do gry czy siłownia nigdy nie stoją puste, co stanowi najlepszą wizytówkę tego miejsca.

Zanurzyć możemy się jednak w kąpielisku w Przylasku Rusieckim, które przed laty stanowiło podkrakowską wieś, a od 1973 roku jest podmiejskim osiedlem na terenie Nowej Huty.

Kompleks czternastu zbiorników wodnych na obszarze ponad 86 hektarów powstał po zalaniu wyrobisk żwirowni w Nowej Hucie i zajmował głównie tereny węgderskie. Nad jednym z nich od niedawna znajduje się zagospodarowane kąpielisko, wyróżniające się nie tylko plażą, ale i drzewami, pod którymi możemy znaleźć upragniony cień. Trudno uwierzyć, że tak dzika i zróżnicowana przyroda znajduje się w granicach miasta. Rodziny i grupy znajomych, które tłumnie tam przybywają, doceniają szczególnie boiska do gry oraz strefę gastronomiczną.

Ze względu na swój wakacyjny klimat miejsce chętnie odwiedzane jest szczególnie latem, jednak wiosną i jesienią bywa tam bardzo spokojnie – na snujących się po wodzie kładkach przechadzają się nieliczni spacerowicze, a nad brzegiem wody wycoczywają pojedynczy plażowicze. •



JOGGING W GRODZIE KRAKÓWA

Do Krakowa, biegiem!

Wzdłuż rzeki, po górach, w lesie albo
miejskim parku – w Krakowie jest gdzie
biegać, a kalendarz miejskich imprez
sportowych wręcz pęka w szwach

TEKST MARCIN WIECZORKOWSKI



UCZESTNICY 18. PZU Cracovia Maraton
na trasie biegu



FOT. SZYMON GRUCHALSKI/ARCHIWUM ZARZĄDU JTK
FRASZKI WIKTORJI SPORTOWEJ W KRAKOWIE

Mieszkańcy, ale także przybywający licznie do miasta turyści chętniej niż kiedykolwiek odkrywaniem uroków dawnej stolicy Polski łączą z aktywnością fizyczną. Krótko mówiąc: cały Kraków biega. Trudno się dziwić, skoro dla biegaczy są tu idealne warunki – klimatyczne ulice, całe hektary zielonych parków, do tego różnorodne ukształtowanie powierzchni – od tras niemal całkowicie płaskich po pętle o poziomie trudności porównywalnym jedynie z treningami w górach. Najlepszym dowodem na to, że gród Kraka to miasto wręcz stworzone dla biegaczy, niech będzie sam kalendarz odbywających się tu co roku imprez sportowych, który wypełniają maratony, półmaratony i innego rodzaju zorganizowane biegi na różnych dystansach.

Chodźże na Błonia

ALE ZANIM ZAPRAGNIEMY ZAŁOŻYĆ TRYKOT z numerem startowym słynnego Cracovia Maratonu, warto zacząć od czegoś łatwego. Znajdujące się w samym centrum Krakowa Błonia to miejsce, które przyciąga nie tylko fanów pikników na świeżym powietrzu czy rolkarzy. Ta ogromna łąka (o powierzchni 48 hektarów!) oferuje też idealną dla zaczynających swoją przygodę z bieganiem pętlę – to ok. 3,6 km z nieznacznym przewyższeniem po asfaltowej ścieżce. Jeśli komuś brakuje motywacji lub towarzystwa, warto wiedzieć, że w każdą sobotę odbywają się tutaj spotkania w ramach Parkrunu. Ten cykliczny bieg organizowany jest przez cały rok i odbywa się na pięciokilometrowej trasie, na którą składa się wspomniana pętla wokół Błoni oraz prosta z nawrotką. Start (oraz równocześnie meta) znajduje się blisko rogu łąki, w pobliżu skrzyżowania ulic 3 Maja i Piastowskiej oraz pętli tramwajowej Cichy Kącik.

Od kopca do kopca

ZDECYDOWANIE WIĘKSZE WYMAGANIA stawia przed amatorami joggingu krakowski Bieg Trzech Kopców. W tym roku odbędzie się już jego 16. edycja, ale żeby spróbować swoich sił na tej wymagającej trasie, nie trzeba czekać aż



START do 14. Biegu Trzech Kopców

do września. Można to zrobić chociażby w jeden ze zbliżających się cieplejszych weekendów – warto, bo możemy liczyć nie tylko na zróżnicowaną trasę biegową, lecz przede wszystkim – wspaniałe widoki po drodze! Szlak zaczyna się bowiem w Podgórzu, tuż pod kopcem Krakusa – najstarszym w mieście, skąd rozpościera się fantastyczna panorama na całą metropolię. Następnie zbiegamy na dół i przez Rynek Podgórski oraz kładkę Ojca Bernatka dostajemy się na drugą stronę Wisły. Później wzdłuż koryta rzeki kierujemy się do słynnego kopca Kościuszki. Po drodze, oczywiście z perspektywy bulwarów, mamy okazję zobaczyć kilka krakowskich symboli: klasztor Paulinów na Skałce, gmach dawnego hotelu Forum czy wreszcie wzgórze wawelskie. Później trasa wiedzie przez zielony i niezwykle urokliwy Salwator, by wprowadzić na drogę wiodącą na sam kopiec.

Przed nami jednak niemal nadal połowa dystansu – kolejne sześć kilometrów wiedzie przez Zwierzyniec, by doprowadzić nas do znajdującego się niemal na zachodnich rubieżach miasta kopca Piłsudskiego. Końcówka trasy (a dokładniej ostatnie cztery kilometry) to fantastyczna droga przez Bielańsko-Tyniecki Park Krajobrazowy – nie tylko piękna, ale i bardzo wymagająca, bo musimy podbiec do wysokości ponad 350 m n.p.m.

Jak podkreśla organizator organizowanego jesienią wyścigu, to jedyny w naszym kraju bieg górski, który wiedzie

**Krakowski Bieg Trzech Kopców to jedyny
w naszym kraju bieg górski, którego trasa wiedzie
przez centrum tak dużego miasta**

przez centrum tak dużego miasta. Mało tego – prawie ćwierć trasy prowadzi ścieżkami o nieutwardzonej nawierzchni, a różnica poziomów sięga nawet 160 metrów. Z uwagi na tak duże zróżnicowanie terenu, w klasyfikacji międzynarodowej bieg został zaliczony jako anglosaski, w którym trasa prowadzi raz w górę, raz w dół, w odróżnieniu od wersji alpejskiej, gdzie trasa w przeważającej części tylko się wznosi.

Namiastka gór

OKOLICE OSTATNICH KILOMETRÓW TRASY Biegu Trzech Kopców obfitują w jeszcze większą liczbę szlaków dla zwolenników biegania terenowego. Mowa o Lesie Wolskim – największym w Polsce parku leśnym, w którym można przygotować się do biegania po górach. Nieprzypadkowo to właśnie tutaj swoje treningi organizuje ceniona grupa biegaczy zrzeszona pod szyldem Tatra Running.

Choć kompleks znajduje się zaledwie pięć kilometrów od ścisłego centrum Krakowa, to oferuje on niewyczerpane możliwości tras. Nie będą się tu nudzić zarówno wprawieni biegacze, jak i osoby, które dopiero rozpoczynają swoją przygodę z tym sportem. Niektórzy najwięksi zapaleńcy decydują się nawet na zejście z wytyczonych szlaków i forsowanie licznych tutaj wąwozów i jarów, imitujących prawdziwie górskie warunki. Co istotne, choć Las Wolski to popularne miejsce rekreacji dla mieszkańców stolicy Małopolski, wybierając się tutaj, nie musimy obawiać się tłumów. Jego teren jest tak rozległy, że nawet w pogodne weekendy bez problemu możemy spokojnie oddać się aktywnemu relaksowi.

Wzdłuż rzeki

NIE KAŻDY JEDNAK CHCE OD RAZU FORSOWAĆ jak największe przewyższenia. Kraków na szczęście ma także wiele do zaoferowania biegaczom preferującym zdecydowanie bardziej płaskie trasy. Ci na pewno będą zachwyceni pra-

Kalendarz imprez biegowych w Krakowie

22 kwietnia

– Igrzyskowy Bieg Nocny

22 kwietnia

– Mini Cracovia Maraton

23 kwietnia

– Cracovia Maraton

7 maja

– Survival Race KIDS

13 maja

– Bieg Pamiętaj z nami

28 maja

– Krakowski Bieg Swoszowicki

3 września

– Poland Business Run

24 września

– Bieg Trzech Kopców

8 października

– Cracovia Półmaraton Królewski

31 grudnia

– Krakowski Bieg Sylwestrowy

wie dziewięciokilometrową pętlą wzdłuż rzeki... nie, wcale nie Wisły. Chodzi o idealną do joggingu ścieżkę wzdłuż koryta Rudawy, będącej jednym z dopływów królowej polskich rzek. Start można zaplanować na Salwatorze, nieopodal skrzyżowania ulic Senatorskiej i Tadeusza Kościuszki, następnie kierować się wałem w kierunku północno-zachodnim. Po około 4,5 kilometra, na wysokości ulicy Nad Zalewem, przebiec mostem na drugą stronę rzeki i wrócić w stronę kościoła Najświętszego Salwatora, znajdującego się nieopodal pętli tramwajowej. To kolejny plus – na trasę można łatwo dojechać z różnych części miasta komunikacją miejską. No i najważniejsze – zapewni ona nie tylko solidny trening na płaskim terenie, lecz także piękne widoki na kopiec Kościuszki!

Park dla wszystkich

JEŚLI 9 KM TO JEDNAK ZA DUŻO, warto spojrzeć w stronę znajdującego się na wschód od ścisłego centrum miasta parku Lotników Polskich. Podobnie jak w przypadku poprzednio opisywanego szlaku, atutem tego miejsca jest także dobre skomunikowanie, ponieważ do tego zielonego kompleksu można łatwo dotrzeć zarówno autobusem, jak i tramwajem. Najpopularniejszą tutejszą trasą jest trzykilometrowa pętla oferująca

przyjemne bieganie w cieniu koron drzew. Jeśli chcemy się bardziej spocić, w północnej części parku znajdują się niewielkie wzniesienia, na których można poćwiczyć podbiegi. Nadal nadmiar energii? Najlepiej wybrać się do części nazwanej Street Workout, aby przeprowadzić trening siłowy. Warto też wiedzieć, że podobnie jak na Błoniach, także w parku Lotników Polskich regularnie organizowane są bezpłatne treningi biegowe – członkowie AZS krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego zapraszają wszystkich chętnych w każdą niedzielę o godzinie 10 na plac z fontanną. •



ATRAKCJE DLA AKTYWNYCH

Miasto na sportowo

Wielu turystów odwiedzających Kraków porusza się pieszo wokół Rynku Głównego, Wawelu i Kazimierza. A szkoda, bo miasto oferuje o wiele więcej atrakcji – także dla tych najbardziej aktywnych

TEKST KAROLINA BRZEZIŃSKA

Kraków poza znanymi w całej Europie zabytkami słynie także z zielonych terenów. A te zachęcają do spacerów, przejażdżek rowerem czy uprawiania nawet ekstremalnych sportów. Dobrze rozwinięta sieć ścieżek rowerowych sprawia, że stolica Małopolski jest miejscem bardzo przyjaznym cyklistom. Co istotne, każdego roku miasto rozbudowuje tę infrastrukturę o kolejne kilometry.

Jedną z ciekawszych ścieżek rowerowych w stolicy Małopolski jest ta, która prowadzi z krakowskiego rynku do Nowej Huty – największej i obecnie bardzo modnej dzielnicy Krakowa. Poziom trudności jest niski, podróż nie sprawi większych problemów, śmiało można wybrać tę opcję całą rodziną, również z małymi dziećmi. Teren jest płaski, ścieżki wytyczono prawie na całej długości. Nie-

FOT. MIKOŁAJ/ISTOCK



KRAKOWSKIE BŁONIA

to świetne miejsce
do jazdy rowerem



wprawnemu rowerzyście wycieczka zajmie 30-40 minut w zależności od tego, czy wybierze trasę przez miasto, czy bulwarem wzdłuż Wisły. W tej drugiej opcji – która ma 15 km – nadrabiamy co prawda kilka kilometrów, ale przyjemność z jazdy jest zdecydowanie większa – unikamy hałasu, spalin, skrzyżowań i przestojów na światłach. Jeśli podróż zaczniemy nie na Rynku czy spod Wawelu, ale np. dwa kilometry dalej, w okolicy handlowej Galerii Kazimierz, umkniemy również z najbardziej zatłoczonego odcinka trasy.

Rowerem wokół Nowej Huty

GDYBY WYCIECZKA Z CENTRUM jeszcze nie wyczerpała całej naszej energii, możemy ruszać dalej i zrobić małą kilkukilometrową pętlę wokół samej Nowej Huty. Z placu Cen-

tralnego, najlepiej rozpoznawalnego miejsca w dzielnicy, możemy zrobić jeszcze dodatkową pętlę wokół Zalewu Nowohuckiego i nowohuckich łąk. Początkowo jedziemy trasami wytyczonymi przez stare osiedla Nowej Huty, potem al. Pokoju i ul. Bulwarową do parku przy Zalewie Nowohuckim. To popularne miejsce rekreacyjne z piaszczystą plażą i łąką solankową. To też dobry punkt na przerwę, a przy okazji zaczerpnięcie nieco jodu. Jadąc dalej, dotrzemy do dworku Jana Matejki w Krzesławicach. Budynek powstał w 1826 roku, a pierwszym jego właścicielem był Hugo Kołłątaj. Matejko kupił tę nieruchomość kilkadziesiąt lat później za pieniądze ze sprzedaży obrazu „Stefan Batory pod Pskowem” i przebudował ją według własnej wizji. Od 1960 roku dworek jest własnością Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, które przekształciło go w muzeum. Można tu zobaczyć „Poczet królów i książąt polskich” oraz inne pamiątki po artyście.

Po zwiedzaniu kierujemy się na południe, do dawnej wsi Mogiła, teraz części Nowej Huty, gdzie znajdziemy kościół Narodzenia Pańskiego i św. Bartłomieja Apostoła. Ten niewielki kościółek zaliczany jest do najcenniejszych przykładów architektury drewnianej w Polsce. Dalej ulicą Klasztorną dojedziemy do Łąk Nowohuckich, chronionych jako użytek ekologiczny. To ostatni przystanek na naszej rowerowej pętli, wracamy na plac Centralny.

Na szczególną uwagę amatorów dwóch kółek zasługuje trasa do Tyńca – dawnej podkrakowskiej wsi, w której znajduje się założony prawie tysiąc lat temu klasztor Benedyktynów. Ten odcinek, często uczęszczany zarówno przez rowerzystów, jak i rolkarzy, jest częścią Wiślanej Trasy Rowerowej i Szlaku Bursztynowego, należy również do międzynarodowej EuroVelo 4, która wiedzie z Bretanii aż pod Kijów. Prawie 12 km zmodernizowanej, wyłożonej asfaltem ścieżki biegnie wzdłuż Wisły. Z dala od ruchu samochodowego i z przepięknymi widokami. Jest to łatwy odcinek spokojnej przejażdżki, na którym śmiało poradzą sobie nawet nierozgrzani rowerzyści. Wyprawę można rozpocząć na wysokości Wawelu. W ciepłych miesiącach jest tu sporo amatorów cyklingu, jednak tuż za miastem trasa staje się zdecydowanie mniej zatłoczona.

Piłkarskie bańki

KRAKÓW TO RAJ NIE TYLKO DLA ROWERZYSTÓW. Miłośnicy dobrej zabawy i dbałości o formę mogą spróbować bubble footballu. To piłka nożna, z tym że zawodnicy ubierają się w specjalne kostiumy. Są to tzw. bumper balls. Gracze nakładają na siebie duże dmuchane bańki, które w czasie rozgrywki tworzą ochronny pancerz dla tułowia i głowy.



WSPINACZKA w Skałkach Twardowskiego nad zalewem Zakrzówek w Krakowie

Rękami trzyma się tę konstrukcję, wolne pozostają tylko nogi. Zasady gry są podobne do konwencjonalnej piłkarskiej rozgrywki – chodzi o to, by zdobyć jak największą liczbę goli. A to w dmuchanej bańce wcale nie jest takie proste. W czasie meczu gracze odbijają się od siebie, przewracają i turlają po murawie.

Bubble football wywodzi się z Norwegii. Pierwszy raz został zaprezentowany w 2011 roku w popularnym programie rozrywkowym „Golden Goal”. W maju 2018 roku odbyły się pierwsze w historii mistrzostwa świata w bubble footballu w Londynie, których finał rozegrano na Wembley. W Krakowie jest kilka miejsc, w których możemy zagrać w piłkę w dmuchanej kuli – np. przy ul. Czyszej 10/5.

Ponad ziemią

GDYBY KOMUŚ BRAKOWAŁO WRAŻEŃ, są jeszcze miejski zalew i park Zakrzówek, które oferują moc dodatkowych aktywności. To miejsca dobrze znane krakusom: idealne na

piknik, spacer lub przejażdżkę rowerem. Dostać się tu nie trudno – rowerem to zaledwie 15 minut z Rynku Głównego. Jeśli podróżujemy komunikacją miejską, musimy wysiąść na przystanku Kapelanka, skąd czeka nas jeszcze kwadrans spaceru ulicą Twardowskiego. Poza odpoczynkiem nad zalewem Zakrzówek miejsce to oferuje świetne warunki dla wspinaczy. W sąsiedztwie akwenu znajdują się grupy skałek i ściany skalne zwane Skałkami Twardowskiego. Skąd taka nazwa? Zgodnie z legendą to tu właśnie mieściło się tajemnicze laboratorium alchemiczne mistrza Twardowskiego.

Już ponad sto lat temu zjeżdżali tu najznamienitsi wspinacze z Krakowa. Dzisiaj do dyspozycji jest ok. 50 dróg i ich kombinacji o różnym stopniu trudności. Znajdą tu coś dla siebie zarówno początkujący, jak i wytrawni wspinacze. Wiele dróg w Skałkach Twardowskiego ma stałe zabezpieczenia. Niezbędne są tylko kondycja fizyczna, indywidualny sprzęt i oczywiście dobre chęci.

Na Zakrzówku działa również sekcja drytoolingu. To rodzaj wspinaczki zimowej. Korzysta się w niej ze sprzętu ty-

Największą jaskinią w okolicy jest Jaskinia Twardowskiego, równocześnie najdłuższa wśród jaskiń całej Jury Krakowsko-Częstochowskiej

powego dla wspinaczki lodowej, tyle że na nieoblodzonych drogach skalnych. W Polsce wspinanie drytoolowe dozwolone jest jedynie w specjalnie do tego celu przeznaczonych rejonach, m.in. właśnie w Skalkach Twardowskiego.

Miejsce to cenią też grotolazi. Największą jaskinią w okolicy jest Jaskinia Twardowskiego, równocześnie najdłuższa wśród jaskiń całej Jury Krakowsko-Częstochowskiej (500 m). To nie jest miejsce dla amatorów, szczególnie jeśli chodzi o zwiedzanie jej bocznych korytarzy.

W Krakowie jest jeszcze kilka miejsc uwielbianych przez wspinaczy. Jednym z nich jest skałka Strzelnica w uroczysku Sikornik we wschodniej części miasta. To dwie wapienne ściany, na których możemy wspiąć się po prawie 30 drogach wyposażonych w stałą asekurację. Miasto często organizuje w tym miejscu bezpłatne zajęcia wspinaczkowe w ramach kampanii „Kraków w formie”. Najbliższe odbędą się 28 czerwca. Wystarczy się tylko zapisać.

Popularnością cieszą się jeszcze krakowskie Krzemionki w południowej części miasta, a nieco dalej – około 15 km na północny wschód od Krakowa – skały w Dolinie Bolechowickiej.

Z kijkami po mieście

AMATOROM NIECO MNIEJ EKSTREMALNYCH SPORTÓW Kraków oferuje wiele ścieżek spacerowych. Nordic walking, czyli marsz z kijkami, to sport, który uprawiać może niemal każdy. W łatwy sposób podnosi kondycję i jest dobrym wyborem dla osób mających problemy ze stawami kolanowymi czy biodrowymi.

Jedną z ciekawych propozycji na początek jest trasa niebieskim szlakiem dookoła Lasu Wolskiego. Zaczynamy ją przy alei Żubrowej, wysiadając na przystanku autobusowym przy zoo. Wchodzimy na niebieski szlak. Trasa prawie w całości wiedzie leśnymi ścieżkami, z dala od samochodowego gwaru. Mniej więcej w połowie trasa dochodzi do Polany Bielańskiej, która jest węzłem okolicznych szlaków turystycznych. Jest to również idealne miejsce na odpoczynek pod wiatą lub na ławce. Następnie udajemy się pod kopiec Piłsudskiego, najwyższy z pięciu istniejących w Krakowie. Pod kopcem rozciąga się największa polana Lasu Wolskiego – Polana na Sowińcu, z ławkami, wiatami, boiskiem i placem zabaw dla dzieci. Czerwonym szlakiem za kopcem dochodzimy do zoo. Cała trasa liczy niecałe 10 km, a jej przejście, jeśli nie robimy zbyt długich przerw, zajmuje około trzech godzin.

Dla tych, którzy nie znają techniki nordic walking i dopiero zaczynają przygodę z kijkami, Zarząd Infrastruktury Sportowej w Krakowie często organizuje bezpłatne



SPLYW kajakowy Wisłą, w tle Zamek Królewski na Wawelu

zajęcia prowadzone przez doświadczonych instruktorów z krakowskiego AWF. Na trening należy zabrać własne kije. Zajęcia odbywają się zazwyczaj w dwóch grupach: początkującej i zaawansowanej. Organizatorzy wybierają trasy – w marcu trenowali m.in. pod kopcem Kraka. •



JAK NAPRAWIĆ SYSTEM

EMERYTALNY MIŚ POTWOREK

Żeby utrzymać niski wiek emerytalny i przywileje różnych grup, to w 2050 roku co trzeci pracujący będzie musiał być obcokrajowcem – mówi **MACIEJ BUKOWSKI**, prezes fundacji WiseEuropa

ROZMAWIA KONRAD SADURSKI ILUSTRACJA PIOTR CHATKOWSKI

NEWSWEEK: We Francji politycy, mimo protestów, chcą podnieść wiek emerytalny kobiet i mężczyzn z 62 do 64 lat. A u nas w kampanii wyborczej nie ma i najpewniej nie będzie mowy o reformie systemu emerytalnego. Dlaczego?

MACIEJ BUKOWSKI, fundacja WiseEuropa: Emerytury to generalnie jest sprawa trudna politycznie. We Francji część społeczeństwa kontestuje zmiany w brutalnej ulicznej walce. Niższy wiek emerytalny jest bowiem korzystny z punktu widzenia jednostki, natomiast dla systemu jest problemem z powodu odwracającej się piramidy demograficznej – coraz więcej ludzi pobiera świadczenia, a coraz mniej pracuje. To zjawisko w wielu krajach Europy Zachodniej jest mocno zaawansowane. Polska jest w tym procesie spóźniona o kilkanaście lat, bo mieliśmy wyż demograficzny w latach 70. i 80., mamy więc trochę młodsze społeczeństwo i nasi politycy mogą jeszcze udawać, że stać nas na niski wiek emerytalny. Gdy Platforma odebrała z OFE 150 mld, na „sprzeciwie” powstała Nowoczesna i odebrała jej sporą część wyborców. Jednym ze sztandarowych haseł PiS w kampanii 2015 roku było przywrócenie niższego wieku. Teraz partie zawarły pakt o nieagresji i wolą nie ruszać emerytur tak jak służby zdrowia?

– Platforma sparzyła się na emeryturach, a PiS stara się wyborcom uchylić każdego możliwego nieba, nie bacząc, co z tego wyniknie w dłuższym okresie. Długo żyliśmy w świecie skarbców, w którym obecny rząd dowolne kwoty wydawał na prezenty. Dopiero wojna w Ukrainie i bardzo wysoka inflacja zweryfikowały to w części.

Jak niskie są emerytury?

– Ostatnio trochę nawet wzrosły z powodu COVID-19. Wysokość emerytur wylicza się bowiem, dzieląc kwotę zebranych składek na oczekiwaną długość życia, a ta w pandemii spadła o dwa lata, więc świadczenia wzrosły. Siła nabywcza emerytur rośnie także z roku na rok, bo jesteśmy coraz bogatsi i ludzie dziś przechodzący na emeryturę otrzymują realnie wyższe świadczenia niż ich odpowiednicy 20 lat temu.

Ale jeśli popatrzymy na stopę zastąpienia, czyli stosunek średniej emerytury do średniego wynagrodzenia, to ona jest w trendzie spadkowym przynajmniej od 2014 roku. To różnicuje społeczeństwo. Emeryci co prawda mają mniej wydatków niż pracownicy, bo nie muszą płacić np. na dojazdy i ubrania do pracy czy dzieci, które są już dorosłe, ale jednocześnie np. potrzebują więcej pieniędzy na leki. Szacuje się, że różnicy w poziomach życia między pracownikami i emerytami nie widać, gdy stopa zastąpienia wynosi ok. 60 proc., czyli tyle, ile jeszcze niedawno w Polsce i w większości krajów UE. Jednak w perspektywie dekady zbliży się do 40 proc., a potem będzie spadać dalej.

Kto jest najbardziej zagrożony?

– Ci, którzy mieli przerwę w płaceniu składek lub wcześniej przechodzą na emeryturę i nie pracują w zawodach uprzywilejowanych, jak górnicy. Na przykład kobieta, która późno zaczęła pracę lub nie pracowała dekadę, bo wychowywała dzieci, albo mężczyzna pracujący 20 lat za granicą lub w szarej strefie. Kiedy przejdą na emeryturę, ich świadczenie może być nawet niższe od minimalnego (w 2022 r. to 1338,44 zł brutto). Jeśli nic nie zmienimy, to około 2030 r. stopa zastąpienia spadnie poniżej 40 proc., a w przypadku kobiet nawet do 30 proc. i będzie poniżej minimalnego progu wyznaczonego przez Międzynarodową Organizację Pracy.

Polki przechodzą na emerytury najwcześniej w Unii, następną są Francuzki – w wieku 62 lat, a najpóźniej Dunki – 68 lat.

– Polska jest ewenementem, nie dość, że wiek emerytalny kobiet jest najniższy nawet ze wszystkich rozwiniętych krajów z grupy OECD, poza Chile, to jeszcze jest różny niż dla mężczyzn. Standardem na świecie jest równy wiek emerytalny dla obu płci. Z powodu tej niekonsekwencji nasz system jest pełen paradoksów i sprzeczności. Gdy kobiety przechodzą na emerytury, to często współdzielą koszty życia z mężami albo – kiedy są samotne – jeszcze dorabiają. Gdy mają już 75 lat, zostają same i już nie pracują, a ich docho-

dy spadają względem kosztów, jakie muszą ponieść na życie. Co dziesiąta kobieta w tym wieku może być zagrożona ubóstwem.

Rząd wprowadził 13. emeryturę równą minimalnej, która wypłacana jest ustawowo każdemu. 14. emerytura – dla wybranych – zależy już od decyzji rządu.

– Korzystniejsze byłoby indeksowanie świadczeń, ale politycznie bardziej opłaca się dawać prezenty ekstra. Przy okazji wypłaty powie się o tym w „Wiadomościach” TVP, a politycy będą o tym przypominać na spotkaniach wyborczych.

Jakie będą emerytury za 10 lat, jeśli nic się nie zmieni?

– Kwoty będą rosły, dlatego że rosną wynagrodzenia, ale stopa zastąpienia będzie spadać. Nawet jeśli społeczeństwo będzie się bogacić, to grupa emerycka będzie biednieć w stosunku do ówczesnych pracujących.

Dlaczego system trzeszczy w szwach?

– Takich nierówności i niekonsekwencji, jak zróżnicowanie wieku kobiet i mężczyzn, jest więcej. Rolnicy praktycznie w ogóle nie płacą składek, a otrzymują z KRUS świadczenia odpowiadające blisko 1/3 średniej emerytury – to jest prezent od innych podatników. Przedsiębiorcom z kolei składki emerytalne są liczone od kwot bazowych zależnych od wynagrodzenia minimalnego. Jeżeli dobrowolnie nie będą płacić więcej lub oszczędzać, otrzymają bardzo niską emeryturę.

Górnicy, choć płacą składki na ogólnych zasadach, to dostają znacznie wyższe od innych świadczenia, bo są one subsydiowane przez państwo. Mogą też przechodzić wcześniej na emeryturę. Podobnie służby mundurowe. U nich emerytura zależy od ostatniego wynagrodzenia. Jeżeli dwaj żołnierze będą mieć taką samą karierę zawodową, ale jeden dostanie przed zakończeniem pracy awans, to będzie miał wyższe świadczenie. Ich stopa zastąpienia może sięgnąć – pod warunkiem dostatecznie długiej służby – nawet 75 proc. Sędziowie i prokuratorzy przechodzą w tzw. stan spoczynku, a ich świadczenie jest obli-

czane na podstawie ostatniej płacy. Generalnie mogą je otrzymać dopiero po osiągnięciu wieku emerytalnego, ale w wyjątkowych przypadkach jest inaczej. Mamy więc 40-letnich prokuratorów, którzy przestają pracować. To generuje taki system klientystyczny – prokurator generalny może mianować prokuratora krajowego i de facto w ten sposób stworzyć sobie klienta, który po zakończeniu służby może przejść w stan spoczynku niezależnie od wieku i czekać na moment, kiedy będzie mógł znowu zostać prokuratorem krajowym. To już jest wykorzystywane przez polityków.

W systemie emerytalnym jest pokaźna dziura. ZUS prognozował, że żeby ją zasypać, potrzeba będzie w najbliższych latach co roku kwot równych 1,5-3 pkt proc. PKB. Ale nie uwzględnił uprzywilejowanych grup, o których pan mówi.



**JEŚLI NIC NIE ZMIENIMY,
TO OKOŁO 2030 ROKU
STOSUNEK ŚREDNIEJ
EMERYTURY DO PENSJI
SPADNIE PONIŻEJ
40 PROC.,
A W PRZYPADKU KOBIEC
NAWET DO 30 PROC.**



– ZUS ma lukę, bo więcej wydaje na emerytury, niż dostaje składki. Gdyby dodać do tego wydatki na specjalne świadczenia, to brakuje nawet 5 proc. PKB. To jest bardzo dużo, nawet 130 mld zł – więcej, niż wydajemy na zdrowie, edukację czy inwestycje publiczne. Czyli niezreformowane emerytury powodują gorszą służbę zdrowia, niedopłacanych nauczycieli, słabszą naukę czy wciąż niesatysfakcjonującą infrastrukturę kolejową.

Pana fundacja WiseEuropa przygotowała propozycję reformy systemu emerytalnego.

– Uznaliśmy, że obecny system jest tak rozgrzebany i niekonsekwentny, że trzeba go uporządkować i uprościć, by był zrozumiały dla ludzi i na tyle elastyczny, by nie odbierał im możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę. Zaproponowaliśmy zastąpienie obecnych trzech filarów dwoma. Państwo, czyli ZUS, zarządzałyby systemem emerytur. Do niego należałoby wszyscy na takich samych zasadach – zlikwidowalibyśmy więc przywileje: rolnicze, górnicze, mundurowe, sędziowsko-prokuratorskie oraz nieproporcjonalne składki dla przedsiębiorców. Ten filar gwarantowałby wypłatę świadczeń przez średnio 200 miesięcy. To oznacza, według obecnych statystyk, że wiek przejścia na emeryturę wyniósłby 65 lat dla kobiet i mężczyzn. W kolejnych latach rósłby lub spadał ze zmianami długości życia.

A jeśli górnik, żołnierz lub ktokolwiek inny będzie chciał przejść wcześniej na emeryturę?

– Będzie mógł to zrobić dzięki drugiemu filarowi opartemu na emeryturach kapitałowych, tu udział byłby dobrowolny.

Jeśli ktokolwiek chciałby przejść na emeryturę wcześniej niż w systemie powszechnym, to musiałby zebrać odpowiedni kapitał. Jeśli pomyśli o tym w wieku 20-25 lat, to wystarczy wpłacać na PPK lub IKE zaledwie 3-5 proc. wynagrodzenia miesięcznie, by mu starczyło na wcześniejszą o pięć lat emeryturę ze stopą zastąpienia 50 proc. Jeżeli ktoś obudziłby się dzisiaj, mając 40 czy 50 lat, z myślą o wcześniejszej emeryturze, to musiałby odkładać kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt procent dochodu dodatkowo.

Państwo odpowiadałoby więc w nowym systemie za naszą pewność, że w wieku podeszłym będziemy mieli godne świadczenia. Natomiast my jako wolne jednostki moglibyśmy sobie zapewnić możliwość przejścia wcześniejszego na emeryturę albo zgromadzenia dodatkowej poduszki finansowej na starość.

Jaka byłaby stopa zastąpienia w tym systemie?

– W części powszechnej sięgałaby 50 proc., gdyby ludzie przechodzili na emeryturę w wieku 65 lat. I większa, gdyby przechodzili później. Dodatkowe oszczędności w systemie kapitałowym – zależnie

REKLAMA

**specjalnie
dla czytelników Onetu
wyjątkowe opowiadanie**

Szczepana Twardocha



**zeskanuj QR kod
telefonem i czytaj**



od ich skali i okresu oszczędzania – umożliwiłyby osiągnięcie takiej stopy w wieku 60 lat, ale także elastyczne emerytowanie, np. pracę na pół etatu po 60. roku życia. Reforma zbilansowałaby cały system emerytalny w perspektywie 2050-2060 roku.

Podział na dwa filary jest uzasadniony tym, że państwo dobrze sobie radzi z ryzykiem inflacji i jest w stanie indeksować emerytury zgodnie ze wzrostem cen. Czyli nawet jak ktoś będzie żył 40 lat na emeryturze, to ona będzie zawsze chroniona przed inflacją, a nawet wzrostem płac realnych – państwo może to zapewnić bez problemu. Firmy prywatne nie są w stanie tego zrobić.

System kapitałowy jest za to dużo lepiej przystosowany do tego, żeby oszczędzać na wcześniejszą emeryturę bądź na poduszkę finansową, którą możemy przeznaczyć na zakup domu na wsi lub podarować dzieciom mieszkanie albo cokolwiek, co zechcemy – emeryci zyskaliby dzięki temu wolność finansową, której dziś nie mają.

Zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn i uzależnienie go od demografii, likwidacja przywilejów, co zdenerwuje sporą grupę wyborców. Która z partii mogłaby wprowadzić taki program w życie?

– Naszym zdaniem tak ułożona reforma daje szansę części stronnictw politycznych na odrobienie strat wizerunkowych z przeszłości.

W powszechnym odbiorze PO odpowiada za zabranie ludziom oszczędności z OFE, co nie jest prawdą, ale ludzie tak to odbierają.

– My proponujemy przekazanie zgromadzonego tam kapitału na Indywidualne Konto Emerytalne, dając ludziom możliwość ich jednorazowej wypłaty po osiągnięciu 60. roku życia. Zarazem proponujemy, by za przejście na emeryturę w wieku 67 lat dać premię wyliczoną na podstawie środków zgromadzonych w OFE. To przejściowy koszt reformy, ale wart zapłacenia za szybkie zrównanie wieku emerytalnego. PO mogłaby więc powiedzieć ludziom, że dostaną to, co zgromadzili w OFE, niejako do ręki i to bez podatku. Co więcej, jeżeli wstrzymają się z przejściem na emeryturę, to – obok tego kapitału – dostaną dużą premię do emerytury wieczystej.

Jakie mogą być alternatywne koszty niewykonania tej reformy?

– Stopniowe gnicie systemu. On ma strukturę przypominającą pluszowego misia, któremu ciągle coś się pruje, więc przyszyjemy mu kolejną łatę, robiąc z niego coraz większego potworka. A to w sensie makroekonomicznym stwarza rosnące zagrożenie koniecznością podnoszenia podatków lub rezygnacji z coraz większej części wydatków rozwojowych. Co już z resztą widać. Na przykład wydatki na edukację od 2015 roku spadły o ponad pół procent PKB. Sfinansowanie tych przywilejów wymaga czegoś jeszcze, o czym większość Polaków nie wie, a co zaczął już robić obecny rząd – sprowadzenia bardzo licznej grupy nowych podatników, którzy nie urodzili się w Polsce.

Ilu trzeba imigrantów, by politycy nie musieli reformować obecnego systemu?

– Szacujemy, że system z dużą liczbą przywilejów i niskim wiekiem emerytalnym, a zarazem dający coraz większą liczbę dyskrecyjnych dodatków, będzie nas w przyszłości kosztował nawet 15 proc. PKB. To bardzo dużo. Żeby go sfinansować, trzeba będzie ciągle sprowadzać nowych pracujących z zagranicy. Już teraz oficjalnie 7 proc. pracujących to obcokrajowcy, a w skali płacących składki w ZUS to nawet 9-10 proc. lub ok. 1 mln 100 tys. osób. Ta grupa będzie musiała bardzo szybko rosnąć, bo muszą być nowi podatnicy, by finansować dziurawy system emerytalny. To ukryty koszt emerytur, którego Polacy nie widzą, ale rząd dobrze go rozumie – po cichutku, od 2015 r. zapraszając kilkaset tysięcy nowych podatników rocznie.

Zmierzamy w kierunku modelu zastosowanego przez Niemcy.

– Tak robi też Francja i inne państwa rozwinięte i jak one zmienimy się w kraj bardzo silnie imigrancki. Nie można utrzymać rozbudowanego państwa dobrobytu w przypadku starzenia się ludności i niskiej stopy urodzeń bez imigracji. Można to jedynie ograniczać i odkładać na później – jednym ze sposobów jest właśnie podniesienie i zrównanie wieku emerytalnego oraz likwidacja przywilejów. Innym są znacznie wyższe podatki. Jeżeli się tego nie zrobi, to w 2050 roku co trzeci pracujący będzie obcokrajowcem.

Są partie, którym to będzie przeszkadzać.

– To wszystkim będzie przeszkadzać, bo szybka absorpcja dużej grupy cudzoziemców z różnych stron świata wcale nie jest łatwa. Problemy występują w Kanadzie, USA, Australii, czyli w krajach, które są mocno imigranckie z zasady i to właściwie od początku swojego istnienia.

Powstają napięcia na tle ekonomicznym, bo duży napływ imigrantów podbija ceny nieruchomości, do tego dochodzą kwestie kulturowe, bo nie wszystkie kraje równie dobrze integrują przybyszów. A my przecież nie prowadzimy

razie żadnej świadomej polityki integracyjnej. Ktokolwiek chce u nas pracować i płacić podatki, żeby utrzymać nasz system emerytalny, ten dostanie możliwość pobytu. I nie są to tylko Ukraińcy, których udział wśród imigrantów szybko spada. Na przykład już prawie sto tysięcy imigrantów pochodzi z krajów azjatyckich. Społeczeństwo jeszcze się nie skonfrontowało z nową rzeczywistością, zwłaszcza że samego zjawiska nie widać na prowincji, a politycy starają się o nim nie mówić. Możemy mieć w Polsce napięcia, które znamy z Francji, Danii, z USA czy z Wielkiej Brytanii, gdzie jedną z konsekwencji dużej imigracji był brexit.

Trzeba więc mówić, że przynajmniej połowa tego napływu wynika z tego, jak politycy za naszą zgodą zdeorganizowali system emerytalny. **N**

konrad.sadurski@newsweek.pl



EKSPANSJA OSHEE

Na tropie trendów

Najpierw biznesowej szansy szukali w napojach izotonicznych dla aktywnych sportowo. **Po 15 latach w ofercie Oshee jest już prawie wszystko co modne i zdrowe**

TEKST MIŁOSZ WĘGLEWSKI

W ostatnim, rozegranym 19 marca ligowym El Clásico, jak nazywa się mecze Barcelony z Realem Madryt, górą była „Duma Katalonii”, ale dla dwóch kibiców z Krakowa, Dariusza Gałęziewskiego i Dominika Dolińskiego, dużo większym przeżyciem niż sam mecz była skromna ceremonia ogłoszenia kontraktu między LaLiga Santander a należąca do Polaków firma Oshee.

DRZWI NA ŚWIAT

EFEKTEM TEJ WSPÓŁPRACY BĘDĄ NOWE NAPOJE izotoniczne z logo hiszpańskiej ekstraklasy oraz wizerunkami jej gwiazd, więc zapewne i Roberta Lewan-

dowskiego. Kwota kontraktu nie jest znana, ale branżowi eksperci mówią o milionach euro. – Nawiązanie współpracy z ligą, której rozgrywki docierają do ponad 2,5 miliarda ludzi w prawie 180 krajach, to odpowiedni kierunek w dalszym rozwoju marki Oshee – twierdzi Tadeusz Czarniecki, dyrektor marketingu spółki.

Ale to niejedyny ostatnio promocyjny superdeal w globalnej ofensywie krakowskiej spółki. Z początkiem roku kontrakt z Oshee zawarła Iga Świątek.

21-letnia liderka światowego rankingu tenisistek pojawi w reklamach i kampaniach marketingowych firmy na całym świecie. I rzecz jasna na izotonikach oraz napojach witaminowych Oshee,

które Świątek i jej sztab będą pili przez najbliższe dwa lata podczas wszystkich treningów i turniejów. – To dopiero początek. Planujemy też linię moich własnych produktów, więc stay tuned – zapowiadała tenisistka w mediach społecznościowych.

Pierwsze autorskie produkty sygnowane jej nazwiskiem mają się pojawić w polskich sklepach już w najbliższych tygodniach. A cała ich linia, która powinna być gotowa do lata, będzie już sprzedawana na wszystkich kontynentach.

W biznesowej strategii Dolińskiego i Gałęziewskiego to nic nowego. Na globalną dystrybucję nastawiali się już wtedy, gdy firma raczkowała. Od dekady eksport rośnie po 20-30 proc. rocznie.

ROZWÓD

NIE MOŻNA POWIEDZIEĆ, że 15 lat temu ruszali ze swym biznesem od zera. Know-how zdobywali przez lata pracy u Wiesława Włodarskiego. Jednego z pionierów prywatnego biznesu spożywczego, który już w PRL założył znaną głównie z deserów firmę Gellwe, a w pierwszych latach XXI wieku wszedł w segment napojów energetycznych. Jej sztandarowy w tamtych latach produkt Tiger Energy Drink (owoc współpracy z bokserem Dariuszem Michalczewskim, zakończonej później procesami sądowymi i przeniesieniem praw do marki Tiger do Maspeksu), zdetronizował na polskim rynku Red Bulla.

Gałęzowski i Doliński zaczęli pracować u Włodarskiego jako dwudziestoparolatkowie, jeszcze przed erą energetyków. I mieli niebagatelny udział w ewolucji jego firmy, szybko awansując na wysokie stanowiska menedżerskie. Pierwszy został dyrektorem handlowym, drugi odpowiadał za marketing. Stali się więc prawą i lewą ręką Włodarskiego, mając trudny do przecenienia udział w sukcesach jego firmy.

Do czasu. O ich odejściu w 2008 r. krąży legenda. W tej najbardziej barwnej Włodarski miał im wręczyć na odchodne koce z jasną sugestią, że po fiasku własnego biznesu wylądują pod mostem. Wśród znających ówczesną sytuację w firmie ludzi z branży dominuje opinia, że drogi Dolińskiego i Gałęzowskiego oraz Włodarskiego musiały się rozejść z powodu widocznej od lat determinacji do przejścia na swoje, ale też twardego charakteru szefa firmy.

Jako 32-latkowie uruchomili Oshee. Skąd ta obco brzmiąca nazwa? To akronim słów opportunities, sport, health, energy i emotion, komunikujących głównie przesłania firmy i jej produktów.

WIĘCEJ I TANIEJ

W 2008 ROKU OSHEE STARTOWAŁO TYLKO Z NAPOJAMI IZOTONICZNYMI. Izotoniki to nie to samo co energetyki. Te drugie, wciąż popularniejsze na rynku, to małe bomby kaloryczne, z pokąsną zawartością glukozy i sacharozy, uzupełnione minerałami i witaminami. Przede wszystkim jednak, dzięki sporej dawce tauryny i kofeiny, mają pobu-

dzać i wzmacniać koncentrację. Dlatego ich głównym adresatem byli kierowcy w długiej trasie, przygotowujący się do egzaminów studenci, ale też osoby aktywne fizycznie.

Napoje izotoniczne mają chronić przed odwodnieniem, co robią znacznie skuteczniej niż woda. A także dostarczyć węglowodanów i uzupełnić elektrolity w trakcie joggingu, pływania czy siłowni i po nich.

Dlaczego Gałęzowski z Dolińskim zaczęli biznes właśnie od nich? Najprostszym wytłumaczeniem byłby paroletni zakaz konkurencji w zakresie energetyków po rozstaniu z Włodarskim,

**Świątek, Lewandowski,
reprezentacja Polski,
Liverpool, Real
– z grubsza połowę
ceny każdego napoju
Oshee stanowią koszty
marketingu.
Ale zwracają się
z nawiązką**

który napojów izotonicznych nie miał wtedy w ofercie. Obaj jednak twierdzą, że właśnie w izotonikach dostrzegli rynkową niszę o bardzo dużym potencjale. – W tym czasie nie było żadnych lokalnych producentów tych napojów, a przewidywaliśmy, że Polacy będą coraz bardziej aktywni i wraz ze zmianą stylu życia pojawi się zapotrzebowanie na takie produkty – wspominał Gałęzowski w rozmowie z „Forbesem”.

Polacy wydawali wtedy na izotoniki ok. 100 mln zł rocznie, kilka razy mniej niż na energetyki. Ale z roku na rok o 20-30 proc. więcej. A konkurencja już była ostra – ze szwajcarskim Isostarem, Gatorade od PepsiCo, a przede wszystkim Powerade od koncernu Coca-Cola, który miał niemal połowę udziału w tym rynku.

Starcie z nimi było sporym ryzykiem. Tyle że Doliński i Gałęzowski nowicjuszami nie byli – mieli za sobą zwycięską potyczkę Tigera z Red Bullem. Wiedzieli, że recepta na sukces może być tylko jedna – dobra jakość napoju, konkurencyjna cena i skuteczny marketing.

Tak pojawił się pierwszy izotonik Oshee w bidonie o większej o połowę pojemności (0,75 l) niż w rywali, za to tańszy o złotówkę. Dla nielicznych jeszcze fanów „dowodniania” po wysiłku były to argumenty nie do zbitcia.

I szybko okazało się, że nowy, lokalny producent może wygrywać z globalnymi potentatami. Także dzięki niebanalnej promocji. Jesienią 2010 r. głośno było o billboardzie reklamującym izotonik Oshee hasłem „Ożyj i zwyciężaj”, który zawisł na hotelu vis-à-vis Wawelu, tam gdzie wcześniej wisiała reklama „zimnego Lecha” Kompanii Piwowarskiej.

W tymże roku Oshee miało ponad 30 mln zł przychodu, kilka milionów złotych zysku i prawie 1/4 udziału w rynku izotoników, jeszcze sporo za Powerade. Ale trzy lata później było już w szybko rosnącej niszycy graczem nr 1.

MARKA PONAD WSZYSTKO

KONSEKWENCJA I DETERMINACJA TO MOCNE STRONY krakowskich biznesmenów, od 2012 r. już zresztą trzech, bo współnikiem stał się Mariusz Salata, właściciel kilku restauracji. Pod wypromowaną przez izotoniki marką Oshee zaczęli wprowadzać na rynek kolejne napoje – wody z witaminami, w tym specjalną serię Style Water dla kobiet, witaminowe shoty w minipuszkach i lekko gazowaną Energy Col, z magnezem i witaminami. Wreszcie herbaty mrożone, mające konkurować z Nestea i Lipton Ice Tea.

A potem także inne specyfiki, jak batony witaminowe na bazie płatków owsianych, jogurty z probiotykami czy cukierki z witaminami. – W społeczeństwie, w którym rośnie świadomość żywieniowa, właśnie takie produkty będą zdobywały popularność – przekonywał Gałęzowski. Potwierdzała to rosnąca w dwucyfrowym tempie sprzedaż, już po kilku latach przekraczająca 100 mln zł rocznie.

A gdy tylko skończył się zakaz konkurencji w energetykach, biznesmeni weszli w ten segment z serią Oshee Vitamin Energy. Kolejna odsłona walki z byłym pracodawcą? Poniekąd, choć to Włodarski rzucił im wcześniej rękawicę, uruchamiając produkcję izotoników 4Move i zdobywając nimi ponad 10 proc. rynku. Doliński i Gałęzewski zarzucili mu używanie łudząco podobnych do Oshee pojemników, a także określenia „vitamin shot”, które uważali za swój znak towarowy. Sprawy w sądach ciągnęły się latami, ze zmiennym dla obu stron powodzeniem, dodając smaczku rynkowej batalii byłych partnerów.

Tym, co najbardziej różniło ich model biznesowy, była produkcja. Włodarski od początku stawiał na własną (ma zakłady w Niepołomicach i Zabierzowie), oni stornili od tego niemal przez dekadę, zlecając wytwarzanie swych produktów innym firmom. – Dzięki temu, że nie mamy własnej produkcji, nie musimy dostosowywać nowych pomysłów do możliwości parku maszynowego i jesteśmy elastyczni. My tylko przygotowujemy koncepcje produktów i dzięki temu w maksymalny sposób wykorzystujemy najsilniejsze strony naszej firmy, jakimi są sprzedaż i marketing – wyjaśniał Gałęzewski.

Budowa i promocja marki Oshee to ich główny oręż w walce o rynek. Od początku skupiali się na dużych, jak na skalę swej działalności, akcjach marketingowych. W pierwszej, adresowanej do osób o sportowym zacięciu, twarzami firmy byli m.in. Dariusz Michalczewski, Marcin Gortat czy Mamed Khalidow.

Na kolejne, w latach 2012-2015, tym bardziej nie żałowali pieniędzy, wchodząc na coraz wyższą półkę marketingową. Były to kontrakty sponsorskie z czołowymi klubami Europy – Liverpoolem i Realem Madryt – dające prawo do wykorzystywania wizerunków piłkarzy, w tym grającego w obu tych klubach Jerzego Dudka, na etykietach napojów i w reklamach. Potem były umowy z Borussia Dortmund, z rodzimą Ekstraklasą oraz piłkarską reprezentacją Polski, z Polskim Związkiem Lekkiej Atletyki czy wreszcie z Robertem Lewandowskim, dla którego stworzono specjalną linię izotoników RL9 Pro by Oshee, promowaną przez niego na

Oferta grupy Oshee, dostępna też w uruchomionym kilka lat temu sklepie internetowym, to już grubo ponad 80 produktów

wet w Chinach. Ale biznesmeni marketingu nie ograniczają się do sportu. W 2021 r. zaczęli kooperację z czołowym producentem gier komputerowych CD Projekt Red. Jej efekty widać na billboardach, w klipach reklamowych i na etykietach napojów czy batonów Oshee, promowanych przez Geralt i inne postaci z kultowej wśród graczy sagi „Wiedźmin”.

Firmę kosztuje to wszystko krocie, można być pewnym, że z grubsza połowę ceny każdego ich napoju stanowią koszty marketingu. Ale zwracają się z nawiązką. Każda z tych akcji przynosiła skokowy wzrost sprzedaży i coraz szerzej otwierała Oshee na świat.

FRONTEM DO AKTYWNYCH

KRAKOWSKA FIRMA WCIĄŻ KOJARZY SIĘ Z IZOTONIKAMI i napojami witaminowymi, mając tu z grubsza połowę udziału w rynku, ale od kilku lat steruje w stronę grupy spożywczej nastawionej na produkty dla osób aktywnych i starających się prowadzić zdrowy styl życia.

Do tego potrzebne były jednak większe pieniądze niż te, które zarabiali krakowscy wspólnicy. Ponad cztery lata temu udało im się jednak pozyskać mocnego inwestora – fundusz Innova Capital, który kupuje udziały w spółkach z naszego regionu Europy, takich choćby jak Empik, Wirtualna Polska, PolCard czy Bakalland. Z jego wsparciem Gałęzewski-Doliński-Salata rozpoczęli nową ofensywę, tym razem obliczoną na przejęcie firm z branży spożywczej, pasujących do prozdrowotnego profilu grupy. Stawiając tym samym już nie

tylko na marketing i dystrybucję swych produktów, ale też ich produkcję.

Na pierwszy ogień poszedł znany producent wód mineralnych z wyższej półki, Kinga Pienińska, z dużą wytwórnią w Krościenku nad Dunajcem. Przejmując ją, przedsiębiorcy weszli na potężny, wart ponad 5 mld zł rocznie rynek wody butelkowanej, na którym od lat rządzą Żywiec Zdrój od Danone i Cisowianka z Nałęczowa (łącznie ok. 50 proc. udziału), a do czterech innych producentów należy kolejne 30 proc. Biznesmeni z Krakowa i tu mają ambitne plany. – W ciągu kilku lat chcemy być w pierwszej piątce wód mineralnych w Polsce – zapowiadał Gałęzewski, ale przed nimi jeszcze długa droga.

Otwarcie drzwi na kolejny rynek – zdrowej żywności – było okazyjne przejęcie niemieckiego producenta Sonko. Pod tą marką sprzedają wafle ryżowe, płatki śniadaniowe, miksy warzywno-owocowe i wiele innych przekąsek.

Ostatnim jak na razie punktem ich ekspansji jest spółka Yamly, w której dwa lata temu połączyli siły z funduszem Black Forest, należącym do jednego z najbogatszych Polaków, Michała Sołowowa. Szykują się do rozkręcenia produkcji i dystrybucji gotowych dań na bazie roślinnej, wegetariańskich i wegańskich.

Są więc konsekwentni, stawiają na to, co zdrowe i modne. Stale wzbogacają też o tego typu produkty swój segment napojów, z energetykami Combu na bazie zyskującej popularność kombuchy, czy herbatami Natural Tea, bez cukru i konserwantów.

Oferta grupy Oshee, dostępna też w uruchomionym kilka lat temu sklepie internetowym, to już grubo ponad 80 produktów. Rośnie też ich eksport – trafiają do ponad 50 krajów, w tym niemal wszystkich w Europie, choć lwią część wciąż kupują rodzimi konsumenci. Łączne obroty zbliżają się do 500 mln zł.

To wciąż mniej niż FoodCare Włodarskiego, gdzie sięgają 800 mln zł, ale dystans z roku na rok maleje. I trudno wątpić, że wyprzedzenie byłego pracodawcy jest punktem honoru 47-latków z Krakowa. **N**

milosz.weglewski@newsweek.pl

Pieski świat

Kość dla psa może być elektroniczna, a smycz – na wodę



STEROWANA KOŚĆ

Uciekająca zabawka w kształcie kości pozwoli psu się wyszaleć. Reaguje na ruch psa, można nią sterować także ze smartfona.

Cena 366 zł

www.mediaexpert.pl/dom-i-ogrod/artykuly-dla-zwierzat/zabawki-dla-zwierzat/zabawka-doggy-village-smart-bone-mt7109



SKAKOŁYKI NA ODLEGŁOŚĆ

Chcesz zdalnie zaopiekować się psem? Spraw jemu (i sobie) nowoczesny dystrybutor przysmaków wyposażony w kamerę i głośnik oraz mikrofon. Pies podchodzi do urządzenia zwbiony naszym głosem i na odległość możemy wydzielić mu przysmak. Zadowolony pysk pokaże nam kamera HD.

Cena 219 dol.

<https://petcube.com/bites-2/>

AUTOMAT DO RZUCANIA PIŁEK

Nuży was rzucanie piłki? Macie problemy z nadążaniem za swoim pupilem? Automat do rzucania piłek rozwiąże te problemy. Wystarczy wrzucić kilka piłek do pojemnika, a potem za pomocą pilota uruchamiać ich wyrzucanie.

Cena 159 dol.

www.amazon.com/go-dog-go-fetch-machine/dp/B016203MYS/



OBROŻA Z GPS

To nie jest najtańsza obroża z lokalizatorem, za to pozwala śledzić pupila niemal wszędzie. Bateria w obroży działa do 80 godzin, sam nadajnik GPS jest wodoszczelny (do 10 m). Lokalizator odczyta sygnał z obroży nawet z odległości 14 km. Zestaw nadaje się też do tresury psa za pomocą sygnałów dźwiękowych i wibracji.

Cena 5,5 tys. zł

www.eazymut.pl/seria-alpha/4172-alpha-200i-k-obroza-kt-15x-010-02230-55010-02755-85plto-oem.html

WODA POD RĘKĄ

Zziębnięty pies na spacerze szuka wody w kałużach. Przejrzysty właściciel zabiera ze sobą wodę w butelce i składaną miskę. Albo specjalną smycz, która w ręczce ma ukryty pojemnik z wodą i składaną miskę. Na dodatek może służyć też jako spryskiwacz, żeby schłodzić zwierzę.

Cena 29,9 dol.

<https://spleash.com/>

ZDROWY Newsweek

POLSKA



**Dlaczego
tak trudno
żyć zdrowo**

**Zaopiekuj się
sobą**

**Sen lekiem
dla mózgu**

**ZDROWY
STYL ŻYCIA,
czyli jak zmotywować się
do działania**

NEWSWEEK:

Niby wszyscy wiemy, co to znaczy zdrowy tryb życia. Nauka udowodniła, że papierosy, alkohol, brak ruchu skracają nam życie. Dlaczego mnożymy wymówki, żeby nie stosować tych zaleceń?

EWA JARCZEWSKA-GERC:

Przekonanie, że ludzie sobie szkodzą z powodu braku wiedzy, jest naiwnością społeczną. Już w latach 70. XX wieku ówczesny kanadyjski minister zdrowia Marc Lalonde opublikował raport, w którym wykazał, że własne codzienne zachowania i wybory w 55 proc. odpowiadają za nasze zdrowie, jakość i długość życia.

Dzisiaj mówi się nawet o 70 proc. A ludzie wciąż chętniej jedzą parówki zamiast marchewki i siedzą przed komputerem, zamiast pobiegać.

Z czego to wynika?

– Z punktu widzenia psychologii wytłumaczenie jest bardzo proste – wynika to z przepaści motywacyjnej między pragnieniem wyniku a wysiłkiem, jaki trzeba włożyć w proces jego osiągnięcia. Ciepłymi uczuciami obdarzamy wyobrażenie, jak będziemy zdrowi, szczupli, długowieczni... Chłodnymi natomiast działania, które mają do tego doprowadzić. I ten rozjazd powoduje negatywne emocje. Weźmy zmianę nawyków żywieniowych. Wizja dobrego samopoczucia po lekkiej diecie jest bardzo przyjemna, ale od razu wyobrażamy sobie, że to wiąże się z odmawianiem sobie różnych

ZDROWY STYL ŻYCIA

Żeby chciało nam się chcieć

Nie wystarczy powiedzieć: chcę żyć bardziej zdrowo, bo to zbyt ogólne. Trzeba postawić sobie bardziej konkretne zadanie – radzi dr Ewa Jarczewska-Gerc, psycholożka społeczna, i wyjaśnia, na czym to polega

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK



FOT. EVELINA ZAJĄC

przyjemności, pogodzeniem się z wyrzeczeniami, wysiłkiem i wytrwałością. A wytrwałość nie polega na mierzeniu się z błahostkami, ale z momentami, kiedy robimy coś, pomimo że nam się nie chce, bo z tyłu głowy mamy przekonanie, że na końcu tej drogi będzie bardzo przyjemnie.

Jak z tego wybrnąć?

– Wielu ludzi za bardzo przywiązuje się do efektu, który chcą osiągnąć, zamiast skupić się na drodze do niego. Badania z zakresu psychologii motywacji pokazują, że ludzie, którzy nastawiają się na proces, osiągają dużo więcej niż ci, którzy myślą tylko o wyniku. Dla tych drugich droga jest po prostu bardzo frustrująca, a frustracja rodzi kryzys, agresję wobec siebie, innych i celu, który się obrało. Zaczyna on nas denerwować, bo jest nieprzyjemny, a przecież słyszymy wokół: zrób sobie przyjemność, jesteś tego warta czy warty. Więc takie osoby zastanawiają się: dlaczego skazuję się na tortury? I rezygnują, nie czekając na gratyfikację, która przychodzi po dłuższym czasie, ale też jest bardziej trwała.

No dobrze, wiem, że to banalne pytanie, ale jak zmniejszyć tę przepaść między wynikiem a działaniem?

– Po pierwsze, warto wyznaczyć realistyczny i konkretny cel. Nie wystarczy powiedzieć: chcę żyć bardziej zdrowo, bo to zbyt ogólne, abstrakcyjne i na pewno nic się nie zmieni w życiu takiej osoby. Trzeba postawić sobie precyzyjniejsze zadanie, np. chcę pić dwa litry wody w ciągu dnia, odstawić napoje słodzone i gazowane, jeść więcej warzyw. Ale to też warto skonkretyzować, WHO rekomenduje pięć porcji dziennie, a jedna to ilość mieszcząca się w dłoni. Jedząc miskę sałatki, na którą składają się różne warzywa, możemy właściwie wypełnić swój dzienny plan.

Jeżeli chcemy podjąć aktywność fizyczną, to też warto narzucić częstotliwość, np. zaczynam od dwóch dni w tygodniu. Radzę przyjrzeć się, jak wygląda kalendarz na cały tydzień i wybrać dni, w których wygospodarujemy czas na ćwiczenia bez poczucia, że to nasz kolejny obowiązek. Wyznaczymy sobie konkretne dni i w miarę możliwości godzinę, np. przychodzę do domu z pracy o 17, więc od 18 jestem już wolna, mogę pobiegać, iść na siłownię, rower.

Ale mówiąc o zdrowym stylu życia, musimy powiedzieć o śnie. Sen jest tak ważny dla człowieka jak dla auta wizyta na stacji benzynowej. Daje nam energię, reguluje procesy metaboliczne, robi nam porządki w głowie. Warto zadbać o nocny odpoczynek, tak zaplanować wieczór, by był wyciszający, a nie pobudzający. Stworzyć pewne rytuały, które nam ułatwią zasypianie: muzyka relaksacyjna, wietrzenie pokoju, odstawienie urządzeń elektronicznych.

Jak ważne jest pytanie, po co to robię?

– Kluczowe. Istnieje wiele poziomów motywacji, ale możemy podzielić motywy na wewnętrzne – wiążące się z tym, że samo działanie jest dla nas źródłem pozytywnych emocji

lub dzięki działaniu mam poczucie, że realizujemy ważne dla nas wartości – oraz zewnętrzne, oparte na nagrodach, często obcych dla naszego wyjściowego celu, lub karach, np. strachu, co się stanie, jeśli czegoś nie zrobię. Najskuteczniejsza z punktu widzenia zmiany stylu życia jest ta pierwsza motywacja. Jeśli naszym motorem jest chęć dobrego wyglądu w sukience jako świadkowa na ślubie, to jest to bardzo kruchy motyw. Jeżeli nawet uda się osiągnąć zmianę, bo takie sytuacje też się zdarzają, to szybko po tym ślubie wycofamy się i wrócimy do starych nawyków. Ważne, by zacząć od odpowiedzi na pytanie: po co chcę zmienić swój tryb życia? Często ludzie myślą: bo tak trzeba, taka moda. To kiepski powód. Jeśli chodzi o zdrowy styl życia, to najbardziej trwałym motywem jest chęć życia w zdrowiu, bycie niezależnym od innych.

Czyli warto zacząć od celu i zaplanowania drogi do niego. Rozumiem, że nie warto wyznaczać sobie zbyt dużej zmiany na początek?

Sen jest tak ważny dla człowieka jak dla auta wizyta na stacji benzynowej

– Są osoby, które żeby coś zmienić, potrzebują całkowicie rozbić strukturę zwyczajów, czyli wrzucić granat w swoje życie. Natomiast dla większości lepiej działa metoda mniejszych kroków. Myślę, że zaczęłabym właśnie od aktywności fizycznej, bo ona dość szybko przynosi odczuwalne efekty. Aktywność ruchowa jest kluczowa nie tylko z powodu spalania kalorii, zapobiegania otyłości, ale przede wszystkim, kiedy zaczynamy się ruszać, w naszym mózgu zaczyna wydzielać się białko, które jest czynnikiem neurotroficznym i stymuluje rozwój nowych komórek mózgu.

Przez długi czas uważano, że układ nerwowy jest jedynym układem, który się nie regeneruje, czyli że kiedy tracimy część komórek, co jest naturalnym procesem, to jest to nieodwracalny proces. W tej chwili wiemy, że mózg ma zdolność regeneracji poprzez wytwarzanie nowych komórek z komórek macierzystych, które znajdują się w pewnych regionach mózgu, np. w hipokampie. Po osiągnięciu dojrzałości mózgu, czyli po około 25. roku życia, możemy znacząco wpływać na proces neurogenezy, czyli podejmować działania, które ją stymulują lub hamują. Co pomaga? No właśnie aktywność fizyczna. Dobrze poka-

zały to badania na zwierzętach. Chomiki, które spędzały dużo czasu w kołowrotku, szybciej się uczyły, miały mniej symptomów depresyjnych od tych, które nie miały okazji do ruchu. Zresztą dzięki metodom obrazowania mózgu możemy dosłownie obserwować proces „zagęszczania się” pewnych obszarów mózgu pod wpływem aktywności fizycznej.

Musimy dojść do używek: rezygnacja całkowita czy zminimalizowanie?

– Jako praktyk znam osoby, które zrezygnowały z nich i są bardzo szczęśliwe, mówią o uldze, poczuciu wolności, kiedy nie są im już potrzebne. To zależy, co rozumiemy pod pojęciem używki. Na przykład kawa, którą uwielbiam i piję, według badań jest używką. Doświadczenia pokazało, że pająki po zażyciu kofeiny budują równie chaotyczne sieci pajęczęce jak po amfetaminie. Alkohol jest neurotoksyną, zabija nasze komórki nerwowe. Ale nie będę namawiać do abstynencji. Radzę: usiądź i się zastanów. Nie wszystkie zmiany musimy wdrażać radykalnie. Uważam, że codzienne picie lampki wina jest niepokojące. Ale raz w tygodniu, jeżeli ktoś ma ochotę, to dlaczego nie. Czasem narzucamy sobie cel, który jest po prostu dla nas nierealistyczny, a my w ogóle nie czujemy wewnętrznie potrzeby, żeby go realizować.

A jak sobie poradzić z porażką? Chcę coś zmienić, staram się, ale w końcu wracam do starych nawyków?

– Warto przyjąć, że porażka jest czymś naturalnym. Warto traktować porażkę jako moment, w którym można się czegoś nauczyć o sobie, zastanowić, dlaczego mi nie wyszło. Nie udało się ćwiczyć fizycznie dwa razy w tygodniu? To pomyśl, co może ci w tym pomóc, może źle dobrałeś dni, godziny albo rodzaj aktywności?

Wielokrotnie obiecywałem sobie, że będę jadł mniej mięsa i jem go naprawdę w minimalnych ilościach.

Ale mam słabość do golonki. Jak jestem w podróży, w przydrożnym zajeździe, to sobie pozwalam na coś takiego i za każdym razem mam poczucie porażki i wyrzuty sumienia.

– Pan sobie pozwala na tzw. cheat day, oszukany dzień, kiedy jemy mniej zdrowo i nie ma powodu rozpatrywać tego jako porażki. Gdyby pan jadł codziennie wieczorem takie danie, tobyśmy inaczej rozmawiali. Ale w ten sposób od czasu do czasu wynagradza pan swoją wytrwałość, robi sobie przyjemność. Warto dać sobie prawo do sporadycznego spożycia ważnego dla nas produktu, całkowita rezygnacja nie jest niczym dobrym (chyba że mówimy np. o narkotykach). Lepiej pracować nad ograniczeniem.

Czy we wprowadzaniu zdrowego stylu życia warto mieć towarzystwo?

– W grupie łatwiej, często to wsparcie polega tylko na tym, że razem się zmiierzamy w dobrym kierunku. Dlatego lu-

Zdrowy styl życia

dzie łączą siły, jeżdżą razem na rowerze, spacerują... Mój 15-letni syn postanowił ostatnio chodzić na siłownię. Myślałam, że to będzie słomiany zapał, ale okazało się, że chodzi tam z kolegami i wszyscy razem się pilnują, motywują. Grupa może też demobilizować, mówić: po co ci sport, świetnie wyglądasz... Komuś może być bardzo nie na rękę, że partner się zmienia, idzie zdrowszą drogą, bo na jego tle wypada się gorzej. Wtedy taka osoba będzie robić wszystko, żeby aktywnego partnera zdołować, udowodnić, że jego starania nie mają sensu, to się nie uda. Wtedy mówimy o relacji toksycznej.

Zdarzają się sytuacje, że ktoś w mediach społecznościowych opisuje swoją historię przemiany, sukcesy na polu zdrowego trybu życia.

Czy media społecznościowe to dobry punkt odniesienia do takiej zmiany?

– Wiem, że wiele osób zainspirowało się przykładami ludzi, którzy publicznie pokazali swoją zmianę. Doceniam to, choć widzę też wiele niebezpieczeństw. Jestem entuzjastką i promotorką zdrowego stylu życia, ale przeciwniczką ortodoksji w tym wymiarze. A właśnie w mediach

społecznościowych dość często głos zabierają osoby, które są bardzo radykalne w swoim podejściu. To im pozwala zdobyć internetową popularność, ale jest pułapką w codziennym życiu. Ortodoksyjne podejścia, wyzwania, rezygnacja z jakichś elementów diety albo mordercze trzymanie się planów treningowych pierze głowy młodym ludziom. Z tego biorą się później różne problemy z zaburzeniami odżywiania. Absolutnie przestrzegam np. przed restrykcyjnym podejściem do diety. Nasze życie nie powinno zostać zdominowane przez obsesyjne myśli dotyczące zdrowego stylu życia. W nim też jest potrzebny zdrowy rozsądek. Oczywiście, musimy przyjrzeć się sobie, postawić cele, ale nie stawajmy się ich niewolnikami. Pamiętajmy, że to my tworzymy pewne nawyki. Nie można ciągle trzymać bata nad sobą, bo z tego się później biorą różne zaburzenia i o tym też trzeba mówić. •

EWA JARCZEWSKA GERC jest psychologiem społecznym, trenerem biznesu, pracuje na Uniwersytecie SWPS

REKLAMA

Liponerv[®]
SUPLEMENT DIETY

Odżywia i chroni

Zauważasz u siebie
**spadek koncentracji
i pogorszenie pamięci?**

Sięgnij po Liponerv[®], który zawiera
wielonasycone kwasy omega-3 (DHA, EPA)
w połączeniu z kwasem alfa-liponowym
oraz dodatkiem witamin z grupy B.

**Nie czekaj na pogłębienie
problemów, zacznij działać już dzisiaj!**

Liponerv[®] kapsułki 30 sztuk, dostępny w aptece.



Więcej na:
www.liponerv.pl

Qpharma





ZDROWY STYL ŻYCIA

Jak zaopiekować się sobą

Nauczyliśmy się rozmawiać o depresji, zaburzeniach lękowych i kryzysach psychicznych. Jednak ciągle wiemy niewiele o tym, jak można im zapobiegać

TEKST KATARZYNA KOPER

Zamiast marzyć o życiu bez stresów i kryzysów, które są naturalną częścią życia, warto skupić się na budowaniu dobrostanu psychicznego. Posiąć zestaw umiejętności życiowych, które pozwolą przejść przez trudne sytuacje bez utraty równowagi i poczucia bezpieczeństwa. – Chodzi o elastyczność, odporność psychiczną, umiejętność doświadczania dyskomfortu, wiarę, że jesteśmy w stanie przetrwać trudne chwile, otwartość na nowe doświadczenia, zarówno dobre, jak i trudne, umiejętność zatroszczenia się o siebie czy samowspółczucia, umiejętność komunikacji, aktywnego słuchania czy proszenia o pomoc – wymienia psycholog, pedagog specjalny i psychoterapeutka Paulina Danielak, która – jak mówi o sobie – uczy ludzi żyć w zgodzie z samym sobą. – To nie są umiejętności, z którymi się rodzimy. Musimy je w sobie zbudować i szlifować każdego dnia – dodaje psycholożka.

Uważność, czyli jak być tu i teraz

JEDNĄ Z UMIEJĘTNOŚCI, którą powinniśmy w sobie wypracować, jest uważność, czyli zdolność skupienia się na tym, czego obecnie doświadczamy. Nie powinniśmy rozpamiętywać negatywnych doświadczeń z przeszłości ani zamartwiać się tym, co nas czeka w przyszłości. Warto mieć świadomość, że w obu przypadkach wzrasta napięcie i wydzielane są hormony stresu. Ciągłe przeżywanie porażek z przeszłości czy próba przewidzenia, co może się zdarzyć w przyszłości, odciąża nas od tego, co jest obecnie. Powoduje, że nie zauważamy swoich potrzeb, unikamy nowych doświadczeń czy kontaktów społecznych.

Gdy mamy skłonność do nadmiernego analizowania, warto wykorzystać mindfulness, czyli trening uważności, który pomaga odkleić się od natrętnych myśli. W pokonywaniu rozmaitych lęków pomocny może okazać się także trening ekspozycji behawioralnej pod opieką doświadczanego terapeuty. Polega on na świadomym i planowanym wystawianiu się na dyskomfort i oswojaniu lęku, jaki odczuwamy. Dzięki niemu mamy szansę nauczyć się np. asertywności, otworzyć się na budowanie relacji z innymi czy pokonać lęk przed wystąpieniami publicznymi.

Uciszyć wewnętrznego krytyka

CZĘSTO ŹRÓDŁEM NAJBARDZIEJ DOTKLIWEJ KRYTYKI wcale nie są inni ludzie, ale my sami. Myślimy o sobie źle i wmawiamy sobie, że to inni źle nas oceniają. Często takie przekonania wnosimy z rodzinnego domu, gdzie rodzice byli np. perfekcjonistami i tego samego wymagali od dzieci. Dziecko, któremu stawiano wygórowane wymagania, które krytykowano i od którego żądano, aby w każdej dziedzinie było najlepsze, w dorosłym życiu będzie robić wszystko, by nie zawieść oczekiwań innych – pracodawcy, współpracowników czy partnera, i w ten sposób unikać

Femarelle®

Niekończąca się kobiecość.

Lekkość. Aktywność. Witalność.

Linia produktów Femarelle®

Femarelle® Rejuvenate

Dla kobiet przed nadchodzącą menopauzą (PERIMENOPAUZA)

Suplement diety wspomagający poprawę nastroju, kondycji skóry i włosów oraz zmniejszenie zmęczenia przeznaczony dla kobiet w okresie przed menopauzą¹



Lekkość

Femarelle® Recharge

Dla kobiet w okresie menopauzy (MENOPAUZA)

Suplement diety wspomagający redukcję objawów spowodowanych obniżeniem się stężenia estrogenu przeznaczony dla kobiet w okresie menopauzy²



Aktywność

Femarelle® Unstoppable

Dla kobiet po menopauzie (POSTMENOPAUZA)

Suplement diety wspomagający prawidłowe funkcjonowanie układu kostnego, łagodzenie suchości pochwy i lepszą jakość życia kobiet w okresie po menopauzie³



Witalność

Zalecane spożycie: 1 kapsułka dwa razy dziennie (rano i wieczorem); można przyjmować z posiłkiem lub bez¹⁻³.

1. Ulotka informacyjna Femarelle® Rejuvenate. 2. Ulotka informacyjna Femarelle® Recharge. 3. Ulotka informacyjna Femarelle® Unstoppable.

PL_008860. Data przygotowania: listopad 2022



Rekomendacja
Polskiego Towarzystwa
Menopauzy i Andropauzy



www.femarelle.pl

SUPLEMENT DIETY

Zdrowy styl życia

dyskomfortu związanego z negatywną oceną. – W życiu nie da się wszystkiego zrobić idealnie, dlatego warto skupić się na priorytetach i cieszyć się robieniem rzeczy wystarczająco dobrze. Warto codziennie ćwiczyć życzliwość, nieoceniającą postawę wobec siebie. Dać sobie prawo do popełniania błędów. Dzięki temu możemy wyciągnąć wnioski z naszych działań i dokonywać zmian – mówi Paulina Danielak.

W obliczu życiowych trudności czy porażek zamiast sobie dokładać presji, mówiąc: „znowu mi się nie udało, jestem nieudacznikiem”, warto potraktować siebie z życzliwością podobną do tej, z jaką traktujemy najbliższych. – Czy powiesz swojemu ukochanemu dziecku, które płacze, bo obito sobie kolano, że jest nieudacznikiem? Raczej je przytulisz i pocieszysz – uważa psycholożka. Tak samo potraktuj siebie, gdy masz w życiu gorszy czas. Samowspółczucie to zupełnie coś innego niż użalanie się nad sobą.

Sygnaly ostrzegawcze

WIĘKSZOŚĆ LUDZI BARDZO TRAFNIE ZAUWAŻA, że w ich życiu dzieje się coś niepokojącego, ale mają tendencję do

co czuję, co się ze mną dzieje, czego potrzebuję? Czy jest to zmęczenie fizyczne wywołane ogromem obowiązków? Czy nadmierne napięcie psychiczne związane z jakąś sytuacją życiową? – Tym, którzy mówią, że nie mają czasu na takie analizy, polecam, aby zrobili sobie tygodniowy plan aktywności, godzina po godzinie, i poszukali w nim momentów, kiedy mogą o siebie zadbać i naprawdę odpocząć – mówi Paulina Danielak.

Chodzi o taki rodzaj odpoczynku, podczas którego uaktywnia się przywspółczulna część układu nerwowego. Kiedy możemy spokojnie usiąść w fotelu lub wygodnie się położyć i niczego od siebie nie oczekiwać. Trwać w pozycji rozluźnienia, a nie działania. To jest właśnie wypoczynek, który wspiera akceptację i wrażliwość na swoje potrzeby, zrozumienie dla samego siebie i otwarty kontakt z innymi. To jest też dobry moment, by zapytać samego siebie, co jest dla mnie w życiu ważne, co sprawia, że czuję, że żyję.

– Prostym sposobem na poprawienie wglądu w siebie jest codzienne zapisywanie własnych myśli – mówi Paulina Danielak. Gdy w notatkach pojawia się wyraźnie wię-

Często źródłem najbardziej dotkliwej krytyki wcale nie są inni ludzie, ale my sami. Myślmy o sobie źle i wmawiamy sobie, że to inni źle nas oceniają

„tuszowania” tych ważnych odczuć różnymi przekonaniem i schematami. Mówią sobie: „to przez złą pogodę, niskie ciśnienie, przesilenie wiosenne”. Ale takie objawy jak przewlekłe zmęczenie, zalew natrętnych myśli, problemy ze snem, poczucie większego napięcia w ciele, utrata libido, ospałość, problemy gastryczne, obniżony lub wzmożony apetyt, problemy w relacjach, obniżenie energii i motywacji do działania, utrata zainteresowania tym, co dotychczas było źródłem radości, to sygnaly ostrzegawcze, które mogą świadczyć o tym, że nasze zasoby psychiczne są na wyczerpaniu.

Jednak większość z nas zamiast zareagować, zamyka oczy i udaje, że wszystko jest OK. Próba negocjowania objawów lub walczenia z nimi zwykle je nasila. – Możemy długo zaklinać rzeczywistość, ale w pewnym momencie ciało powie: dość! – ostrzega psycholożka. Pojawiają się choroby, np. depresja, zaburzenia lękowe, choroba wrzodowa żołądka, zaburzenia rytmu serca czy choroby o podłożu autoimmunologicznym, takie jak łuszczyca czy choroba Hashimoto.

Gdy dostrzeżemy w życiu niepokojące zmiany, warto się zatrzymać i spróbować odpowiedzieć sobie na kilka pytań:

cej pesymizmu, niepewności, autokrytyki, to znak, że nasza równowaga jest zagrożona. W takich trudniejszych momentach warto uruchomić tryb samopomocy. Dobrze mieć wtedy pod ręką przygotowaną wcześniej listę rzeczy czy czynności, które w naszym przypadku skutecznie redukują napięcie nerwowe. To może być sport, czytanie, żeglowanie, taniec, sadzenie kwiatków, relaksująca kąpiel, seans w saunie czy dzierganie na drutach, słuchanie ulubionej muzyki albo rozmowa z kimś bliskim.

Jeśli mimo prób dbania o siebie objawy gorszej kondycji psychicznej utrzymują się albo wręcz zaostrzają, warto skonsultować się z psychologiem, psychoterapeutą lub psychiatrą. Nie czekać, aż nie będziemy w stanie np. wstać z łóżka czy chodzić do pracy. – Odczuwanie dużego napięcia czy smutku, silny lęk, ataki paniki, negatywne myśli na swój temat, utrata zainteresowania, niechęć do kontaktów społecznych czy dolegliwości bólowe, których somatycznej przyczyny nie potwierdzają badania diagnostyczne, są sygnałem, aby zgłosić się po pomoc do specjalisty – uczuła Paulina Danielak. Im wcześniej to zrobimy, tym lepiej. •



Clevebe®

en./kliv:bi/

Innowacyjny produkt do pielęgnacji stóp zaprojektowany przez doświadczonego konstruktora i produkowany w Polsce



Produkt marki Clevebe służy do złuszczenia skóry stóp. Peeling wykonuje się na stojąco, bez użycia rąk! Produkt należy umieścić w wannie lub pod prysznicem, a następnie docisnąć jedną stopą do podłoża, podczas gdy druga wykonuje pocierające ruchy na obszarze ściernym. W tym samym czasie można myć głowę, czekać, aż odżywka się wchłonie, śpiewać i jednocześnie wykonywać ruchy peelingujące. Produkt został tak zaprojektowany, aby ergonomicznie pasował do stopy.

Część ścierna ma 3 obszary:

1. Dolny – płaski, do wykonywania szybkich ruchów.
2. Środkowy – wklęsły, do zaokrąglonych obszarów stopy–pięty.
3. Górny – wypukły, do delikatnych ruchów. Co więcej, wielu klientów twierdzi, że wypukła część produktu pomaga masować stopę na tej samej zasadzie co wałek do masażu.

Nasza firma dba o środowisko. Nie chcemy wspierać nadmiernej produkcji plastiku, dlatego elementy ścierne są wymienne, dzięki czemu nie wyrzucamy całego produktu po zużyciu, a jedynie kupujemy wymienne inserty. Co więcej, dzięki takiemu rozwiązaniu możemy higienicznie i łatwo współdzielić produkt z bliskimi.

Elementy ścierne zawierają naturalny korund kosmetyczny. Jest to bezpieczny, naturalny składnik stosowany w zabiegach mikrodermabrazji twarzy. Dzięki zastosowaniu korundu nasz produkt otrzymał atest Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego. Jest to certyfikat potwierdzający bezpieczeństwo produktu w kontakcie ze skórą. Kształt naszego produktu został nagrodzony przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego logotypem finalisty konkursu Dobry Wzór.

Sprzedaż produktu rozpoczęła się w styczniu 2023 roku, a Clevebe dotarł już do naszych klientów z Polski, Niemiec, Francji, Szwajcarii i Anglii.

Opakowanie zawiera:
produkt, 3 wymienne elementy ścierne oraz haczyk

Po więcej szczegółów zapraszamy na naszą stronę internetową: www.clevebe.pl

**Promocyjny zestaw z kodem Clevebe25
-25% (59,25zł)**





ZDROWY STYL ŻYCIA

Mózg potrzebuje snu

Sen z powiek spędzają
nam codzienne problemy,
poczucie ogólnego niepokoju,
kłopoty finansowe czy
hałas z zewnątrz, ale także
nieumiejętność odpoczywania

TEKST KALINA GIERBLIŃSKA
EDYTA HETMANOWSKA

Sen to potrzeba zakodowana ewolucyjnie – jest niezbędny do regeneracji sił fizycznych, dlatego osoby zmęczone, ciężko pracujące, zasypiają szybciej. Ale sen spełnia jeszcze jedną niezwykle ważną funkcję. Człowiek nie biega zbyt szybko, ma słabe szpony, lecz posiada umiejętność myślenia i wyprzedzania faktów. Nasze przetrwanie jest uzależnione od pracy mózgu.

W trakcie snu mózg porządkuje fakty, które zostały zapisane w pamięci w ciągu całego dnia. Archiwizuje wszystkie te informacje, żeby nie było bałaganu i żeby w razie potrzeby można z nich było skorzystać. Po ciężkim psychicznie dniu sen jest najlepszym lekarstwem.

Nie każdy z nas potrzebuje go tyle samo. Uważa się, że prawidłowy sen powinien trwać od 6 do 9 godzin. Kłopoty pojawiają się, kiedy długotrwałe zaburzenia snu odbijają się na naszym zdrowiu. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła epidemię niedoboru snu w krajach uprzemysłowionych. Z badań wynika, że tylko 22 proc. Europejczyków przesypia całą noc. W Polsce blisko połowa z nas (47 proc.) deklaruje problemy ze snem.

Jeśli nie dosypiamy, pojawia się permanentne zmęczenie, jesteśmy rozdrażnieni, podatni na zakażenia. Niedobór snu zwiększa ryzyko nadciśnienia, sprzyja chorobom układu krążenia, w tym zawałom, i chorobom psychicznym. Do tej listy możemy dopisać też nadwagę, depresję, nowotwory. Problemy ze snem osłabiają refleks, koncentrację, wpływają na pamięć i powodują spadek funkcji kognitywnych.

Jądro snu

ZA REGULOWANIE RYTMU SNU odpowiadają jądra nadskrzyżowaniowe, które znajdują się w mózgu. – Uznaje się, że jest to zegar centralny. Każdy układ fizjologiczny, każda tkanka, nawet każda komórka ma swój własny zegar bio-

logiczny i wszystkie te zegary „patrz” na zegar nadskrzyżowaniowy, który steruje całym organizmem – wyjaśnia prof. Adam Wichniak, psychiatra, neurofizjolog kliniczny z Ośrodka Medycyny Snu Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

Jeżeli zegar biologiczny jest rozregulowany, to poza pogorszeniem jakości snu dochodzi także do nieregularnego wydzielania hormonów, zaburzeń metabolizmu i pojawia się duże ryzyko tycia. Praca jąder nadskrzyżowaniowych wpływa także na układ współczulny regulujący czynności autonomiczne, czyli pracę serca, przewodu pokarmowego i wszystkich innych organów, które w nocy powinny zwolnić.

Kolejna ważna funkcja jąder nadskrzyżowaniowych to komunikowanie się z szyszynką, która wydziela melatoninę. – Melatonina jest hormonem ciemności, który wysyła do organizmu informację, że teraz jest noc i powinniśmy spać – tłumaczy prof. Wichniak. Przeciwnieństwem melatoniny jest światło. Do jądra nadskrzyżowaniowego dociera ono specjalnym połączeniem nerwowym, które jest ewolucyjnie stworzone tylko po to, żeby sterować rytmem snu i innymi rytмами okołodobowymi. Światło aktywuje melanopsynę, znajdującą się w komórkach zwojowych siatkówki. – Komórki te nie uczestniczą w procesie widzenia, a jedynie w procesach sterowania rytmem snu. Można być osobą niewidomą i jeżeli siatkówka nie jest całkowicie uszkodzona i zachowane są komórki zwojowe, to informacja ta będzie do mózgu przekazywana – dodaje prof. Wichniak.

Higiena snu

SKORO SEN JEST TAK WAŻNY, trzeba zadbać o to, by dobrze spać. Podstawą jest materac, który należy dobrać do wagi i postury. Ważne jest miejsce, w którym stoi łóżko

FOT. 123RF

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 18.04 - 02.07.2023r.

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

58270089

Zdrowy styl życia

– dobrze postawić je przy ścianie. W pomieszczeniu, w którym śpimy, warto wybrać barwy chłodne, stonowane, bez elementów kontrastowych. Przed snem nie należy jeść obfitych posiłków, pić mocnej kawy czy herbaty lub innych napojów pobudzających ani oglądać telewizji i korzystać z komputera. Ekran emitują niebieskie światło, które utrudnia zasypianie.

– Dopóki ludzie żyli zgodnie z rytmem dnia i nocy, to ich rytm okołodobowy synchronizował się do rytmu doby przez rytm światła, ale od kiedy dzień spędzają w pomieszczeniach zamkniętych, a wieczorem mają dużo światła, to jądro nadskrzyżowaniowe jest zdezorientowane – mówi prof. Wichniak. Otrzymuje błędne informacje ze środowiska zewnętrznego, ponieważ natężenie światła nie odzwierciedla naturalnego rytmu dnia i nocy. Powoduje to, że zegar biologiczny u większości ludzi jest bardzo osłabiony. – Co trzeci Europejczyk ma okresy bezsenności w ciągu roku, to wynika m.in. właśnie z tego, że większość dorosłych ma obecnie znacznie słabszy rytm snu w porównaniu do tego, co działo się jeszcze sto lat temu, kiedy większość osób pracowała w ciągu dnia na zewnątrz – dodaje prof. Wichniak.

Niedobór snu zwiększa ryzyko nadwagi, nadciśnienia, zawału, depresji, nowotworów

Co jeszcze można zrobić, by lepiej spać? Pomieszczenie, w którym śpimy, powinno być przewietrzone i powinno być w nim chłodniej niż w pokoju dziennym. Okna dobrze jest zasłonić gęstymi zasłonami, bo światło hamuje wydzielanie melatoniny. Z tego powodu wydłuża się okres zasypiania i pogarsza jakość snu. Zasypianiu sprzyja też kładzenie się o stałych porach.

Lewe ucho a jakość snu

MOŻEMY POPRAWIĆ JAKOŚĆ SNU, stymulując nerw błędny, który łączy mózg z narządami ciała i ma wpływ na nasze biologiczne i emocjonalne funkcjonowanie. – Oś podwzgórze-przysadka-nadnercza jest kluczowa w reakcjach na stres. Stymulując nerw błędny, możemy zredukować stres i kortyzol (hormon stresu), którego zbyt wysoki poziom nie pozwala nam spać – mówi dr Marta Jackowska, psycholożka z Uniwersytetu SWPS. Dlatego przed snem warto się wyciszyć – posłuchać muzyki, pójść na spacer. Bo kiedy na pół

godziny przed snem coś nas zdenerwuje, natychmiast mogą pojawić się problemy z zaśnięciem.

Drugi mechanizm w naszym organizmie, który wpływa na jakość snu, to autonomiczny system nerwowy. Składa się on z dwóch części: parasympatycznego i sympatycznego. Parasympatyczny układ nerwowy powinien dominować. I tak się dzieje, kiedy jesteśmy zrelaksowani oraz kiedy idziemy spać. Jeżeli jednak w tym czasie uaktywni się sympatyczny układ nerwowy, związany z pobudzeniem, lekkim stresem i ze zdenerwowaniem, to nie możemy zasnąć albo budzimy się w trakcie nocy, ponieważ sen jest płytki. Stymulacja nerwu błędnego pozwala obniżyć aktywność nerwu sympatycznego i wzmocnić nerw parasympatyczny. Stajemy się bardziej zrelaksowani i mniej pobudzeni. Zakończenia nerwu błędnego znajdują się w lewym uchu. Stymulacja przezskórna zakończenia nerwu błędnego przechodzi od ciała do mózgu, a stamtąd do dalszych jego części związanych z reakcjami na strach, emocje i stres.

Jak trenować zasypianie?

PIERWSZYM RATUNKIEM DLA OSÓB CIERPIĄCYCH NA BEZSENNOŚĆ powinna być psychoterapia poznawczo-behawioralna. U 70 proc. osób, które ją ukończą, jakość snu poprawia się znacząco. Efekty nie są jednak natychmiastowe, tak jak zażywanie leków nasennych, które mogą chwilowo pomóc, ale nie zapewnią biologicznej imitacji snu. – Bezsenności nie nabywamy przez dwa dni. Ona jest „wypracowywana” latami. Trzeba więc czasu, aby ten proces odwrócić. Taka terapia często zraża pacjentów, ponieważ wymaga od nich zmiany zachowania i sposobu myślenia o śnie – tłumaczy Marta Jackowska. Osoby, które są poddawane terapii behawioralno-poznawczej, dostają wytyczne m.in., jak nauczyć się rozpoznawać impuls do snu, kiedy mają wstać i co mogą robić w łóżku (spać i uprawiać seks), a czego w nim robić nie powinny.

Warto też wiedzieć, że jeden odespany weekend nie przywróci nam harmonii. Odzyskanie prawidłowego rytmu snu to długa praca. Noworodek, żeby nauczyć się rytmu dnia i nocy, potrzebuje roku. Człowiek dorosły, który już kiedyś miał silny rytm snu i go stracił, na pewno nie odzyska go w krótkim czasie. Najczęściej leczenie trwa trzy miesiące. – Dużą wagę zwracamy wtedy na właściwy rytm posiłków – duże śniadanie, średni obiad, mała kolacja; na wstawanie o tej samej porze, na przebywanie przynajmniej 60 minut na zewnątrz, na mierzenie się z trudnymi zadaniami w pracy przed południem i w ciągu dnia. Przed pójściem spać staramy się wyciszyć, zrobić podsumowanie dnia i zająć się już jedynie miłymi zadaniami – radzi prof. Wichniak. Trzeba tylko pamiętać, żeby w te miłe zadania nie wliczać oglądania Netflix i scrollowania Instagrama. •

Zadbaj o powietrze, którym oddychasz

Powietrze, którym oddychamy, ma wpływ na nasze samopoczucie i zdrowie. Warto zadbać o jego jakość – nie tylko oczyścić je z alergenów, pyłów czy wirusów, ale także odpowiednio nawilżyć.

Choć nie widzimy ich gołym okiem, w powietrzu krąży mnóstwo zanieczyszczeń. To m.in. pyły zawieszone, bakterie, wirusy, pyłki roślin, zarodniki pleśni, roztocza, sierść i kurz. Oddychanie powietrzem złej jakości powoduje zmęczenie, ból głowy, zaburzenia snu, problemy z koncentracją, nieżyty nosa. Coraz więcej osób cierpi też na alergię. Tę sezonową, związaną z pyleniem roślin, ale również całoroczną, której powodem są roztocza, kurz czy sierść. Dlatego warto zadbać o jakość powietrza, którym oddychamy. Oczyszczacz powietrza przyda się zwłaszcza wiosną, gdy nasilają się objawy alergii, ale sprawdzi się również przez cały rok – wesprze nas w walce z alergenami obecnymi w większości domów.

Jonizacja w alergenach

Jaki nawilżacz i oczyszczacz powietrza w jednym wybrać? Hitem są oczyszczacze powietrza SHARP Ultimate Air z innowacyjną technologią Plasmacluster, która dzięki jonizacji powietrza pozwala na wysoce efektywne pozbycie się wirusów, roztoczy, bakterii, alergenów, pyłków i pleśni. Jonizacja zapewnia też optymalny poziom wilgotności powietrza w mieszkaniu, co zapobiega wysuszeniu skóry i ułatwia oddychanie. Generowane jony są odpowiednikiem dodatnich i ujemnych jonów występujących w naturze. Dlatego niezależnie od ich nasycenia są bezpieczne dla ludzi i zwierząt. Po procesie oczysz-



czania powietrza jony zamieniają się w wodę i wracają do środowiska. Powietrze jest też skutecznie filtrowane. Filtr kurzu wychwytuje większe cząsteczki kurzu oraz innych zanieczyszczeń. Filtr HEPA usuwa blisko 100 proc. małych drobinek kurzu, dym papierosowy, pyłki oraz sierść. Filtr węglowy zaś pochłania zapachy.

Topową linię oczyszczaczy SHARP Ultimate Air tworzą serie UA-KIL oraz UA-KIN. Są wyposażone w najwydajniejszy generator jonów Plasmacluster Ion 25000, który usuwa zanieczyszczenia ponad trzy razy szybciej niż modele niższych serii. Pięciostopniowy system filtracji skutecznie redukuje smog, wirusy, alergeny, bakterie, przykre zapachy oraz pleśń. Urządzenia w sposób inteligentny dobierają parametry pracy, bazując na pomiarach pięciu czujników: temperatury, wil-

gotności, kurzu i PM2.5, zapachu oraz światła. Obie serie mają wydajny system nawilżania i wyróżniają się efektywnym wzornictwem. Dodatkowymi atutami oczyszczaczy tej marki są długa żywotność filtrów (aż do 10 lat) oraz cicha praca urządzeń. Na uwagę zasługuje również najnowszy model Sharp UA-KCP100E-W obsługiwany za pomocą aplikacji mobilnej. Urządzenie jest przeznaczone do dużych powierzchni (do 75 mkw.), dzięki czemu świetnie sprawdzi się zarówno w domu, jak i w biurze.

Czy jeden oczyszczacz w domu wystarczy? Optymalne rozwiązanie to jedno urządzenie w najważniejszych pomieszczeniach, takich jak salon, sypialnia, pokoje dzieci. W zależności od ich powierzchni warto dobrać odpowiednią moc urządzenia. ●

www.sharpconsumer.pl

NOWOCZESNE LECZENIE NOWOTWORÓW

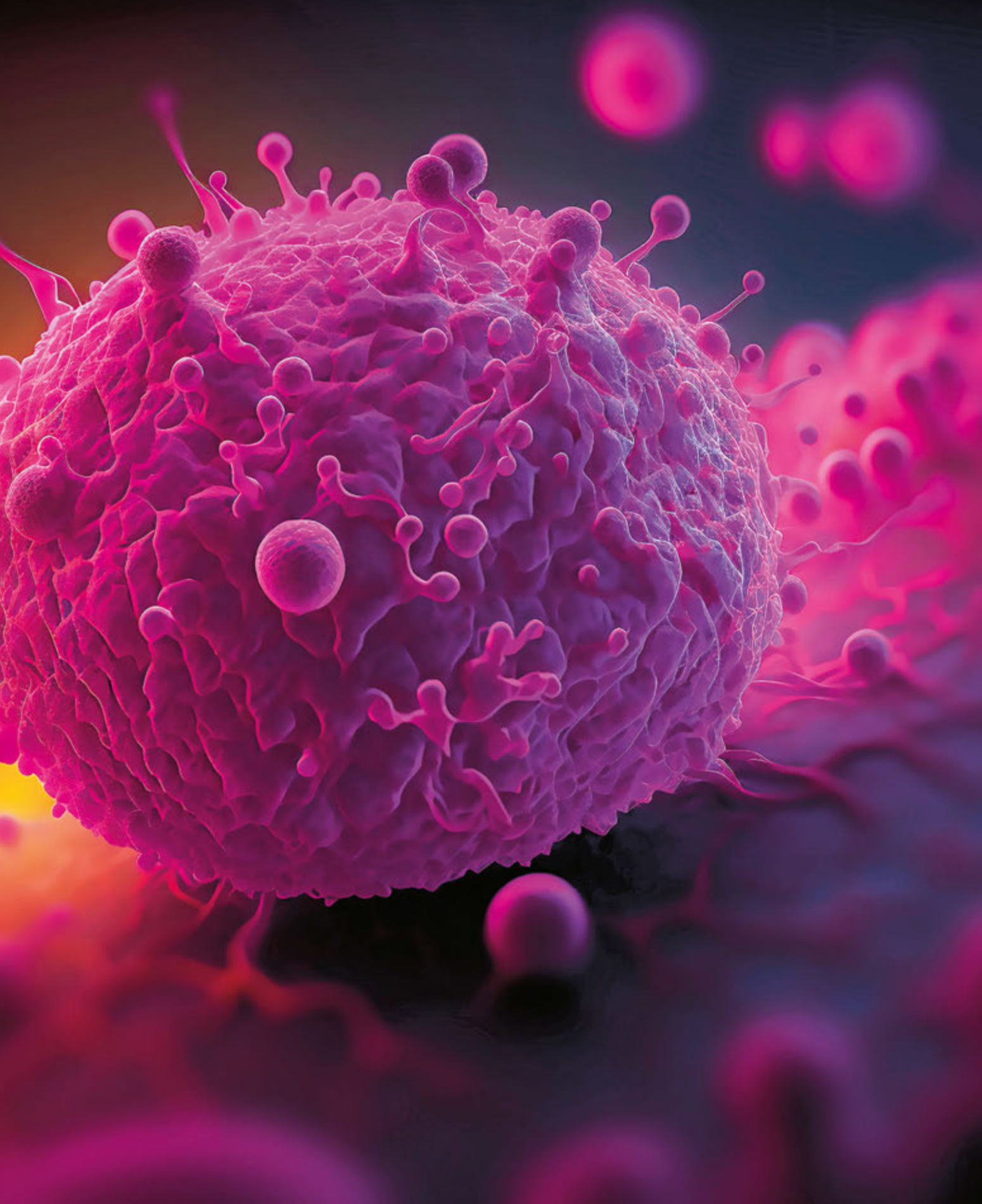
CELOWANIE W RAKA

Wciąż zbyt małej liczbie pacjentów z rakiem robimy badania genetyczne, a bez nich nie można zastosować nowoczesnych terapii. To jedna z przyczyn tego, że w Polsce umieralność z powodu nowotworów należy do najwyższych w UE

TEKST DOROTA ROMANOWSKA

Przyjechała do nas pacjentka z południa Polski. Dostała leczenie hormonalne, ale nikt nie zrobił jej badań genetycznych. Prawdopodobnie ma mutację w genie BRCA1. Powinna być zatem poddana chemioterapii – mówi prof. Jan Lubiński z Międzynarodowego Centrum Nowotworów Dziedzicznych Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Kobieta niepotrzebnie dostała leki, które na jej guza nie działają. – Nie wolno rozpoczynać leczenia pacjentek z rakiem piersi bez wykonania badania genetycznego – podkreśla prof. Lubiński.

Ta pacjentka nie jest wyjątkiem. Z informacji zebranych przez Fundację Alivia wynika, że gdyby wszystkim chorym z rakiem piersi wykonano badania genetyczne przed rozpoczęciem leczenia, to jedna trzecia z nich nie dostałaby chemioterapii. To dane ze Stanów Zjednoczonych. Nie wiadomo, ile kobiet w Polsce z tego powodu nie było prawidłowo leczonych. Tylko co szósta Polka z rakiem piersi ma wykonywane badanie genetyczne. Tak wynika z nieopublikowanego jeszcze raportu „Diagnostyka molekularna w leczeniu nowotworów”, który został opracowany przez ekspertów, m.in. prof. Piotra Rutkowskiego z Narodowego Instytutu



Onkologii w Warszawie oraz dr hab. Tomasza Kubiatawskiego z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, na podstawie danych NFZ z lat 2018-2022.

Nieco lepiej jest w przypadku kobiet z rakiem jajnika. Liczba badań genetycznych u tych pacjentek rośnie, ale wciąż jest ich za mało. Każdego roku nowotwór ten wykrywa się u 3,7 tys. kobiet, a wykonywanych jest tylko 1,7 tys. badań, wynika z omawianego raportu. Zgodnie ze standardami badania genetyczne powinna przejść każda nowo zdiagnozowana pacjentka z rakiem jajnika.

WYRZUCONE PIENIĄDZE

Z RAPORTU WYNIKA TEŻ, ŻE W CIĄGU SZEŚCIU LAT WYKONANO ZALEDWIE 147 TYS. BADAŃ GENETYCZNYCH. Bardzo mało, jeśli weźmie się pod uwagę, że rocznie nowotwór jest wykrywany u 160 tys. mieszkańców Polski, a badania molekularne powinny być wykonywane nie tylko u pacjentów z rakiem piersi i jajnika, lecz także płuca, jelita grubego, żołądka, prostaty, tarczycy, czerniakami i niektórymi nowotworami układu krwiotwórczego.

Na pytanie, dlaczego tak niewielu pacjentów onkologicznych ma zlecane badania genetyczne, prof. Lubiński odpowiada: – Brakuje wiedzy wśród lekarzy, bo na pewno nie jest to kwestia pieniędzy. Podstawowe badanie molekularne kosztuje 200-300 zł – dodaje prof. Lubiński.

NFZ finansuje testy genetyczne u chorych na nowotwory od 2017 r. W latach 2018-2022 wydawano na te badania średnio niewiele ponad 40 mln zł rocznie. Czyli tyle co nic, jeśli weźmie się pod uwagę, że roczny budżet NFZ na leczenie nowotworów wynosił od 9,6 mld zł w 2018 r. do 12 mld zł w 2022 r. – Powiedzieć, że w tej dziedzinie nie dzieje się dobrze, to nic nie powiedzieć – mówiła dr hab. Beata Jagielska, konsultant wojewódzki w dziedzinie onkologii klinicznej, podczas spotkania „Zdrowie Kobiety 2023” zorganizowanego przez Fundację im. dr. Macieja Hilgiera.

Dr Jagielska przypomina, że w 2016 r. powstała Polska Koalicja Medycyny Personalizowanej, która przedstawiła założenia projektu dotyczącego badań genetycznych. Z analizy finansowej, którą zawierał ten projekt, wynikało, że już w 2017 r. na badania genetyczne wydamy 50 mln zł. – Wydajemy więc mniej, niż zakładano kilka lat temu – mówi dr Jagielska i dodaje: – Brakuje zrozumienia wśród dyrektorów szpitali, że badania genetycznych to nie koszt szpitala, ale zysk, bo dzięki nim można leczyć pacjentów prawidłowo. Zła kwalifikacja chorego i zastosowane złe leczenie to wyrzucone pieniądze.

Już w 2008 r. dr Veena Shankaran z Northwestern University w Chicago obliczyła, że gdyby w USA wszystkim pacjentom z rakiem jelita grubego wykonano badania genetyczne na obecność mutacji genu KRAS, można by zaoszczędzić 604 mln dolarów rocznie. Okazuje się bowiem, że ponad 35 proc. guzów w jelicie

grubym ma mutacje KRAS, które nie reagują na dostępny wówczas lek celowany. Ci chorzy nie powinni zatem dostawać tego specyfiku. Powinni być nim leczeni jedynie pacjenci z prawidłowym genem KRAS.

WADLIWE MUTACJE

BADANIA GENETYCZNE SĄ POTRZEBNE, BO POZWALAJĄ USTALIĆ, z jakim rodzajem raka lekarze mają do czynienia. Nowotwory powstają bowiem w wyniku uszkodzenia materiału genetycznego w komórkach określonych tkanek lub narządów. Zdecydowana większość, bo około 90 proc. mutacji prowadzących do rozwoju raka tworzy się sporadycznie w trakcie życia pacjenta. Pozostałe 10 proc. to nowotwory dziedziczne – wadliwe geny predysponujące do rozwoju choroby są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Onkolodzy od lat namawiają, aby osoby, których bliscy – rodzice, dziadkowie, rodzeństwo – zachorowali na nowotwory w młodym wieku, skonsultowali się z lekarzem i poddali się

badaniom genetycznym. – Takie badania pozwolą sprawdzić, czy rzeczywiście dana osoba ma mutacje predysponujące do rozwoju nowotworu, a jeśli tak, to zaproponować jej zestaw badań, które pozwolą zapobiec powstaniu raka lub wykryć guza w początkowym stadium – mówi prof. Jan Lubiński z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Właśnie naukowiec z tej uczelni dr Cezary Cybulski z Zakładu Genetyki i Patomorfologii oraz Mohammad Akbari z uniwersytetu w Toronto odkryli w genie ATRIP mutacje, które zwiększają ryzyko raka piersi. Wyniki ich badań zostały opublikowane przed niespełna miesiącem w prestiżowym magazynie „American Journal of Human Genetics”.

Uczeni przebadali geny 16 tys. osób z rakiem piersi oraz 9 tys. zdrowych kobiet. Mutacja, którą wykryto u Polek, zwiększa ryzyko zachorowania na raka piersi ponaddwukrotnie, a zmiana typowa dla Brytyjek zwiększa to ryzyko ponadtrzykrotnie. Według szacunków w Polsce może być 25 tys. nosicieli mutacji genu ATRIP.

Jak zapewniają naukowcy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, jeszcze w tym roku w ramach badań diagnostycznych pacjentki będą mogły sprawdzić, czy są nosicielkami zmutowanego genu ATRIP. – Mamy nadzieję, że test ten zostanie dodany do testu wykrywającego kilkanaście mutacji w innych genach zwiększających ryzyko raka piersi, a do tych należą geny BRCA1, BRCA2, CHEK2, PALB2, NBN, RECQL – wymienia prof. Jan Lubiński.

W przypadku wykrycia zmutowanego genu ATRIP pacjentki będą miały zalecone badanie usg lub mammografię już od 35. roku życia. – A może będzie trzeba też u tych kobiet wykonać rezonans magnetyczny – mówi prof. Lubiński i dodaje: – Je-



LICZBA WYKONYWANYCH BADAŃ GENETYCZNYCH POWINNA ROSNAĆ, PONIEWAŻ PRZYBYWA LEKÓW CELOWANYCH

DR N. MED. ANDRZEJ TYSAROWSKI Z NARODOWEGO INSTYTUTU ONKOLOGICZNEGO W WARSZAWIE

śli zaś nosicielki tego wadliwego genu zachorują na raka piersi, być może będą odmiennie odpowiadać na leczenie chemioterapią. Mutacje w tym genie sprzyjają powstaniu bardzo złośliwego guza, który jest bardzo podobny do nowotworów rozwijających się u pacjentek z mutacją w genie BRCA1.

Zupełnie inaczej rzecz się ma np. z leczeniem kobiet, które są nosicielkami wadliwego genu CHEK2. – Te pacjentki powinno się leczyć zupełnie inaczej niż nosicielki genu BRCA1. Na pewno nie reagują one na chemioterapię. Powinny dostać leczenie hormonalne – tłumaczy prof. Lubiński. Wadliwe mutacje w genie CHEK2 ma w Polsce co dziesiąta kobieta z rakiem piersi.

NOWOCZESNE TERAPIE

KILKANAŚCIE LAT TEMU CHORZY Z RAKIEM powstałym w danym organie byli leczeni w ten sam sposób, a leki były podawane w oparciu o metodę prób i błędów. U jednych pacjentów terapia okazywała się skuteczna, u innych nie działała, a u jeszcze innych okazywała się szkodliwa. Teraz wiadomo, dlaczego tak się dzieje. Odkryto, że w genomie guza może dojść do różnego rodzaju uszkodzeń prowadzących do rozwoju nowotworu.

Wadliwe geny odpowiadają za wytwarzanie białek, które znajdują się na powierzchni komórek nowotworu albo w ich wnętrzu. Poznanie roli tych białek pozwoliło opracować leki, które się z nimi łączą i w ten sposób hamują rozwój komórek nowotworu. Powstała terapia uwarunkowana molekularnie, zwana celowaną. Pacjent jest leczony w zależności od zmian genetycznych w obrębie jego nowotworu. Leki celowane uderzają w konkretny cel, jakim jest zmutowane białko w komórce raka. Taka terapia jest bardzo precyzyjna, bo atakuje niemal wyłącznie komórki nowotworowe. Różni się zatem od chemioterapii, która uszkadza wszystkie dzielące się komórki w organizmie.

Z analizy przeprowadzonej w 2015 r. przez Tufts Center for the Study of Drug Development wynika, że trzy czwarte leków onkologicznych, nad którymi pracują firmy farmaceutyczne, należy do terapii personalizowanych. To oznacza, że coraz więcej nowotworów będzie niszczone za pomocą leków precyzyjnie dopasowanych do zachodzących w nich zmian genetycznych. – Zmiana genetyczna w danym nowotworze może mieć znaczenie w odpowiedzi na terapię – mówi dr hab. Tomasz Kubiowski z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie i dodaje, że nie u każdego pacjenta należy wykonywać badania genetyczne. – Jeśli wiemy, że dla danego nowotworu nie ma terapii nowoczesnej, celowanej, to nie ma sensu wykonywać badania genetycznego – wyjaśnia dr Kubiowski.

Czasem nie wystarczy wykonanie u pacjenta jednego badania genetycznego. Nowotwór cały czas się rozwija. Dochodzi do nowych uszkodzeń w materiale genetycznym, z powodu których komórki guza stają się odporne na zastosowane wcześniej leczenie i mogą nadal się dzielić. Ustalenie, jak zmienił się nowotwór,

pozwała dobrać kolejną terapię możliwie najbardziej skuteczną w danym momencie.

PRECYZYJNE LEKI

– LICZBA WYKONYWANYCH BADAŃ GENETYCZNYCH powinna rosnąć, ponieważ przybywa leków celowanych – mówi dr n. med. Andrzej Tysarowski z Pracowni Genetycznej Narodowego Instytutu Onkologicznego w Warszawie. W latach 2006-2014 liczba leków celowanych wzrosła z 13 do 113. Zastosowanie leczenia celowanego np. u pacjentek z rakiem piersi zmniejsza ryzyko zgonu o 30 proc. w porównaniu z wcześniej stosowanymi terapiami. Jednak chorzy na nowotwory w Polsce mieli dostęp do zaledwie 30 proc. leków objętych standardowym ubezpieczeniem zdrowotnym w UE oraz do mniej niż 50 proc. innowacyjnych terapii przeciwnowotworowych zarejestrowanych w Europie, wynika z raportu „Krajowe profile dotyczące nowotworów: Polska 2023” przygotowanego przez Komisję Europejską i OECD.

Bez wyniku badania genetycznego pacjent ma jeszcze mniejsze szanse na nowoczesne terapie. Nie powinno więc dziwić, że w Polsce umieralność z powodu chorób nowotworowych należy do najwyższych w Unii Europejskiej. Dotyczy to wszystkich nowotworów, z wyjątkiem białaczki u dzieci. W Polsce chorzy na raka mają mniejsze szanse na przeżycie niż średnio w UE mimo niższych niż w całej Unii współczynników zachorowalności na nowotwór, wynika z raportu Komisji Europejskiej i OECD.

Problemem w naszym kraju jest też to, że nie każdy szpital onkologiczny ma poradnię genetyczną. – Kiedy zaczął obowiązywać program lekowy w raku płuca, pacjenci jeździli po Polsce i szukali ośrodka, który wykona im badanie genetyczne, bo tylko na jego podstawie mogli mieć zastosowane nowoczesne leczenie – mówi Aleksandra Rudnicka ze Stowarzyszenia na rzecz Walki z Chorobami Nowotworowymi Sanitas.

W lutym 2022 r. Fundacja Rak – To się Leczy opublikowała raport na temat leczenia raka płuca w Polsce. Powstał on w oparciu o opinie 500 pacjentów, u których wykryto ten nowotwór w ostatnich latach. Z raportu wynika, że dostępność do terapii celowanych i immunoterapii zwiększyła się, ale wciąż wielu chorych nie otrzymuje leczenia zgodnego z aktualną wiedzą medyczną. A to dlatego, że nie przeprowadzono w nich kompleksowych badań genetycznych.

Okazuje się też, że nie wszystkie laboratoria wykonują prawidłowo testy genetyczne i prawidłowo je odczytują. Eksperti szacują, że w Polsce może nawet 70 proc. pacjentów z rakiem płuca nie dostało leków celowanych, choć leki te są u nas refundowane, a chorzy mieli mutacje, na które one działają. Badania genetyczne tych mutacji nie wykryły. **N**

Okazuje się też, że nie wszystkie laboratoria wykonują prawidłowo testy genetyczne i prawidłowo je odczytują. Eksperti szacują, że w Polsce może nawet 70 proc. pacjentów z rakiem płuca nie dostało leków celowanych, choć leki te są u nas refundowane, a chorzy mieli mutacje, na które one działają. Badania genetyczne tych mutacji nie wykryły. **N**

dorota.romanowska@newsweek.pl

BADANIA
GENETYCZNE
SĄ POTRZEBNE,
BO POZWALAJĄ
USTALIĆ, Z JAKIM
RODZAJEM RAKA
LEKARZE MAJĄ
DO CZYNienia





MŁODOCIANI KANIBALE

KALAMARNICE RAFOWE żyją w ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku oraz w Morzu Śródziemnym, do którego jako gatunek inwazyjny wpłynęły przez Kanał Sueski. Spotkać je można w pobliżu skał przybrzeżnych i raf koralowych. Samice składają jaja, które następnie są powlekane galaretowatymi substancjami. Powstają kapsułki, które są układane na skałach, koralowcach, roślinach wodnych. W każdej z nich znajduje się od dwóch do dziewięciu jaj. Po około trzech tygodniach z jaj wydostają się młode, które przypominają dorosłe osobniki w miniaturze. Umieją świetnie pływać i są kanibalami, ale – jak twierdzą naukowcy – zjadają tylko osłabione zwierzęta. Wraz z wiekiem głowonogi te stają się samotnikami. Dopiero w okresie godowym ponownie tworzą ławice. Dobierają się w pary i trzymają się razem przez kilka dni.

FOT. GABRIEL BARATHIEU/BIOS PHOTO/EAST NEWS

Pędzące po prerii

Przywiezione przez Europejczyków, przysposobione przez Indian, zdziczałe przed wiekami. Czy żyjące na wolności konie są dziś zagrożeniem dla amerykańskiej przyrody?

TEKST KATARZYNA BURDA

Potężny, pięknie umięśniony, w wielkich, brązowo-białych łatach i z powiewającą na wietrze grzywą mustang o imieniu Picasso był najprawdopodobniej najczęściej fotografowanym i filmowanym dzikim mustangiem Ameryki. Przeżył ponad 30 lat, przemierzając południowe krańce Wielkich Równin, jak niegdyś jego przodkowie, ale od dłuższego czasu nie widziano go w dolinie Sand Wash Basin w Kolorado.

Jednak dzikich koni wciąż są tysiące. W wielu miejscach zachodnich stanów USA i bezludnych przestrzeni południowo-zachodniej Kanady można natknąć się na stada mustangów, które stały się symbolem Ameryki na równi z Indianami, bizonami i wozami pionierów. Przez jednych podziwiane, przez innych uważane za uciążliwe szkodniki, wciąż są fascynującym przedmiotem badań dla naukowców. Nowe odkrycia pokazują, jak i kiedy mustangi rozprzestrzeniły się na całym kontynencie.

WIELKA UCIECZKA

ZGODNIE Z DANymi HISTORYCZNYMI WSZYSTKIE WSPÓŁCZESNE KONIE żyjące na wolności w Ameryce Północnej są potomkami koni przywiezionych na ten kontynent przez Europejczyków. Najpierw hiszpańskich konkwistadorów do Ameryki Środkowej, potem Anglików czy Francuzów na wschodnie wybrzeże kontynentu. W 1493 roku na pokładach statków Krzysztofa Kolumba pierwsze konie i osły przybiły do wybrzeży Kuby, a ćwierć wieku później, w 1519 roku, Hernán Cortés przywiózł



Czy tak było rzeczywiście, sprawdził prof. William Taylor z Laboratorium Archeozoologii University of Colorado w Boulder wraz z 80-osobowym zespołem naukowców. Badali oni genetycznie szczątki koni z tamtej epoki, oznaczyli dokładnie ich wiek za pomocą datowania radiowęglowego i badań izotopowych, ale te twarde naukowe dane połączyli też z przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie wiedzą potomków rdzennych ludów amerykańskich, która już wcześniej nie do końca zgadzała się z zapiskami kolonizatorów. Współautorami i konsultantami badania byli eksperci pochodzący z ludów Pueblo, Paunisów, Komanczów i Lakotów. Jego wyniki opublikował periodyk „Science”.

TO NASZE KONIE

– **NASZE BADANIE WYKAZAŁO**, ŻE KONIE DOMOWE pojawiły się na południowym zachodzie Ameryki i na Wielkich Równinach na początku XVII wieku, dużo wcześniej niż w centralnej i zachodniej Ameryce pojawili się Europejczycy – tłumaczy w rozmowie z „Newsweekiem” prof. Taylor. Badanie radiowęglowe szczątków trzech koni z Wyoming, Kansas i Nowego Meksyku dowiodło, że pochodzą one sprzed buntu w Pueblo. Z kolei oględziny szczątków wykonane przez zooarcheologów i paleontologów dowiodły, że nie pasły się one swobodnie na preri, ale służyły człowiekowi. Uszkodzenia zębów u jednego konia i kościste narośla na czaszce innego wskazują na to, że miały zakładane uzdy. Analiza chemiczna osadów w zębach dowiodła, że jadły one uprawianą przez Indian na długo przed przybyciem Europejczyków kukurydzę. Badacze odkryli też zagojone pęknięcie pyska na czaszce jednego z koni, co ich zdaniem sugeruje, że zwierzę ktoś leczył. Te wszystkie nowe ustalenia zgodne są z tym, co w ustnych przekazach zachowali Indianie. Według nich konie były obecne wśród nich, zanim na preriach pojawił się biały człowiek. – Zawsze mówiliśmy, że natknęliśmy się na konie, zanim na-

tknęliśmy się na Hiszpanów – mówi dla Associated Press Jimmy Arterberry, współautor artykułu i historyk Komanczów. A prof. Taylor dodaje, że kiedy na Wielkich Równinach pojawili się koloniści, konie były już głęboko zintegrowane z prawie wszystkimi aspektami życia rdzennych ludów, od codziennej pracy po rytuały i wierzenia.

URODZENI NA KONIU

SKĄD WIĘC WZIĘŁY SIĘ KONIE WŚRÓD INDIAN? Badania DNA, w których zespół prof. Taylora porównywał geny pobrane ze szczątków indiańskich koni z genami koni europejskich, nie pozostawiają wątpliwości – dzikie mustangi, wykorzystywane przez rdzenne ludy na początku XVII wieku, były najbliższymi spokrewnionymi z współczesnymi końmi z Półwyspu Iberyjskiego oraz w nieco mniejszym stopniu z Wielkiej Brytanii.

Były to więc niewątpliwie zwierzęta przywiezione z Europy w XVI wieku. Ale to nie hiszpańscy czy brytyjscy najeźdźcy sprawili, że rozprzestrzeniły się po najdalszych zakątkach Wielkich Równin i na zboczach Gór Skalistych. – Rozprzestrzenianie się koni na całym terenie prerii i zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej nastąpiło przez sieć handlu i wymiany rdzennych ludów, a nie dzięki aktywności konkwistadorów – mówi prof. Taylor.

Wygląda na to, że Indianie odbierali je Hiszpanom przed powstaniem Pueblo albo wyłapywali konie, które uciekały konkwistadorom i uczyły się żyć w stanie dzikim. Europejscy osadnicy nadal im nazwę mustangów od hiszpańskiego terminu *mesteño* (dziki, bezpański).

Historykom z University of Colorado, od lat badającym dzieje koni w tym stanie, udało się ustalić, że już w latach 80. XVI wieku pierwsze mustangi mogły trafić w ręce tamtejszych plemion – ludów Núchiu (Ute), Tsêhéstáno (Czejenów) i Hinono'eiteen (Arapaho), które szybko nauczyły się jazdy konnej i pielęgnowania tych zwierząt. W zapiskach z więzienia w Santa Fe znalazła

konie z Kuby do Meksyku, powoli posuwając się w podbojach na północ.

Zapiski kolonialnych najeźdźców mówią o tym, że konkwistadorzy na koniach byli niepokonani, bo zabronili rdzennej ludności posiadania tych zwierząt. I miało tak być do słynnego powstania Indian Pueblo w Nowym Meksyku w 1680 roku. Indianie pod wodzą szamana Pope wypędzili 200 uzbrojonych najeźdźców z Santa Fe, zmuszając ich do pozostawienia kilkuset koni, które rozpoczęły historię mustangów w Ameryce Północnej.

się też wzmianka, że w 1637 roku uciekło z niego kilku mężczyzn z plemienia Ute, kradnąc przy tej okazji konie. Na tych koniach dotarli aż do ziem swojego plemienia u podnóża Gór Skalistych.

Indianie i konie szybko stali się nierozłączni. Dzięki pozyskaniu tych zwierząt zmieniło się diametralnie życie plemion zamieszkujących Wielkie Równiny. Przez wcześniejsze tysiąclecia tradycyjnie prowadziły one osiadły lub półosiadły tryb życia, uprawiając małe poletka i polując na bizona tylko wówczas, gdy ich stada zjawiały się w pobliżu. Pojawienie się koni sprawiło, że plemiona indiańskie zamieniły się w nomadyczne ludy, dla których podstawą egzystencji było polowanie na bizona i dalekie wędrówki za stadami. Tamtejsze plemiona wyspecjalizowały się w ujeżdżaniu mustangów nie tylko na potrzeby polowania, ale również walki. Indianie z preerii – według danych z University of Colorado byli to Pajutowie – wymyślili specjalne techniki jazdy, które pozwalały wojownikom związać z boku koni podczas biegu i używać ciał zwierząt jako tarcz.

DUCH WYMARŁEGO ZWIERZĘCIA

ALE JAK TO MOŻLIWE, ŻE W PRZECIĄGU ZALEDWIE STULECIA TUBYLCZE LUDY AMERYKI, od Nowego Meksyku przez wielkie prerie aż po zachodnie wybrzeża Kanady, nauczyły się tak biegle jeździć konno i włączyły te zwierzęta do swojej kultury, jakby były one w niej zawsze? Może dlatego, że konie przywiezione przez Europejczyków nie były pierwszymi na kontynencie amerykańskim. Zwierzęta te zamieszkiwały Amerykę już wiele tysięcy lat temu. Z badań paleontologicznych wynika, że zwierzęta z rodzaju *Equus* (należą do nich współczesne konie, zebry i osły) wyewoluowały na kontynencie amerykańskim około 4 milionów lat temu, około 2 milionów lat temu przedostały się do Eurazji przez Beringię – pas łądu, który niegdyś istniał w miejscu dzisiejszej Cieśniny Beringa i łączył oba kontynenty. W ten sposób koń – *Equus caballus* – znalazł nowe miejsce do życia w Eurazji i wielokrotnie jeszcze wędrował z Azji do Ameryki i z powrotem.

W pewnym momencie, około 20 tys. lat temu, napotkał na swojej drodze człowieka, który również przez Beringię wyruszył z Azji do Ameryki, rozpoczynając osiedlanie się na nowym kontynencie. – Dane archeologiczne pokazują, że plejstoceny konie były częścią życia ludzi w Ameryce Północnej od samego początku – mówi prof. Taylor. – Na stanowiskach archeologicznych na terenie dawnej Beringii oraz w Jukonie znajdowane są narzędzia z końskich kości oraz inne ślady wskazujące na to, że ludzie polowali tam na konie już 20 tys. lat temu. Takie znaleziska ze schyłku epoki plejstocenu spotykane są od Alberty po Zatokę Meksykańską, a najmłodsze mają 13 tys lat.

W USA jeszcze w XVIII wieku żyło 5 mln mustangów, dzisiaj jest ich około 80 tys. na wyznaczonych pastwiskach i w zagrodach

Potem ślady pierwotnych koni w Ameryce urywają się. – Ostatnie pochodzące z DNA pobranego z osadów wskazują, że pierwotne konie amerykańskie mogły żyć jeszcze 5 tys. lat temu – mówi prof. Taylor. Przyczyna ich zniknięcia wciąż nie jest ostatecznie ustalona, jednak naukowcy sądzą, że głównym powodem były zmiany klimatyczne u schyłku ostatniego zlodowacenia, które na kontynencie amerykańskim przebiegały wyjątkowo szybko.

Ale było to na tyle niedawno, że w legendach i pieśniach rodzimych ludów mogły przetrwać informacje o bliższych relacjach z końmi. Tym bardziej że wymarłe konie amerykańskie i te, które trafiły tam z konkwistadorami z Europy, były bardzo do siebie podobne. Zdaniem dr. Jaya F. Kirkpatricka, wieloletniego badacza dzikich koni i dyrektora The

Science and Conservation Center w Billings w Montanie, to dokładnie ten sam gatunek, który zniknął z Ameryki tysiące lat temu i potem do niej powrócił.

INWAZJA CZY WIELKI POWRÓT?

KWESTIA POCHODZENIA MUSTANGÓW ROZPALA NIE TYLKO NAUKOWCÓW. Dzisiaj dzikie konie, które wciąż galopują po Wielkich Równinach i Górach Skalistych, traktowane są jako gatunek inwazyjny, obcy i szkodliwy dla przyrody. Za takie uznają je amerykańskie agencje National Park Service, US Fish and Wildlife Service oraz Bureau of Land Management. W kanadyjskiej Albercie stadom dzikich koni zarzuca się powodowanie erozji gleby, zwłaszcza w górach, niszczenie roślinności, wyjadanie trawy cennej dla hodowców bydła.

Dlatego trzymane są w ścisłych ryzach. Robi się to przez kontrolowany odstrzał, wyłapywanie i sprzedaż na ubój w rzeźni, oddawanie do prywatnych fundacji i przytulisk. Jak podaje w artykule w „The Conversation” prof. Tony Robert Walker z Dalhousie University, w samej prowincji Alberta w latach 1962-1972 zlikwidowano 2000 koni. Obecnie liczba ta bardzo spadła, w latach 2004-2015 – 15 do 60 koni, od 2015 roku żadnego. Konie w Albercie wciąż są jednak zabijane w ramach „sportu” przez obywateli, choć jest to zakazane.

W USA jeszcze w XVIII wieku żyło 5 milionów mustangów, dzisiaj jest ich około 80 tys. Żyją na wyznaczonych pastwiskach i w zagrodach. W 1971 roku zdecydowano się objąć je prawną ochroną. W Albercie, gdzie żyje około 1200 koni, ochrona jest wciąż ograniczona, choć walczą o nią różne stowarzyszenia, w tym największe Wild Horses of Alberta Society.

Wygląda na to, że Amerykanie wciąż nie mogą się zdecydować, czy dzikie konie są ich bezcennym i wartym ochrony dziedzictwem kulturowym, czy szkodnikami przywleczonymi przez najeźdźców? Możliwe, że jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie po prostu nie ma. **N**

katarzyna.burda@newsweek.pl

KINADS

ODKRYJ SIĘ WIELKIEGO EKRANU
W KINACH NIEZALEŻNYCH

Polska firma
od 13 lat na rynku



Nowoczesne
kina niezależne



340 kin
w całej Polsce



Zeskanuj kod QR.
Zajrzyj na naszą stronę!

Anda Rottenberg
Rozrzut
Wydawnictwo Krytyki
Politycznej



ARTYŚCI MUSZĄ BYĆ WOLNYMI LUDŹMI

ANDA ROTTENBERG O SZTUCE I POLITYCE

Rozliczenie nie polega na postawieniu kogoś pod ścianą – Anda Rottenberg opowiada o artystach współpracujących z władzą, dyspozycyjnych dyrektorach muzeów i najnowszej książce „Rozrzut”

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA MAREK SZCZEPAŃSKI

NEWSWEEK: Artyści w pani książce są naiwni, polskie społeczeństwo niedouczone, „narody ogarnięte amnezją”. Główną siłą świata jest twarda polityka. „Rozrzut”, zbiór pani tekstów z ostatnich 30 lat, to książka wyjątkowo smutna.

ANDA ROTTENBERG: Artyści w mojej książce wcale nie są naiwni. Czasem jednak dają się uwieść ideologii albo cynicznie współpracują z władzą, reżimami. Ale oni są tylko częścią społeczeństwa, jego odbiciem. Żyję i patrzę na ten świat długo, widziałam wielu artystów urządzających się w rozmaitych konfiguracjach.

Pani książka to właściwie historia uwikłania artystów.

Jakie pułapki zastawił na nich XX wiek?

– Główną były rozmaite ideologie. W końcu XIX wieku rozpadł się cały system finansowania twórczości, skończył czas takich mecenasów jak Kościół, dwory, monarchie, przyszedł wolny rynek, a jednocześnie artyści uwierzyli w wolność sztuki wyrażaną przez kolejne -izmy. Większość z tych -izmów była powiązana z ideologią czysto artystyczną (kubizm, surrealizm itd.), ale z czasem wkroczyły ideologie polityczne (faszyzm, komunizm), znajdujące swoich zwolenników także wśród twórców.

A polscy artyści?

– Nie byli wolni od żadnej ideologii. Przed wojną oficjalnie popierany był styl, który określam jako narodowy modernizm, sztuka dość nowoczesna w formie i narodowa w treści, która znalazła wielu wyznawców i była pokazywana w latach 20. i 30. XX wieku na wystawach światowych. Zresztą ta sanacyjna cepelia przeszła tanecznym krokiem w czasy PRL, w którym radykalne ruchy awangardowe, skądinąd o lewicowych korzeniach, były tępione.

Jakie jeszcze pułapki czyhały na twórców?

– Serwilizm. Wobec braku rynku sztuki po 1945 r. to państwo wspierało twórców, przyznawało stypendia, dawało nagrody, kupowało dzieła. Najczęściej były to formy nagradzania posłusznych. Jakość sztuki nie grała roli. Kupowały muzea, dużo wojsko, głównie malarstwo batalistyczne, zamawiało też portrety generałów. Na Ogólnopolskie Wystawy Plastyki z początku lat 50. zgłaszano tysiące obrazów. Ci, którzy byli grzeczni, świetnie prosperowali. Ci bardziej radykalni żyli na marginesach.

Po 1989 roku wolny rynek był pułapką?

– To nie jest takie oczywiste. Dla artysty wolny rynek nie jest pułapką, ale naturalnym sposobem na życie, choć często nie-

bezpiecznym. I trzeba umieć z nim postępować, bo rynek nie lubi zmian „osobistego stylu”. Gdy Wojciech Fangor przestał malować swoje słynne koła i fale, zainteresowanie jego pracami w Ameryce spadło. To samo spotkało Jana Lebensteina, kiedy odszedł od swoich świetnych figur osiowych. Szczęście miała Magdalena Abakanowicz, którą reprezentowała silna galeria. Kiedy artystka porzuciła abakany, które przyniosły jej uznanie, ta galeria potrafiła przekonać rynek do zamawiania dużych zespołów jej figur, przeznaczonych do wielkich parków rzeźb lub miejsc publicznych. Osobą młodą, która podjęła decyzję, że robi coś innego, jest np. Agata Bogacka. Szybko została gwiazdą i jej wczesne obrazy są dzisiaj bardzo drogie. Ale artystka już nie chce wracać do tamtego stylu, maluje abstrakcje. To odwaga, na którą stać nielicznych.

Jaki z tego morał?

– Pułapką rynku jest powtarzalność. Jak znaleźć balans między dostarczaniem tego, czego chcą klienci, a swoim rozwojem. Udało się to Piotrowi Uklańskiemu. Na szczęście dzisiaj nie oczekuje się od artysty rozpoznawalnego „stylu”, wystarczy nazwisko. Jednak rynek w Polsce jest wciąż kapryśny. Nie potrafię nadażyć za jego upodobaniami.

Państwo po 1989 r. w Polsce przestało być zagrożeniem dla artystów?

– Jeszcze do lat 80. rządili cyniczni urzędnicy. Po 1989 r. i zlikwidowaniu cenzury nastąpił czas „bezwładzy”, jak to określił Zbigniew Libera. Było dużo wolności i żadnych obowiązków, ale też nikt się nie interesował sztuką. To trwało krótko, bo nagle się okazało, że sztuka może być trampoliną do karier politycznych, tylko należy się obrazić na jakieś dzieło sztuki i zrobić wokół tego szum. Zaczęły się nagonki na artystów, procesy. Nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe.

Byliśmy nieprzygotowani do odbioru sztuki krytycznej, dzieł Katarzyny Kozyry czy Maurizio Cattelana. Może tak musiało być?

– Pierwszy tekst w „Rozrzucie” jest tekstem do katalogu wystawy Richarda Serry w Zachęcie. To był 1994 r. Serra był już megagwiazdą współczesnej sztuki, ale kiedy polscy krytycy zobaczyli jego ołowiane rulony, nie szczędzili kpiny, czy to w ogóle jest sztuka. Rok później Roman Opałka, wówczas już klasyk, jest naszym reprezentantem na Biennale w Wenecji, a ludzie pytają, co jego obrazy mają wspólnego ze sztuką, twierdzą, że



bliżej im do matematyki. Żeby było jasne: społeczeństwo niczemu nie jest winne, po prostu nikt go nie wyedukował, ani media, ani szkoła. Polacy właściwie nie wiedzą do dzisiaj, jak patrzeć na sztukę współczesną, może nawet jej nie zauważają.

Ale od wystawy Serry minęło 30 lat.

– Trzy pełne cykle edukacyjne po 10 lat. Ale czy polska szkoła to dobre miejsce do edukacji wrażliwości? Wątpię.

Może ma pani rację. Kilka tygodni temu znów było gigantyczne wzmoczenie w sprawie nowego Muzeum Sztuki Nowoczesnej w centrum Warszawy, że takie brzydkie.

– Nie nadałam za tymi dyskusjami. Zaczęłam zabiegać o to muzeum w 1981 r. Kiedy dostałam od światowej sławy architekta Franka Gehry'ego obietnicę, że zaprojektuje je za darmo, chodziło tylko o to, żeby miasto znalazło działkę. Kolejni ministrowie kultury, prezydenci Warszawy, wojewodowie, burmistrzowie Śródmieścia nie widzieli potrzeby istnienia takiego muzeum. Gdyby ją zobaczyli, to mielibyśmy budynek, który stoi teraz w Bilbao. A obecny budynek musiał wpisać się w otoczenie Pałacu Kultury, Domów Centrum, Ściany Wschodniej. I jest tak neutralny i ergonomiczny, jak to tylko możliwe.

I to chyba ludzi denerwuje?

– Domyślałam się, że chcieliby, żeby stanął jakiś torcik albo coś w stylu dworkowym. Jestem bezradna. Wydaję tę książkę, ale nie wiem po co? Kto przeczyta 500 stron o sztuce i historii poza garstką znajomych. Grono ludzi, którzy rozumieją nie tylko, o co chodzi w sztuce współczesnej, ale też, co jest dobre dla Polski, jest bardzo nieliczne.

Kiedy poczuła pani to osamotnienie?

– Jeśli chodzi o odbiór sztuki, poczułam to w trzeciej klasie podstawówki. Wystawialiśmy jakąś bajkę, w tekście stało, że drwal bierze pajdę chleba i kładzie na niej kawałek sera. A mamusia kolegi, który grał tę postać, zrobiła mu cieniutką, akuratną kanapkę z twarożkiem. Moje poczucie estetycznej odpowiedniości zostało gwałtownie naruszone, dlatego to zapamiętałam. Potem, na studiach, postanowiłam, że będę zajmować się sztuką, która po-

wstaje współcześnie i wiedziałam, że nie mogę liczyć na ustalone hierarchie, podręczniki historii sztuki. Musiałam się kierować intuicją, wiedzą, opatrzeniem. I musiałam uwierzyć sobie, nawet gdy inni mi wmawiali, że się mylę. I tak mam do dzisiaj.

A jako dyrektorka Zachęty?

– Robiłam wystawy tego, co moim zdaniem było wartościowe.

Nie liczyła pani na frekwencję?

– Nidy jej nie sprawdzałam. Frekwencja służyła mi tylko do spotkań z ministrem kultury, kiedy rozmawialiśmy o budżecie. Były wystawy, do których stały kolejki, ale też wiele takich, po których hulał wiatr. Te były dla mnie najważniejsze. I to one zresztą przeszły do historii.

W książce znalazłem wykład inauguracyjny na Akademii Sztuk Pięknych w Szczecinie. Nie zawiera ani jednego zdania o sztuce. Jest tam historia ustanawiania praw, które łamią ludzi, są mechanizmy szukania kozła ofiarnego. Na jakie czasy pani przygotowuje młodych artystów takim wykładem?

– Na trudne. Na całym świecie daje się wyczuć nasilenie postaw ksenofobicznych, nacjonalistycznych, które znów prowadzą do nietolerancji. A wtedy zaczyna się poszukiwanie kozła ofiarnego, który skanalizuje gniew ludu. Historia uczy, że najczęściej w tej roli widziano czarownice, gejów, Żydów. Polska jest w szpicy sączenia takiego jadu, robią to publiczne media. Chciałam przypomnieć młodym ludziom, że sztuka jest kategorią etyczną i należy się zastanowić, co to znaczy.

Artyści w takich czasach mają inne obowiązki?

– Artyści nie mają obowiązków. Muszą być wolnymi ludźmi.

Artysta służący władzy przestaje być artystą?

– Nie. Ale w tekście „Zasada wspomaganie” piszę, że artyści, którzy się angażują w służbę systemu opresyjnego, zostają w końcu z tego rozliczeni. Zarówno ci, którzy służyli nazizmowi, jak i władzy komunistycznej. Oczywiście, od tamtego czasu świat się zmienił. Artyści nie mają krwi na rękach, a rozliczenie nie polega na postawieniu kogoś pod ścianą. Rozliczenie w sztuce polega na ocenie przez historię.

No dobrze, weźmy np. Jerzego Kalinę, wybitnego niegdyś artystę, który dzisiaj stał się nadwornym twórcą polityki kulturalnej PiS: buduje pomniki (w tym smoleński), instalację na ministerialnym dziedzińcu, opiniuje dofinansowanie do projektów artystycznych...

– Jurek jest moim kolegą, a może raczej był. Był gwiazdą stanu wojennego i robił świetne rzeczy. Zgłosił nawet w końcu lat 80. doskonały projekt na pomnik powstania warszawskiego, który niestety przegrał. Ale po 1989 r. nie odnalazł się w systemie, w którym nie ma tak zdefiniowanego wroga jak komuniści. Nie miał nic ciekawego do zaoferowania kuratorom i publiczności. Obrzucił się na świat, życie artystyczne. To artysta walczący, więc zaczął walczyć ze światem sztuki współczesnej, łącznie ze mną. I ośmieszył się propozycjami, jakie pokazał po 2015 r. Owszem, ma wystawy, ale teraz jego środowisko jest raczej tematem memów, a nie refleksji.

Środowisko artystyczne się podzieliło po 2015 r.?

– Tak, ale inaczej niż w PRL. Jednak władza wtedy zabiegała o środowisko, potrzebowała mieć dwór. Zależało im na przychylności

” POLACY WŁAŚCIWIE NIE WIEDZĄ DO DZISIAJ, JAK PATRZEĆ NA SZTUKĘ WSPÓŁCZESNĄ, MOŻE NAWET JEJ NIE ZAUWAŻAJĄ

wielkich artystów, co nie przeszkadzało czasami ich cenzurować. To trwało do stanu wojennego, ale nawet wówczas nie wymieniono żadnych dyrektorów ważnych instytucji sztuki, to artyści powiedzieli: tutaj nie wystawiam. Nie chcieli być kojarzeni z władzą. A obecny rząd zmienia dyrektorów galerii i muzeów, choć nie ma stanu wojennego, i w zasadzie nie ma teraz tak powszechnego bojkotu jak w latach 80.

Pani rozumie dyrektorskie nominacje ministra Piotra Glińskiego?

– Niektóre tak. Na przykład wybór dyrektorów Zamku Królewskiego na Wawelu, Muzeów Narodowych w Warszawie czy Krakowie. To profesjonaliści o elastycznych kręgosłupach, nie podejmą tematów kontrowersyjnych. Rozumiem nawet wybór dyrektora Zamku Ujazdowskiego. Piotr Bernatowicz jest inteligentny, umie manipulować, zabiegać o współpracę z międzynarodowymi artystami i prezentuje brunatny światopogląd. Ministrowi to się musi podobać.

Nie brakuje chętnych, żeby tam wystawiać.

– Obecna władza postępuje metodą małych kroków, to metoda sprawdzona jeszcze w latach 30. XX wieku. Ktoś niewyzulony na politykę nawet nie zauważa, że coś się zmieniło w instytucjach kultury. Owszem, trzeba unikać TVP, bo to ściek, ale Zamek Ujaz-

dowski? Wielu twórców nie czuje, że wystawianie tam może być źle odebrane.

Myśli pani?

– Ja nie myślę, ja wiem. Widzę to codziennie. Nie wszystkich posądzam o to, że rządzą się w dupie, jak mówił Kisiel. Niektórzy robią to przez nieświadomość albo jest im po drodze z poglądami obecnej ekipy. Sądzę, że Jarosław Modzelewski, wybitny malarz, wystawiał tam świadomie. To nie jest artysta związany z obecną władzą, ale pewne idee chyba mu się podobają.

Jakich nominacji pani nie rozumie?

– Na przykład na stanowisko dyrektora Zachęty. Jeden z moich znajomych, który prezentuje pisowską opcję, powiedział o nim: ten człowiek nic nie umie, on nawet nie wie, że czegoś nie wie. Dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi został były właściciel prowincjonalnej galerii komercyjnej i teraz pokazuje tych artystów, którymi handlował. Tak zdegradować to muzeum? Do tego nie posunął się nawet generał Jaruzelski.

Gdyby strona demokratyczna wygrała najbliższe wybory, co wtedy trzeba by zrobić z tymi instytucjami i ich dyrektorami?

– Wprowadzanie systemu demokratycznego po 1989 r. polegało na wprowadzeniu pluralizmu, daniu głosu różnym opcjom. Na tym wyjechało PiS: miało głos, szczególnie po Smoleńsku, choć teraz odbiera go innym. Pytanie o powrót do realnej demokracji jest pytaniem, czy uwzględniamy inne poglądy.

Wypadałoby.

– Gdyby to ode mnie zależało, zostawiłabym Piotra Bernatowicza w Zamku Ujazdowskim, choćby ze względu na to, żeby nie robić z niego ofiary, bo PiS wygrało wybory dzięki smoleńskiemu „męczeństwu”. Ma swoją wizję działania tej instytucji, ale jeżeli nie przekroczy prawa, niech ją wciela. Choć jednak promowanie nazizmu jest w Polsce karane. A były u niego już takie imprezy.

Ale w Zachęcie albo w muzeum w Łodzi? Ci panowie nic sobą nie reprezentują, nie mają żadnego programu ani kompetencji. Istnieje taki instrument jak utrata zaufania organu prowadzącego, co pozwala na zwolnienie dyrektora, który jest podwładnym ministra.

Kilka tekstów poświęciła pani sztuce wobec Holocaustu,

w tekście „Artysta patrzy na wojnę” pisze pani

o „mechanizmie wypierania faktów przez fikcję”. Czy powołane przez ministra Glińskiego Muzeum Historii Getta Warszawskiego jako konkurencji dla POLIN jest potrzebne?

– Zamilczę. Gdybym była artystką, nie robiłabym tam wystawy i głęboko współczuję mojej koleżance, Hance Wróblewskiej, która została tam wicedyrektorką, zapewne kierowana jakimś poczuciem misji. Więcej nie powiem. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

ANDA ROTTENBERG (UR. 1944) JEST HISTORYKIEM SZTUKI, KRYTYKIEM, KURATORKĄ, PUBLICYSTKĄ. W LATACH 1993-2001 BYŁA DYREKTORKĄ GALERII ZACHĘTA W WARSZAWIE. WŁAŚNIE WYDAŁA KSIĄŻKĘ „ROZRZUT”, ZBIÓR TEKSTÓW Z OSTATNICH 30 LAT

KULTURA

Newsweek

TEATR
W CIENIU
WIEŻOWCÓW

Grzegorz Laszuk na dachu siedziby Komuny Warszawa w centrum stolicy, 12 kwietnia 2023 r.

Po jednej stronie budynek Marriotta, po drugiej wieżowiec Elektrimu. A od tej strony kościół, plebania i pustostan – wylicza pani Magda, uśmiechając się zza szkolnego płotu Komuny. Kiedyś była tu Szkoła Podstawowa nr 171, pierwsza tysiąclatka w Śródmieściu. Potem gimnazjum. A potem szkołę przeniesiono. Podobnie jak sąsiadujące z nią liceum Hoffmanowej. – Dzieci tu nie za wiele, więc i szkoły niepotrzebne – wzdycha, wodząc wzrokiem za Gerdą i Klarą. Gerda jest co najmniej w połowie posokowcem bawarskim, a Klara pincerem miniaturą. Tylko przerośniętym. – Odkąd Komuna weszła do szkoły, wróciło tu życie. W ciągu dnia przychodzę tu wybiegać psy, wieczorami zaglądam do teatru, bywam na koncertach. Brakowało takiego miejsca. Podobno zakusy są na ten teren. Pewnie żeby wszystko zrównać z ziemią i postawić bank.

I

„ALL THE THINGS THAT COULD HAPPEN NEXT” – głosi neonowy napis przy wejściu do Komuny. „Wszystkie rzeczy, które mogą się wydarzyć potem”. To praca

Komuna zmienia miasto

To jest przestrzeń eksperymentu, możemy zrobić wrestling w środku miasta, teatr, posłuchać muzyki – mówi Grzegorz Laszuk, twórca Komuny Warszawa, najważniejszego offowego teatru w Polsce

TEKST DAWID KARPIUK

ZDJĘCIA ADAM TUCHLIŃSKI/TUCLINSKI STUDIO



Paweł Sakowicz, choreograf podczas próby do spektaklu, 12 kwietnia 2023 r.

Tima Etchellsa, lidera słynnej brytyjskiej grupy teatralnej Forced Entertainment. W czerwcu 2020 r., kiedy stanęła w Komunie, brzmiała jednocześnie jak pełne nadziei pytanie o przyszłość i ponura przepowiednia. Zapowiedź nowego życia Komuny, która ledwo co wprowadziła się do nowej siedziby, i końca pogrążonego w pandemii świata. – Dwieście pięćdziesiąt milionów! – twórca Komuny Grzegorz Laszuk próbuje przekrzyknąć wiatr, pozując do zdjęć na dachu szkoły. Tyle przed pandemią miał być wart grunt, na którym stoi siedziba najważniejszego offowego teatru w Polsce. Po pierwszych lockdownach jego wartość spadła, ostatnio znów zaczęła rosnąć.

– Jakim cudem was stąd nie wyrzucili? – pytam.

– Szczęśliwie miasto nie chce sprzedawać tego terenu. W Warszawie fizycznie brakuje miejsc dla instytucji takich jak my – mówi Laszuk. – W najlepszych miejscach, jak Koszyki czy Elektrociepłownia, robi się food hale dla turystów z wyższej klasy średniej. Były przecież plany, żeby na Powiślu stworzyć nową siedzibę TR Warszawa. Nie wyszło, zamiast tego jest jadłodajnia dla ludzi z grubymi portfelami.

Istniejąca nieprzerwanie od 1989 r. Komuna jest społeczną instytucją kultury z ponad 2 mln zł budżetu rocznie. To niewiele przy kilkukrotnie wyższych budżetach dużych teatrów, ale duże teatry zatrudniają zespoły aktorów, techników, a w Komunie pracuje dziś sześć osób.

– Robimy więcej niż niektóre teatry repertuarowe. Mamy sześć do siedmiu premier, 30-40 wznowień, występy gościnne, kino letnie. W sumie w tym roku będziemy mieli około 170 imprez. Są czytania dramatów, spotkania literackie. W lipcu obchodzimy urodziny Radia Kapitał, organizujemy koncert Siksy, premierę jej książki, a potem mamy w planach galę wrestlingu. Zamierzamy też otworzyć kawiarnię. Ruch będzie od poniedziałku do niedzieli. To, co tu robimy, to w gruncie rzeczy nasz pomysł na miasto i głos w dyskusji o tym, jak ono się może rozwijać. Czy Śródmieście ma być przestrzenią zarezerwowaną dla wysokościowców, czy miejscem, w którym dzieje się kultura, także niezależna? Nie szybujemy może tak wysoko jak Teatr Dramatyczny czy MSN, ale tu, w zaciszu uliczek i drapaczy chmur, można stworzyć coś, co będzie wizytówką miasta.

Laszuk podaje przykład Berlina, który słynie z lokalnej kultury niezależnej.

– Jak już raz odwiedzisz Potsdamer Platz, to potem szukasz małych klubów i knajpek, bo to tam pulsuje życie. Potrzeba w mieście takich miejsc.

W Warszawie niezależne centra kultury długo nie miały łatwego życia. Legendarna – i nieistniejąca już – Chłodna 25 była jednym z pierwszych miejsc, w których aktywiści dyskutowali z urzędnikami o pomysłach na miejską kulturę. – To, że dziś możemy działać przy Emilii Plater, jest w jakimś sensie efektem tamtych dyskusji – wspomina Laszuk. – O tym, ile jeszcze trzeba zrobić, może świadczyć choćby upadek Pogłosu, jednego z najważniejszych warszawskich klubów z muzyką niezależną.

II

NA SZKOLNYM ŁĄCZNIKU SPOTYKAM PAWEŁA SAKOWICZA, tancerza i choreografa, jednego z ważniejszych ludzi tańca w Warszawie. Pracuje właśnie nad najbliższą premierą Komuny – spektaklem „Imperial” (premiera 27.04). Sakowicz nie pierwszy raz pracuje w Komunie. Zdobył rozgłos m.in. dzięki roli w spektaklu „Zrób siebie” Marty Ziółek (2016). Sama Ziółek, dziś podobnie jak Sakowicz gwiazda tańca, wcześniej zrealizowała dla Komuny

projekt „Ciało Oko”. W Komunie jeszcze w czasach, kiedy miała ona siedzibę w kamienicy na warszawskiej Pradze, ważne spektakle wystawiali m.in. Anna Smolar, Cezary Tomaszewski, Wojtek Ziemilski. – „Imperial” to spektakl, który bierze na warsztat jeden z najbardziej znanych tańców w historii – walca – mówi Sakowicz. – Dekonstruujemy go, sprawdzamy, czemu walc może służyć także dziś. To opowieść o klasowości, o aspiracjach.

– Walc kojarzy się z czasem zaprzestym, z nieistniejącą dworską klasą – dodaje Justyna Stasiowska. – Tym bardziej może być dziś fantazją o minionych czasach. Ten taniec zawiera w sobie marzenie o awansie społecznym.

– W tańcu dużo się dziś dzieje, a jednocześnie mamy niedorozwój instytucjonalny – wzdycha Sakowicz. – Ciekawe rzeczy dzieją się w Nowym Teatrze, w Teatrze Studio, ale to wciąż Komuna jest miejscem, w którym można eksperymentować, sprawdzać, co działa – dodaje Laszuk.

III

– CZY KOMUNA JEST NORMALNYM TEATREM? Nie jest – mówi dr hab. Tomasz Plata z Akademii Teatralnej w Warszawie. – Jest raczej pierwszą próbą stworzenia w Polsce poważnego domu produkcyjnego. Na świecie takie rzeczy dzieją się od dawna. Najciekawsze projekty powstają w dużej mierze poza obiegiem instytucjonalnych teatrów. Czyli takich, które nazwiesz „normalnymi”: z dużym zespołem aktorskim, z wieloma osobami zatrudnionymi na stałe. Polski system teatralny – niemal w całości składający się z teatrów repertuarowych – jest dziś ewenementem na skalę światową. Może poza Rosją i Niemcami. To dziewiętnastowieczny wynalazek niemiecki: żeby w każdym większym mieście był teatr, w którym mieszczanie mogą się spotkać, obejrzeć spektakl i pogadać. To zresztą system bardzo cenny, warto go odpowiednio chronić. Ale gdyby takiej Komunie dorzucić kilka milionów złotych budżetu, wszyscy by na tym skorzystali. Także teatry repertuarowe.

O Komunie mówi się, że stoi na dwóch głowach – Grzegorza Laszuka i Aliny Gałązki. Gałązka oficjalnie pełni funk-

cję dyrektorki finansowej. – Ale przede wszystkim ma duże zdolności polityczne – słyszę w urzędzie miasta. – Poświęciła lata na przekonywanie do swoich pomysłów ludzi podejmujących decyzje, wie wszystko o funkcjonowaniu organizacji pozarządowych, ma kontakty i potrafi rozmawiać z urzędnikami. Grzegorz jest artystą, ma głowę pełną pomysłów. Alina potrafi to wszystko uporządkować.

IV

LASZUK ZAŁOŻYŁ KOMUNĘ W 1989 R. Był wtedy studentem prawa („Po dwóch tygodniach praktyk w sądzie miałem dość” – wspomina dziś).

„*To, co tu robimy, to w gruncie rzeczy nasz pomysł na miasto i głos w dyskusji o tym, jak ono się może rozwijać*”

GRZEGORZ LASZUK,
TWÓRCA KOMUNY WARSZAWA

Jednym z jego idoli, a także artystycznym i ideowym patronem Komuny, jest Wojciech Krukowski, twórca Akademii Ruchu, powstałej na początku lat 70. eksperymentalnej grupy artystycznej. Akademia działała zresztą na podobnych co Komuna zasadach. Kilku stałych członków i Krukowski, który zapraszał artystów i łączył różne – czasem odległe od siebie – środowiska.

– Grzesiek przejął od Krukowskiego słabość do klasycznej awangardy, konstruktywizmu – mówi Plata. – W podobny sposób myśli, chyba też podobnie widzi swoją rolę. To jest facet, który grał na perkusji, robił punkową załogę w Otwocku, w latach 90. został grafikiem, zainteresował się teatrem. To się wszystko ciekawie zmiksowało. Reżyserem też jest znacznie lepszym, niż pewnie sam sądzi. Jego przedstawienia były odmienne od głównej

tradycji polskiego teatru, bardziej wizualne niż literackie. To się zaczęło obracać w bardzo wielowymiarową rzecz – tworzenie grupy artystycznej z silnym liderem, który ma wiele talentów. A ostatnio doszedł do nich talent do opieki nad innymi artystami, coraz mocniejsze wchodzenie w rolę dyrektora artystycznego instytucji. To widać szczególnie, odkąd pojawili się w szkole przy Emilii Plater.

V

– JESTEM ABSOLWENTEM – mówi pan Janek, opierając się o szkolny płot. – Dawno temu skończyłem tu podstawówkę. Teraz widzę, że się coś dzieje, ludzie przychodzą, tacy zwariowani czasem z wyglądu. Latem mają filmy puszczać, co mnie bardzo cieszy, bo ja sobie lubię obejrzeć. Niby centrum miasta, a jednak, żeby gdziekolwiek usiąść, musi być człowieka stać. W kawiarniach bliżej Pięknej piwo potrafi 25 zł kosztować! To ja nie wiem, dla kogo to miasto. – Bardzo nam zależy na lokalsach – mówi Alina Gałązka. – Niestety, wciąż jest raczej tak, że przychodzi nie-mal wyłącznie nasza publiczność.

– Latem chcemy otworzyć kawiarnię, lada chwila utworzą się też boiska, odnowione z budżetu obywatelskiego – dodaje Grzegorz Laszuk. – Chcemy, żeby to był puls warszawskiej kultury niezależnej. Nie jesteśmy w opozycji do klasycznych, repertuarowych teatrów, chcemy z nimi zgodnie współistnieć. Możliwe, że niektóre projekty będą pokazane raz, inne będą żyły przez miesiąc. Dzięki temu można sprawdzić, co działa, a co nie. Wiele takich rzeczy nie mogłoby się wydarzyć w normalnych teatrach. Wielu artystów, także absolwentów uczelni artystycznych, nie ma gdzie debiutować. Zgłaszają się do nas. Czasem z projektami, które nie miałyby szans na zaistnienie w innym miejscu. To jest przestrzeń eksperymentu, tu możemy badać, jak jest w stanie się rozwijać. Możemy zrobić wrestling w środku miasta, teatr, posłuchać muzyki. Jeśli ktoś tu chce siedzieć przez trzy godziny w ciemności, uważa, że to jest ważne, to my mówimy: OK, też chcemy to zobaczyć, poczuć to razem. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl

O SERIALACH

Bartosz Węglarczyk Felieton o mądrych



Lubię głupie seriale. Bardzo przy nich wypoczywam. Gdy nie muszę myśleć, czuję, jakbym spał. Ale niestety, no, raczej „niestety”, ostatnio trafiłem na kilka seriali, które wymagają myślenia. Wszystkie opowiadają, w bardziej lub mniej szalony sposób, jakieś prawdy o życiu.

Awantura (Netflix)

Bardziej podoba mi się oryginalny tytuł „Beef”, który oznacza raczej powód awantury, a nie samą awanturę. Ale to bez znaczenia. Ważniejsze jest to, że jest to doskonały przewodnik po tym, jak uzyskać równowagę duchową. A dokładnie, co zrobić, żeby jej nigdy nie mieć.

Serial zaczyna się od niezbyt przyjemnego spotkania głównego bohatera Danny'ego z kimś (twórcy serialu świadomie zaangażowali do niego niezbyt znanych aktorów, by niczego nam nie sugerować i nie odciągać nas od akcji). Dwa samochody wpadają na siebie na parking. Nie ma nawet stłuczki, lecz jedynie wymiana trąbek i środkowy palec wystający z okna. Sytuacja, jakich tysiące czy to w Los Angeles, gdzie rozgrywa się „Awantura”, czy w Warszawie, czy w jakimkolwiek innym mieście na świecie. W „Awanturze” awantura zaczyna jednak eskalować. I eskaluje do tego stopnia, że obie strony niewinnej sytuacji na parkingu wpadają w manię na punkcie drugiej osoby. Ich życie wpada w spiralę śmierci do tego stopnia, że od drugiego odcinka było dla mnie jasne, że tu musi pohać się krew.

„Awantura” to serial o priorytetach. I o tym, co dzieje się z nami, gdy te priorytety źle sobie w życiu ustawimy.

Nagroda na dzień dobry (AppleTV+)

Moje totalne pozytywne zaskoczenie. Włączyłem pierwszy odcinek raczej po to, by szybko z oglądania tego serialu zrezygnować i ruszyć dalej. A tu taka niespodzianka.

W małym miasteczku w USA w lokalnym sklepiku pojawia się w nocy maszyna. Pojawia się, bo nikt do końca nie wie, jak się tam znalazła. Maszyna pokazuje ludziom ich życiowy potencjał – wyskakuje z niej niebieska karteczka, na której znajduje się jedno słowo, opisujące zajęcie lub zawód, w którym dana osoba najbardziej by się spełniła.

Miasteczko wpada w prawdziwy amok – wszyscy chcą wiedzieć, kim powinni w życiu zostać. Główny bohater serialu zmienia się z odcinka na odcinek, ale wszyscy są sąsiadami i śledzimy ich zmagania z tym, co jest im przeznaczone, a co powinno sensem ich życia być. Sam zastanawiam się, czy chciałbym taką karteczkę o sobie przeczytać i co by się stało, gdybym dowiedział się, że powinienem za-

jąć się czymś innym? I czy ktoś na świecie chciałby dostać taką karteczkę z napisem np. „Przeciętny biznesmen bez pieniędzy”? I co miałyby z taką karteczką zrobić?

Całość jest trochę zabawna, trochę poważna i naprawdę bardzo mądra.

Pachinko (AppleTV+)

Kiedy już obejrzałem wszystkie dostępne odcinki „Nagrody...” (nowe wpadają co tydzień), kliknąłem na kolejny serial w mojej kolejce w tym samym serwisie. „Pachinko” mnie specjalnie nie zachęcał, bo nieszczerłownie interesowała mnie obyczajowa historia z Korei. Tymczasem...

Tymczasem jest to wspaniała, przepięknie sfilmowana epopeja o tym, że nie tylko Polska ma skomplikowaną historię. Pierwszy odcinek rozpoczyna się w 1915 r. Poznajemy dziewczynkę i jej ojca rybaka, który wraz z żoną próbuje budować normalne życie w okupowanym przez

Czy chciałbym o sobie przeczytać, że powinienem zająć się czymś innym? Czy ktoś na świecie chciałby dostać karteczkę z napisem np. „Przeciętny biznesmen bez pieniędzy”?

Japończyków kraju. Potem nagle przeskakujemy kilkadziesiąt lat do przodu i poznajemy wnuka owej dziewczynki oraz ją samą – tylko już w podeszłym wieku.

Jest to jeden z najpiękniejszych seriali, jakie widziałem w ostatnim czasie – począwszy od ślicznej czołówki.

Rodzinne więzy (Netflix)

No cóż, główną bohaterką tego serialu jest dziennikarka, co już mnie do niego pozytywnie nastawiło. Główną rolę gra tu belgijska komiczka Nawell Madani, która jest również autorką scenariusza. I to był wystarczający powód, by zacząć oglądać ten serial. Akcja jest kapitalna – rodzina Francuzów algijskiego pochodzenia musi się zmierzyć z oskarżeniami o handel narkotykami wobec jednego z jej członków. Trzy siostry, w tym dziennikarka właśnie zaczynająca karierę w TV, i ich mama muszą ratować swego krewnego tak, by same nie trafiły do więzienia.

Serial jest momentami bardzo śmieszny – Madani nie była w stanie się powstrzymać – ale niech was to nie zmyli: „Rodzinne więzy” to niesamowity thriller z zaskakującym zakończeniem i ważnym przesłaniem: rodzina jest naprawdę ważna. **N**

Lew w zimie



Mario Vargas Llosa, członek Akademii Francuskiej, w bibliotece towarzystwa naukowego w Paryżu, 9 lutego 2023 r.

Prawie 90-letni Mario Vargas Llosa zapowiada kolejną książkę, a u nas ukazało się jego „Pół wieku z Borgesem” – zapis spotkań z wielkim Argentyńczykiem, którego polityczny błąd powtarza na starość

TEKST WOJCIECH ENGELKING



Mario Vargas Llosa
Pół wieku z Borgesem.
Niezwyczajne spotkania
gigantów literatury
Znak

Niektórzy przeszli na emeryturę. Przez lata codziennie siadali do biurka i zapewniali kolejne strony, pewnego dnia jednak uznali, że nie mają już nic do powiedzenia. Tak po osiemdziesiątce uczynił Philip Roth. Inni ani myślą przestać – a wydawcy nie odrzucą nowej powieści autora, którego znają wszyscy. Produkcowane przez nich książki i eseje często dowodzą jedynie, że autorzy najlepsze lata mają za sobą. Tak było z Umberto Eco, którego finałny „Temat na pierwszą stronę” budził zdziwienie, że to powieść twórcy „Imienia róży”.

Trzeci gatunek występuje najrzadziej. To ci, których zmarszczki zdają się nie mieć znaczenia: w ostatnich dekadach życia piszą rzeczy nieustępujące tym, które wyniosły ich na parnas. Tak było z nieżyjącym już Amosem Ozem, a teraz tak jest z Mario Vargasem Llosą. W półtorej dekady po Noblu autor „Szczeniaków” bez ustanku tworzy, występuje i publikuje – właśnie został członkiem Akademii Francuskiej jako pierwszy, który nigdy nie napisał słowa w tym języku; na konferencjach prasowych chwali

i gani kandydatów na polityczne urzędy; jego prywatne życie jest taką samą przyzwyczajoną dla plotkarskich mediów jak życie młodych celebrytów – tylko czasem spoglądając w przeszłość.

Takim spojrzeniem jest świeżo w Polsce wydane „Pół wieku z Borgesem”, tom jego rozmów z wielkim Argentyńczykiem i esejów o nim. Píše w nim o autorze „Alefa”, a jakby o sobie: „Sławni pisarze źle się starzeją, pełni pychy i dolegliwości. Ale pan utrzymuje się w formie”. Mario Vargas Llosa to ostatni wielki żyjący pisarz i intelektualista drugiej połowy XX wieku – pytanie jednak, czy w ostatniej dekadzie życia swoim politycznym zaangażowaniem nie postawił na złego konia.

I HISTORIA ICH SPOTKANIA TO ZDERZENIE DWÓCH SKRAJNIE ODMIENNYCH OSOBOWOŚCI oraz modeli bycia pisarzem – i śmiało można powiedzieć, że Vargas Llosa zbudował własny w kontrze do Borgesa.

Pierwszy raz spotykają się w roku 1963 w Paryżu. Vargas ma 27 lat i miesiąc temu wydał swoją pierwszą powieść. „Miasto i psy” uczynią go sławnym, ale



Jorge Luis Borges
w Rzymie w 1981 r.

ROZMOWY
LITERACKICH
MISTRZÓW

KULTURA

Newsweek

to jeszcze chwilę zajmie. Na razie mieszka w stolicy Francji, starając się związać koniec z końcem, by utrzymać siebie i żonę. Pracuje jako ghostwriter i dziennikarz francuskiego radia – właśnie w tym charakterze przychodzi na wywiad z Argentyńczykiem. Ten ma lat 64, pisze od dawna, jednak sławą cieszy się od dekady. (Jak sam przyzna w rozmowie z Vargasem, niedawno jego książek sprzedawało się po mniej niż 50 egzemplarzy).

Oczywiście, Vargas wcześniej, jeszcze w Peru, Borgesa czytał. Doceniał walory literackie jego dzieła (choć sam od krótkich, surrealistycznych form wolał epickie powieści), jednak innych – już nie. Sarkał na to, że Borges to pisarz, który o polityce i erotyce, dwóch głównych tematach późniejszego autora „Święta Kozła”, milczy, dumnie siedząc w wieży z kości słoniowej. Samego siebie widział inaczej: jako – jak określił to później w dedykacji do „Rozmowy w »Katedrze«” – wojującego sartrowca, czyli kogoś, kto nie uważa, że pisarz może zamknąć się w mniszej celi; ba, sądzi, że wienien z niej wyjść.

Trzeba dodać do tego odmienne wychowanie – Borges wyrósł w warunkach

cieplarnianych, w domu zamożnego adwokata; Vargas ojca poznał jako nastolatek, chodził do wojskowej szkoły w Limie, gdzie panował kult machismo – a także różnicę wieku, wściekłość młodego, że stary ma to, co on chciałby mieć – i konflikt murowany.

Lecz konfliktu nie ma. Dwaj pisarze erudycyjnie rozprawiają o Flaubercie i Viktorze Hugo. Gdy Vargas pyta o politykę, Borges oznajmia, że ten temat go nudzi. A młody Vargas jest zbyt onieśmielony, by powiedzieć, że sam uważa zgola inaczej; że mierzi go snobistyczne zawołanie Borgesa, który tylko raz, przyparty do muru pytaniem o poglądy, odparł, że popiera konserwatystów, bo pasuje to do dżentelmena: bronić sprawy przegranych.

Ponownie spotkają się za dwie dekady w mieszkaniu Borgesa w Buenos Aires. Wtedy autor „Biblioteki Babel” nie będzie ich pierwszej rozmowy pamiętał – za to będzie świetnie wiedział, kim jest Vargas. I nie tylko on.

II

CHOĆ PO TRZYDZIESTCE, autor „Szelmostw niegrzecznej dziewczynki” po-

rzucił poglądy wojującego sartrowca i z lewicowca przeistoczył w liberała, to wciąż wierzy w to, że słowa zmieniają rzeczywistość.

Przez lata, jakie upłynęły od jego pierwszego spotkania z Borgesem, wydał powieści, które uczyniły go klasykiem – rozliczeniową „Rozmowę w »Katedrze«” (o dyktaturze generała Odríi w Peru), autobiograficzną „Ciotkę Julię i skrybę” (o romansie młodego chłopaka z dojrzałą kobietą), wreszcie „Wojnę końca świata (o religijnym wzmożeniu w XIX-wiecznej Brazylii, które zaowocowało zbrojnym konfliktem). Pisał do gazet i nagrywał felietony do radia; wykladał na kilku kontynentach; przyjaźnił się i zrywał przyjaźnie, a jedno z takich zerwań, gdy na konferencji pisarzy w Meksyku powalił ciosem lewicowca Gabriela Garcíę Márqueza, przeszło do historii literatury.

Na spotkanie numer dwa przyszedł do Borgesa już nie żądny uznania młodzieniec, lecz sławny pisarz i intelektualista, ale inny niż Argentyńczyk – nie tylko piszący powieści, ale biorący też udział w pracach komisji śledczej, która badała masakrę w Uchuraccay

(zamordowanie kilkorga członków Świetlistego Szlaku przez mieszkańców tejże wsi). Jednak i Borges w tym czasie odrobinę się zmienił.

Wcześniej niezainteresowany polityką, w latach 70. wyraził poparcie dla rządzącej Argentyną wojskowej junty. Nie dlatego, że mu się podobała – nienawdził i komunistów, i jej bezpośrednich przeciwników, peronistów. Nie chciał ich powrotu, dlatego użył swego nazwiska propagandzie. Przestał popierać juntę, gdy terror, jaki zaprowadziła w kraju, był już nadto widoczny.

„Niektóre pańskie oświadczenia polityczne wprawiają mnie w konsternację” – przyznaje Vargas w rozmowie z Borgesem w roku 1981. „Ale jest pewien aspekt, który budzi we mnie całkowity podziw i całkowity respekt: kwestia nacjonalizmu”. Borges odpowiada smutno: „A jednak miałem z nim coś wspólnego”.

Umrze pięć lat później, a w XXI wieku Vargas pójdzie w jego polityczne ślady.

III

WEDŁUG NIEKTÓRYCH to właśnie z powodu swego zaangażowania po stronie dyktatury Borges nigdy nie dostał Nobla. W 1985 r. relacjonował co prawda procesy wojskowych z junty, ale Akademia Szwedzka nie zdążyła zauważyć jego pośredniego pokajania się. Vargasowi w zdobyciu Nobla polityczna działalność nie przeszkodziła – choć prowadził ją kosztem literatury.

Vargas najbardziej polityczny to ten z lat 80. i 90., z czasów, gdy jego wcześniejsza monumentalna twórczość ustępuje miejsca krótszym powieściom, pełnym humoru i pastiszu literatury kryminalnej. Gdy jednak publikuje takie książki jak „Kto zabił Palomina Molero?” i „Litumę w Andach”, z politycznego komentatora przeistacza się w polityka: w 1987 r. jest jednym z twórców peruwiańskiej partii liberalnej, w 1990 r. – kandydatem na prezydenta. Przegrywa z Alberto Fujimorim i widząc, co się święci – w Peru zaraz zapanuje korupcja i na potęgę zaczyna się łamanie prawa człowieka – wyjeżdża do Europy.

I wydawało się, że będzie już tylko pisarzem. Znowu pisze wielkie, polityczne

powieści: „Święto Kozła” o dominikańskim dyktatorze Rafaelu Trujillo, i „Raj tuż za rogiem”. W 2010 r. przychodzi Nobel za – jak napisano w uzasadnieniu – wnikliwą kartografię struktur władzy. Bada je w „Marzeniu Celta” z 2011 r. i w wydanych w 2020 r. „Burzliwych czasach”, w których, ku zdziwieniu tych czytelników, którzy znają jego poglądy, pisze wprost o udziale Stanów Zjednoczonych i CIA w przewrotach politycznych w Ameryce Południowej.

A kiedy przychodzą wybory prezydenckie i parlamentarne na początku trzeciej dekady XXI w., Vargas robi to, co wcześniej zrobił Jorge Luis Borges.

Podczas niedawnej intronizacji do Akademii Francuskiej potępił Władimira Putina i stwierdził, że powieść potrzebuje przede wszystkim wolności

IV

OFICJALNIE MÓWI, ŻE POPIERA MNIEJSZE ZŁO. Tak jest w 2021 r. w Peru, gdy wyborcy muszą wybrać między dżumą a cholerą: w drugiej turze zmierzyć się mają ultralewicowiec Pedro Castillo i Keiko Fujimori – córka niegdyśszego przeciwnika Vargasa. Choć jeszcze niedawno nazywał ją córką mordercy, popiera Fujimori, byleby nie wygrał lewicowiec. (Gdy Castillo w 2022 r. upadnie, nazwie go analfabetą, nie bez satysfakcji punktując lewicowych intelektualistów, że go bronili).

Podobnie jest także w Chile w tym samym roku, gdy naprzeciw siebie stają Gabriel Boric, młodziutki przywódca niedawnych studenckich, lewicowych z ducha protestów, oraz José Antonio Kast – przedstawiciel skrajnej prawicy, publicznie broniący dyktatury

Pinocheta. Vargas w swoim felietonie w czytany przez cały hiszpańskojęzyczny świat „El País” stwierdza, że gdyby był Chilijczykiem, zagłosowałby na Kasta. Boric wygrywa.

Tak jest wreszcie w 2022 r. podczas wyborów w Brazylii – oto miejscowy Trump, Jair Bolsonaro, ma się zmierzyć z Lulą popieranym przez progresywiistów, przede wszystkim Joe Bidena. Vargas jednak nie jest Bidenem i stwierdza, że Bolsonaro co prawda nieodpowiedzialnie zachowywał się podczas pandemii, co więcej – że jest klaunem, jednak to, mimo wszystko, lepszy wybór niż lewicowiec Lula.

Co się stało z niegdyśszym przenikliwym kartografem nadużyć władzy?

V

TO, CO STAŁO SIĘ NIEGDYŚ Z WIELKIM ARGENTYŃCZYKIEM. Na początku trzeciej dekady XXI w., po napisaniu wspaniałych, obnażających mechanizmy dyktatury powieści Mario Vargas Llosa zamknął się na nowe idee – przynajmniej polityczne, i skostniał w swoim liberalizmie, rozumianym przede wszystkim jako wolnorynkowa gospodarka. Jest gotów zostać stronnikiem dyktatorów, byle tylko do władzy nie doszli ci, którzy lewicują.

Czyżby 90-letni Vargas był coraz bliżej tych pisarzy, których późna twórczość wzbudza w czytelniku konsternację i wołanie o niej zapomnieć?

W lutym 2023 r., podczas intronizacji do Akademii Francuskiej, autor „Miasta i psów” w swoim przemówieniu potępił politycznego patrona tych, których jeszcze niedawno popierał, czyli Władimira Putina, i stwierdził, że powieść – tego miał go nauczyć pobyt we Francji – potrzebuje przede wszystkim wolności. Nową książkę zapowiada na najbliższy rok, w wywiadach dodając, że ma pomysły na jeszcze kilka.

Mario Vargas Llosa jest lwem w ziemie swego życia – lecz lwem, któremu los dał o wiele więcej niż Borgesowi czasu, by starzeć się w formie, bez pychy i dolegliwości. **N**

Wojciech Engelking

ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska

Niekochane dzieciaki nie żyją



Filip, Em, Cinek, Franek – wszyscy nie żyją. Marzyli, żeby nie dożyć osiemnastki albo w najgorszym razie dwudziestki, i się udało. Dawid Karpiuk pisze o „Dzieciakach”, ale to jest baśń dla dorosłych. Prawdziwe historie, w które nie chce się uwierzyć. Dzieją się w domach obok, w pokoju za ścianą. Niebezpieczna książka, bo poza bólem, upadkiem na dno uzależnień, śmiercią jako jedynym ratunkiem, nie znajduje w niej drogi do życia.

Karpiuk, muzyk, dziennikarz znany z łamów „Newsweeka”, opowiada historie dzieci i nastolatków z zaburzeniami psychicznymi. Samookaleczenia, uzależnienie od leków, od alkoholu, od heroiny – to ich dziecięce zabawki. A wszystko w rytm rapsów Sokoła, Pezeta, Oskara, Smolistego, które jak futerał przylegają do życia pogubionych w emocjach dzieciaków.

Em, blondynka, delikatna, dziecięca buzia ukryta pod makijażem, rozmawia z telewizorem i swoją bluzą. „Liczne tatuaże, kolczyki i blizny po samookaleczeniach. Próba »S« przez zażycie leków. W dniu wczorajszym pocięła się żyłką w celach redukcji napięcia. Mówi, że miała gorszy dzień” – autor cytuje opis Em z papierów szpitalnych. Emilka zaczęła się rozspypywać w gimnazjum. „Coś się ze mną dzieje, coś jest nie tak z moją głową – napisała w notatniku”. Stwierdzono u niej osobowość borderline, schizofrenię paranoidalną, lekomanię, narkomanię. Przewija się przez całą książkę. Kibicuję jej. Zwycięstwa nie będzie.

Pauka jest śliczna, ma tysiące followersów na Insta i ciągle za mało miłości. Chce przerwać nieudane dzieciństwo. Mogła zostać miss nastolatek, ale zabalowała i przegrała konkurs. W Warszawie łąduje w strip klubie. Dobrze sobie radzi. Ale żeby przetrwać całą noc w pracy, zaczyna brać. Bierze więcej, niż zarabia, potem musi spać, więc znowu bierze. Mieszanka prochów i alkoholu niemal ją zabije.

Franek jest piękny i bardzo bogaty. Mieszka w domu z babcią. Mama go zostawiła. Taty nie poznał, ale dostał po nim mnóstwo pieniędzy. Dziewczyny za nim szaleją, on bierze, co się da i zmusza je do BDSM. Em się w nim podkochuje. Pewnego ranka Franek się nie budzi. Serce nie wytrzymało.

Cinek chciał dorobić, handlując prochami, ale zaczął brać. Kiedy matka umarła, nie wytrzymał. Miśka jest megainteligenta, ale chciałyby być megapiękna i szczupła. Na szczęście ma przyjaciół. Sońka, tak jak rodzice, jest perfekcjonistką. Matka codziennie waży siebie i córkę, zabrania jeść słodczyce, podsuwa diety. Sońka przy wzro-

ście ponad 170 cm osiąga wymarzoną wagę – czterdzieści parę kg. Wreszcie ją zauważają. Matka, koledzy, koleżanki. Długo leczy się ze skutków marzenia, by być kochaną.

Są z tzw. dobrych domów i z patologicznych, mają wszystko albo wszystko muszą zdobyć. Łączy je marzenie, żeby nie być samotnym, żeby zasłużyć na miłość bliskich lub choćby uwagę. Mieć kogoś bliskiego, tylko dla siebie. Monika Wasilewska, psycholożka, w książce „Jak być szczęśliwym dorosłym bez szczęśliwego dzieciństwa” powtarza za Erichem Frommem, że dziecko, jeśli ma się dobrze rozwijać, powinno być kochane za to, że jest. W przeciwnym razie całe życie będzie walczyło o miłość. Niekochane, dręczone dzieci, kiedy dorosną, nie umieją kochać własnych. Traumatyczne doświadczenia, zdaniem psycholożki, są przekazywane przez epigenetyczne zmiany w DNA wywołane stresem. Ale można je przepracować. Pomaga terapia, leki. Ewa Woydyłło w rozmowie z Martyną Harland „Ukoić siebie” mówi, że trauma jest raną na mózgu, mieszka w pamięci. Wierzy jednak, że każda trauma jest do wyleczenia.

To prawdziwe historie, w które nie chce się uwierzyć. Dzieją się w domach obok, w pokoju za ścianą

Niestety, stan psychiatrii dziecięcej jest w Polsce opłakany. W niektórych szpitalach obłożenie przekracza 300 proc. Pandemia pogorszyła sytuację. Porównując lata 2020 i 2021, liczba prób samobójczych przed 18. rokiem życia wzrosła o 77 proc. Brakuje lekarzy, miejsc w szpitalach, szybkiej i skutecznej pomocy. Większość dzieciaków od Karpiuka jej nie dostało.

Dziennikarz wchodzi w ich świat, odtwarza stany lękowe, uczucia, myśli, pisze dokument jak fabułę. Ciekawe, w jaki sposób udało mu się wejść w tak bliską relację z bohaterami, którzy ufają tylko prochom? Jak dotarł do ich dokumentacji medycznej? Tego się z reportażu nie dowiaduje.

Ta książka to emocjonalny nokaut – czytamy na okładce. Karpiuk zadaje cios za ciosem. Jeszcze gwałt, jeszcze molestowanie, jeszcze jeden stracony dzieciak. Te historie porażają. Twarze bohaterów mam przed oczami, ale co wyniosą z nich dzieciaki z problemami? Czy dramaty Pauki, Franka, Em pomogą im w dygocie, w lękach, w samotności, czy raczej utwierdzą w przekonaniu, że ten świat jest „zjebany”? Obstawiam to drugie. **N**

DAK DA
WAS K...
NIENAWIDZĘ!

T



H. Sawka



N

wydanie specjalne

Newsweek POLSKA HISTORIA

80. rocznica powstania w getcie warszawskim

W numerze m.in.:

- **Historia getta**, powstańczego zrywu oraz jego przywódców
- Niezwykłe odkrycie – **klisze z getta** znalezione na strychu po 80. latach
- Pierwsza tajna organizacja polskich lekarzy, którzy pomagali Żydom ukrywać się po „aryjskiej” stronie
- **Premierowa wystawa** „Wokół nas morze ognia” to istny podziemny świat kryjówek w getcie

Szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl i czytaj w subskrypcji  **onet premium**

Historia do potęgi

Newsweek POLSKA



CO SPRAWIA, ŻE ROLEX TO ROLEX?

To nie koła i trybiki. To nie stal, którą hartujemy, ani złoto, które wytapiamy. To nie suma poszczególnych części zaprojektowanych, uformowanych, pieczołowicie wypolerowanych i zamontowanych z ogromną dbałością i dzięki mistrzowskim umiejętnościom.

To poświęcenie czasu. Trzeba wielu dni pracy w naszych warsztatach, abyśmy mogli w końcu umieścić na tarczy to słowo: „*Superlative*”. To symbol naszej niezależności, odpowiedzialności i uczciwości. Ponieważ wszystko, co robimy, dotyczy Twojego cennego czasu.

#Perpetual

W. KRUK
1 8 4 0


ROLEX